

Ildikó von Kürthy

Podróż po mitość

Przełożył

Ryszard Turczyn

Nic nie poradzę na to, że się starzeję,
zdecydowanie jednak mogę coś
poradzić na to, żeby się przy tym nie nudzić

Wreszcie mam dokładnie taki problem, jaki zawsze chciałam mieć. A już myślałam, że nie mam na to szans, naprawdę. Pewnie z atrakcyjnymi problemami jest tak samo jak z atrakcyjnymi facetami: spotyka się je przez przypadek, i to zawsze wtedy, kiedy człowiek zdążył porzucić wszelką nadzieję.

A ja, cóż, ja rzeczywiście porzuciłam nadzieję. Jeszcze wczoraj stałam sobie z nadbagażem i nadwagą na lotnisku w Hamburgu. Przede mną siedem dni, które zamierzałam spożytkować na intensywne opalanie i rozmyślania nad istotnymi czynnikami komplikującymi mi życie: fryzurą, figurą i związkciem.

Nie powiem, żebym miała jakieś specjalne zastrzeżenia do swojego życia. Wszystko w zasadzie OK. Ale z życiem jest jak z džinsami: to, że znalazłaś firmę, której spodnie dobrze leżą i niepotrzebnie nie dodają w biodrach, wcale nie znaczy, że musisz nosić tylko takie przez całe życie. Ja na przykład miałam pięć par džinsów od Donny Karan i od kilku lat fryzurę oraz faceta, w których mi do twarzy. Kurczę, chyba najwyższy czas podjąć jakieś wyzwanie i spróbować czegoś nowego. Przeżyć jakieś przygody, zamiast tylko o nich marzyć. O czym ja kiedyś będę opowiadać dzieciom? Ze mamusia nie przegapiła żadnego odcinka kryminalnego serialu *Tatort*?

Czasami po prostu dla kobiety to trochę za mało zrobić sobie bursztynowe pasemka, żeby poczuła, że żyje. Dla niektórych to za



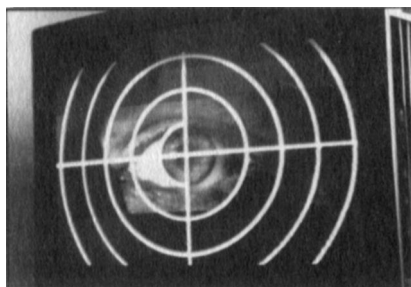
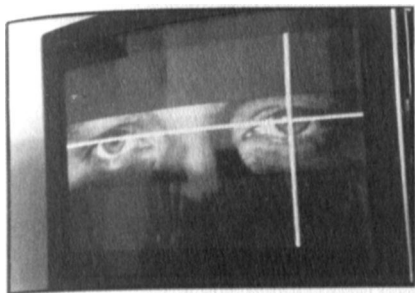
mało nie zapłacić rachunku telefonicznego, żeby poczuć smak przygody. Czasem to nawet za mało kupić siatkowe rajstopy, żeby poczuć się sexy. Nie, czasem to naprawdę za mało.

Powzięłam mocne postanowienie, że muszę przydać jesieni mego życia nieco blasku. Moja refleksja w czasie pakowania: Nic nie poradzę na to, że się starzeję, zdecydowanie jednak mogę coś poradzić na to, żeby się przy tym nie nudzić. Najwyższy czas przestać traktować różowy tusz do rzęs jak synonim odważnej odmiany w szarej codzienności. Spełnię swoje marzenia - w imieniu wszystkich kobiet znudzonych związkiem i sobotnim programem telewizyjnym. Wyjadę. Po prostu odejdę. Bez słowa. Bez oglądania się za siebie. Sama. Do dalekiego kraju. Odważnie. Dumnie.

Czułam się jak pionier, który napełnia manierkę wodą, roluje koc i wyrusza odkrywać amerykański Dzikie Zachód. Spakowałam zmywacz do paznokci i wkładki higieniczne i zdecydowanym ruchem zamknęłam walizkę. Przede mną siedem dni na Majorce w domu mojej wspaniałej ciotuczny Gesy Matuschke.

A teraz minęły dwadzieścia cztery godziny od tamtej chwili i nic już nie jest takie, jakie było.

Leżę sobie z moimi szlachetnymi rozterkami na basenie i sama sobie zazdroszczę. Chwilami wietrzyk szumi w liściach palm,



zupełnie jakby to kochanek namiętnie szeptał moje imię. Co takiego? Jakby to kochanek namiętnie szeptał moje imię? Czy to jeszcze możliwe? Odbiło mi, czy jak? Ach, co ja poradzę, tak już jest, że kobieta każdy dźwięk interpretuje jak wyznanie miłosne. Przy założeniu oczywiście, że boryka się z tak luksusowym problemem jak ja teraz.

Jestem bowiem kobietą, która nie może się zdecydować. Mam przed sobą nie tylko arcytrudny wybór między kremem do opalania z filtrem osiem a kremem z filtrem dwanaście, między leżakiem a dmuchanym materacem, między wodą gazowaną a niegazowaną. O nie, mam przed sobą wybór między dwoma mężczyznami! Muszę to sobie jeszcze kilka razy powtórzyć, żeby nasycić się tym wspaniałym uczuciem. Mamy tu bowiem do czynienia ze zdaniem, które zazwyczaj wypowiadać mogą tylko ognistookie aktorki o świetnych figurach w niedobrych filmach:

- Nie mogę się zdecydować, którego z nich wybrać.

Nie mogę się zdecydować, którego nich wybrać.

Co za cudowny spokój, co za dojrzała radość ogarnia mnie na tę myśl. Tak, mogę powiedzieć, że w ciągu ostatnich dwunastu godzin wspierałam się do ligi absolutnie wyluzowanych kobiet, które wypowiadają zdania w rodzaju: „Jestem zamężna po raz trzeci i na

pewno nie ostatni" albo „Jestem bogata, więc nie muszę już być szczupła", albo właśnie „Nie mogę się zdecydować, którego z nich..."

- Skarbie, całkiem sporo ci się przytyło.

Co? Jak? Dojrzała radość w ciągu jednej milisekundy ustępuje gorączkowemu zawstydzeniu objawiającemu się nieskoordynowanym majdrowaniem przy majtkach od bikini.

- No tak, trochę tak. Cztery miesiące temu rzuciłam palenie. Sama wiesz, Gesa, człowiek automatycznie przybiera wtedy na wadze, bo następuje spowolnienie przemiany materii, praktycznie nie ma na to żadnej rady, ale podobno po roku wszystko wraca do normy.

- Bredzisz. Jak się w twoim wieku przytyje, to się tego potem nie rzuci. Chyba masz już trochę ponad trzydziestkę, prawda? Mo właśnie. Co za idiotyczny pomysł, żeby rzucać palenie. Akurat teraz rozstrzyga się, jaką figurę będziesz miała za dziesięć lat. No chyba, że twój facet też jest taki pulchny?

- Yyy, nie, w zasadzie nie. Słuchaj, skoczę na chwilę do domu, coś mi wpadło pod szkło kontaktowe. Zaraz jestem z powrotem.

Pulchny? Pulchny! Nie, słowo daję, jeszcze nikt nigdy tak o mnie nie powiedział. Kiedy pytam moją przyjaciółkę Monę, czy już po mnie widać, że przytyłam, ona mówi zawsze to samo:

- No, moooże troszkę, ale w twoim przypadku wszystko ładnie się rozkłada.

A kiedy ona mnie pyta, czy przytyła, to wtedy ja mówię zawsze to samo:

- No, moooże troszkę, ale w twoim przypadku wszystko ładnie się rozkłada.

Co oczywiście nie do końca jest zgodne z prawdą, bo w zasadzie Mona tyje tylko od pasa w dół. To znaczy, że w gorszych okolicach jej wąskie ramiona osiagają ledwie połowę szerokości jej rozłożystych bioder. Wygląda wtedy trochę jak takie figurki z dzwonkiem w brzuskach, które od razu same się podnoszą, obojętnie, jak się jej położy. Ale tego przecież nigdy bym jej nie powiedziała.

Tak właśnie postępują przyjaciółki. Jest to niepisana zasada. Bo po pierwsze człowiek nie chce sprawić drugiej osobie przykrości, a po drugie za żadne skarby nie chce, żeby ta druga osoba schudła i tym samym zagroziła trwaniu przyjaźni. Bo czy może istnieć jakakolwiek przyjaźń między kobietami, z których jedna nie ma żadnych problemów z figurą? Odpowiedź jest tylko jedna: NIE. Przy czym już samo pytanie ma charakter czysto retoryczny. Nie ma bowiem kobiet, które nie miałyby problemów z figurą.

Ciotka Gesa zakwaterowała mnie w domku gościnnym z widokiem na morze oraz z wielkim lustrem w łazience, przed którym właśnie dokonuję szczegółowej inspekcji swojego ciała. Pulchna? Chyba jednak gruba przesada. Oczywiście trzy i pół kilo musi zostawić jakieś ślady. Powiedziałabym, że jakieś pół kilo usadowiło się w postaci tkanki tłuszczowej na brzuchu, dwa kilo na biodrach i pośladkach, a reszta wzbogaca moje uda. Ben zawsze powtarza, że kocha każdy kilogram mego ciała i że wyglądam bardzo... zdrowo. Przez chwilę myślę, żeby zdecydować się jednak na niego. Chociaż ostatnio, kiedy będąc z nim na basenie, poprosiłam, żeby nakremował mi plecy i nogi, stwierdził: „Jakoś tak z roku na rok coraz więcej z tym u ciebie roboty”. Niestety wybuchnęłam śmiechem. Ale i tak tego dnia nie weszłam już do wody.

Wracam na basen i postanawiam, że będę nosiła moje trzy i pół kilo z godnością. No bo w końcu mam do wyboru dwóch facetów i mogę się założyć, że obydwu interesuje nie tylko moje wewnętrzne bogactwo. Zwłaszcza że jeden z nich zna mnie w zasadzie tylko od zewnątrz, a drugi mimo mojego charakteru najwyraźniej mnie kocha - i to od czterech i pół roku. Mówię o Benie.

Ben ma trzydzieści siedem lat i jest specjalistą komputerowym. Mam pełną świadomość, że po czterech i pół roku wspólnego życia trudno mieć erotyczne fantazje, zdejmując z suszarki bokserki partnera.

Drugi ma na imię Robin i znam go dopiero dwadzieścia cztery godziny. I też mam pełną świadomość, że po tak krótkim czasie znajomości każdy jest duchowo niepoczytalny, nie powinien podejmować żadnych dalekosiężnych decyzji oraz że w tym stanie ducha nawet widok bramy do garażu potrafi wywołać silne seksualne pożądanie.

Muszę spróbować zachować jasność umysłu, przetrwać jakoś wydarzenia ubiegłego dnia, rzeczowo je ocenić i dopiero potem opracować plan reakcji. Najodpowiedniejszym miejscem do tego rodzaju rozważań wydaje się czerwony dmuchany materac, który z jakichś kompletnie niezrozumiałych dla mnie powodów ma kształt telefonu komórkowego.

Umieszczam na materacu swoje ciało, którego masy nie zdradzę nawet podczas najstraszliwszych tortur. Tak się bowiem składa - i potwierdził to lekarz - że mam ciężkie kości, toteż sama wartość w kilogramach daje absolutnie błędne wyobrażenie. Za-

mykam oczy. Maksymalna rzeczowość, o to teraz najbardziej chodzi. Wcale się nie dziwię, że za nic nie mogę zebrać myśli. No bo od razu przypomina mi się ten niewiarygodny pocałunek. Już samo jego wspomnienie ma taki impet, że prawie zwała mnie z gumowej komórki.

Przyznaję, pierwsze pocałunki niemal zawsze są niezwykle podniecające. W każdym razie na pewno bardziej podniecające niż pierwszy seks. Co wynika po prostu z tego, że przy całowaniu nie da się popełnić aż tylu błędów. Mamy wówczas do czynienia z dość ograniczoną strefą erogenną: wargami i językiem. Z drugiej jednak strony to zdumiewające, ile na tak niewielkiej powierzchni może pójść nie tak. Znamy przecież wszystkie tych nadgorliwców, którzy biorą sobie za punkt honoru, żeby podrażnić językiem nasz języczek na końcu podniebienia. Albo takich, którzy uważają za bardzo erotyczne, żeby w czasie całowania w możliwie krótkim czasie przetransportować możliwie dużo śliny z punktu A do punktu B. Głupio też wychodzi, kiedy w wirze ekstazy zderzą się ze sobą siekacze albo kiedy nie miało się czasu dobrze przełknąć i w czasie całowania partner wydusi nam spod policzka resztkę posiłku. Bueee! Wystarczy tego dobrego.

Jeśli spojrzeć na rzecz obiektywnie, to wczorajszy dzień był najbardziej podniecającym dniem mojego życia; miałam nie tylko permanentne bicie serca i permanentny uśmiech na twarzy, ale też chwilowo inne imię. Może jednak po kolei. Bo sam początek bynajmniej nie był przyjemny.

Co oznacza:
raczej maty biust
przy raczej
szerokim krzyżu

Jest poniedziałek rano i stoję na lotnisku w Palma de Mallorca. Mam od niedawna trzydzieści trzy lata, przerabiam właśnie decydujący o wszystkim kryzys życiowy i jakby tego było mało, ja, Anabella Leonhard, zgubiłam tę swoją cholerną walizkę. W grubym, robionym na drutach swetrze stoję przed pustą taśmą bagażową i czekam na walizkę, która się jakoś nie pojawia, a która w końcu kosztowała mnie dwadzieścia euro za sześć kilo nadbagażu. Jeszcze nigdy nie udało mi się wyjechać bez nadbagażu. Nie jestem w stanie ograniczyć się do tego, co niezbędne. I to pod każdym względem.

Powoli zaczynam sobie zadawać pytanie, po co ta głupia taśma w ogóle się jeszcze przesuwają. Pewnie po to, żeby ze mnie szydzić. Pewnie po to, żeby mi uświadomić, że mój plan się zawalił i że mój śmiały zamysł od razu spalił na panewce. Ta taśma, która nie chce mi oddać walizki, mówi do mnie, że nie mam szans na odmianę swego życia. Moje życie odmienia się samo z siebie. Jestem zaledwie widzem. Wolno mi brać tylko to, co ono przyniesie. A walizki jakoś nie przynosi.

- Phuket.
- Co „Phuket”?
- Pani walizka wylądowała przypuszczalnie w Tajlandii.
- A kiedy tu wróci?



- Nie mam pojęcia. Proszę zadzwonić rano pod ten numer.

W przeciwieństwie do mnie pracownik lotniska jest uosobieniem spokoju. Nic dziwnego. W końcu to nie on został w obcym kraju bez kostiumu bikini i kremu na noc. Kompletnie inaczej wyobrażałam sobie ten mój emocjonujący start w nowe życie. Jestem rozczarowana, rzucam Bogu ducha winnemu człowiekowi druzgocące spojrzenie, staram się możliwie godnie opuścić halę przylotów i usiłuję wmówić sobie, że przecież utrata walizki to w zasadzie coś w rodzaju zrzucenia dawnych więzów, czyli jak najbardziej pozytywny sygnał dla planowanej odnowy wszystkiego. Niemniej jednak w żadnym razie nie daje to odpowiedzi na pytanie, jak sobie poradzę bez pęsety do wrywania brwi i ładowarki.

Wsiadam do taksówki i nic nie czuję. Żadnej wizji, żadnego mistycznego przeżycia. Nic z tych rzeczy. Beznadziejna chwila i beznadziejne perspektywy. W zamyśleniu wpatruję się w skąpowłosione ciemność taksówkarza. To, czego mu brakuje na górze,

z naddatkiem wystaje mu z uszu. Niezbyt piękny widok. Wolę wygłądać przez okno. Teraz, w środku września, wyspa jest już porządnie wysuszona. Kolory wyblakły jak na starej fotografii. „Zupełnie jak moje życie”, myślę sobie w przypływie poetyckiej weny.

To znaczy nigdy nie uważałam siebie i swego życia za coś nadzwyczajnego. Raczej za coś całkiem normalnego. Ilekroć przychodziło mi gdzieś oddawać CV troszkę się wstydziłam, że jest takie krótkie. Wymyślałam sobie wtedy jakieś imponujące hobby w rodzaju lotniarstwa, wędkarstwa pełnomorskiego czy lektury powieści Kafki, żeby tylko jakoś zapełnić połówkę kartki formatu A4.

Mnóstwo rzeczy we mnie jest stosunkowo mało oryginalnych. Wprawdzie Ben uważa, że jestem zwyczajnie znerwicowana, ale wszyscy faceci zawsze uważają kobiety za znerwicowane. Więc to nic nie znaczy i pewnie chciał mi tylko zrobić tym przyjemność.

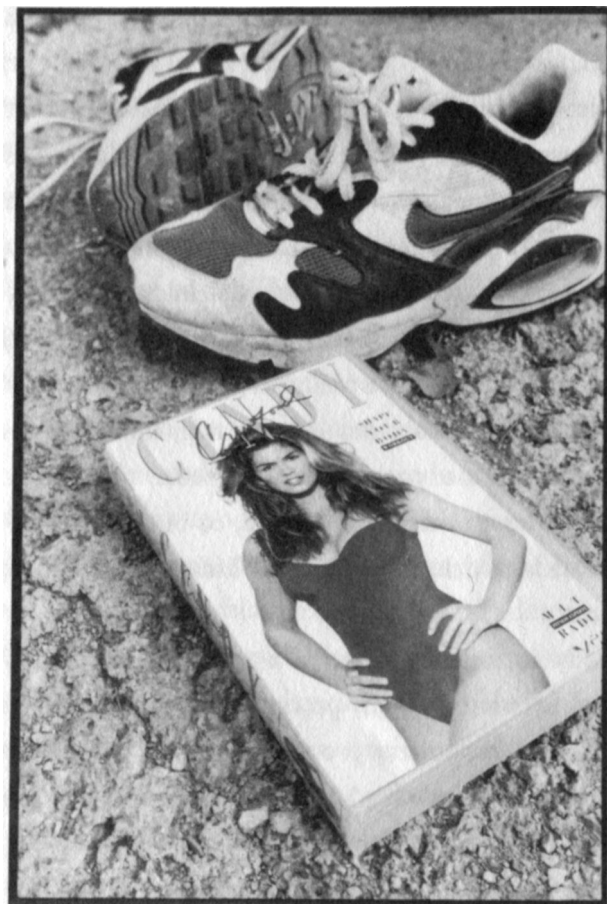
- Anabello, chyba już całkiem przeginasz - mówi na przykład, kiedy wychodzę na zakupy z wielką reklamówką z logo Gucciego. Z mojego doświadczenia wynika, że kobiety, które mają w rękę wielką reklamówkę od Gucciego, są obsługiwane ze szczególną atencją. No bo jasna sprawa: sprzedawczyni myśli sobie, że taka klientka jest bogata i właśnie wpadła w szal zakupów, więc może potrzebuje jeszcze pięknych bucików albo jedwabnego szala odpowiedniego do tego opakowanego w delikatną bibułkę ubrania w reklamówce. Skąd mają wiedzieć, że reklamówkę od Gucciego podarowała mi łaskawie moja nieprzyzwoicie bogata koleżanka Steffi i że wyprowadzam w niej na spacer mój stary jak świat płaszcz przeciwdeszczowy. Jak już wspomniałam, wskutek

takich zachowań, nader rozsądnych przecież z punktu widzenia strategii zakupów, Ben uważa mnie za kompletnie stukniętą. A ja odbieram to jako komplement, ponieważ bardzo chciałabym być taka trochę mniej zwyczajna. A nie jestem.

Jestem przeciętnego wzrostu i mam bardzo delikatne włosy, które - jeśli tylko nie ułożę ich przy pomocy pięciu dużych porcji pianki - fruują mi dookoła głowy jak gęsi puch. Ciągłe muszę biegać do toalety, bez przerwy coś gdzieś zostawiam, nie mogę znaleźć kluczyków do samochodu, a mój biustonosz ma niezbyt szczególny rozmiar 80A. Co oznacza: raczej mały biust przy raczej szerokim krzyżu. Pół roku temu rzuciłam palenie, co przyniosło mi owe wspomniane już dodatkowe trzy i pół kilo oraz ośmioprocentowy wzrost udziału tkanki tłuszczowej w masie ciała. Jestem niezamężna, bezdzietna i mieszkam ze swoim facetem w trzypokojowym mieszkaniu w hamburskiej dzielnicy Eimsbuttel. Bardzo lubię swoją starszą siostrę Lilianę. Ma trójkę dzieci i - jak sama mówi - brodawki sutkowe wielkości rodzinnej pizzy. Jest strasznie wesoła, nie zaprzestała depilowania nóg, kiedy została matką, i dokładnie wie, kiedy zaczyna się wyprzedaż u Jil Sander. Idąc na zakupy, podrzuca dzieciaki do mnie, co ma ten skutek, że moja chęć posiadania dzieci zapada się jak liście szpinaku podczas blanszowania.

Kiedy się zorientowałam, że z moim życiem jest coś nie tak? Może to było wtedy, kiedy po raz pierwszy stanęłam na wadze, która dodatkowo mierzy procentowy udział tkanki tłuszczowej w masie ciała. Wprawdzie nie spodziewałam się jakiegoś oszałamiającego rezultatu, ale ponieważ akurat poprzedniego wieczoru zrezygnowałam z deseru, wchodziłam na nią bez specjalnych

podejrzeń. Waga wyliczyła mi wartość, o której do dziś z nikim nie rozmawiałam. Byłam wstrząśnięta. No bo nie po to dwa razy w tygodniu ćwiczę przy wideo Cindy Crawford dla zaawansowanych, żeby mi potem jakaś waga mówiła, że przez cały czas noszę ze sobą czterdzieści pięć kostek masła. W panice prznosiłam to złośliwe urządzenie z miejsca na miejsce po całym mieszkaniu. No bo podany wynik od razu przecież zinterpretowałam jako oczywisty



błąd odczytu spowodowany nierówną powierzchnią. Ważyłam się na podłodze w kuchni, na wykładzinie w przedpokoju, w końcu na dywanie w salonie. Wynik pozostał niezmienny, a dla mnie w jednej sekundzie stało się jasne, dlaczego w moim związku nie dochodzi już nawet do gwarantowanych przez średnią krajową dwóch i pół stosunku tygodniowo.

W tej samej sekundzie postanowiłam dokonać rewolucyjnych zmian w swoim życiu i w swoim związku. Jeszcze tego samego wieczoru zgoliłam sobie włosy łonowe i zarezerwowałam weekend w romantycznym hotelu nad Bałtykiem. Następnego dnia kupiłam młynek do zboża, żeby od tej chwili co rano samej mieć sobie ziarna na muesli, zamiast jak dotychczas co rano zjadać rogalika z czekoladą. Sprawiałam sobie lateksową taśmę do ćwiczeń zapewniających większą siłę i wytrzymałość, do tego dwa hantelki, a ponadto umówiłam się z moją przyjaciółką Moną, że w najbliższych dniach udamy się razem do sex shopu. Mona też była zdania, że w jej związku przyda się trochę ożywienia - kiedy już będzie ten związek miała. A przecież wiadomo, że nigdy nie jest za wcześnie, by przygotować się na walkę z podstępnie rozprze-strzeniającą się trucizną przyzwyczajenia.

Żeby nie napatoczyć się przypadkiem na kogoś ze znajomych, na naszą ekspedycję do domu handlowego World of Sex wybrałyśmy wtorkowe popołudnie, kiedy to w telewizji była transmisja z jakiegoś superważnego meczu piłkarskiego. W zasadzie było nawet całkiem zabawnie - aż do momentu, kiedy wyszłam z przymierzalni w nader obcisłym fartuszkach pielęgniarki z lakierowanej sztucznej skóry.

- O, cześć Anabella!

- ...?!

- Pozwolisz, że ci przedstawię mojego dobrego znajomego Leo? Leo, to Anabella Leonhard, nasza najlepsza tłumaczka.

Leo gapił się na mnie okrągłymi z przerażenia oczami, zupełnie jakbym była jakąś zwariowaną idiotką, która popołudniami zabawia się chodzeniem po sex shopach i wbijaniem się w obcisłe fartuszki z lakierowanej sztucznej skóry. Obok Lea stała Bea Heinrich z wydawnictwa Jakobs & Kursedim, dla którego tłumaczę książki z angielskiego i holenderskiego. Bea jest moją redaktorką, byłam świadkową na jej ślubie. Wstydziłam się niemiłosiernie.

Czemu tak jest, że człowiek pamięta w zasadzie tylko te najbardziej żenujące wydarzenia? Ja pamiętam każdą gafę, jaką w swoim życiu palnęłam. A było tego niemało. Nie pamiętam natomiast ni w ząb, jak się nazywał pierwszy prezydent naszego kraju ani gdzie ostatnio widziałam buty we wzorek lamparciej skóry po obniżonej cenie.

Przygłodziłam pseudoskórzany fartuszek i próbowałam zachowywać się tak, jakby chodziło o najzwyczajniejsze w świecie i nader dla mnie przyjemne spotkanie.

- O, cześć! Miło cię poznać, Leo. Bea dużo o tobie opowiadała.

Podaliśmy skołowanemu facetowi rękę tak elegancko, jak tylko było to w tych okolicznościach możliwe. A potem zwróciłam się z możliwie największym luzem do Bei.

- Co tam u ciebie? Wszystko gra?

Bea zlitowała się nade mną i ani słowem nie skomentowała tej poniżającej sytuacji, w której się znalazłam. To bardzo kulturalna

kobieta, czytuje powieści Walsera, ma wykupiony abonament teatralny, a mimo to potrafi godzinami rozmawiać o wyborze właściwej konturówki. Leo był jednym z jej najlepszych przyjaciół, gej i singiel. Bea była tak miła, że wpadała do niego raz w miesiącu w sobotni wieczór i przez kwadrans głośno jęczała w jego sypialni. Takie zabezpieczenie. Chodziło o to, żeby wrogo nastawiony do gejów właściciel nie miał żadnych podejrzeń wobec Lea. Bea jest lojalna i taktowna i bardzo szybko wybawiła mnie z niezręcznej sytuacji.

- No to na razie. My z Leo musimy lecieć dalej. Jesteśmy dzisiaj zaproszeni na wieczór do jego byłego i szukamy jakiegoś prezenciku. Chodź, Leo, gdzieś tam widziałam fantastyczne męskie slipy wyszywane cekinami.

Usłyszałam za sobą jakiś rumor. To Mona, która przez cały czas dzielnie powstrzymywała się od śmiechu, zwała się jak kłoda przy wieszaku z fartuszkami dla pokojówek.

Po tym wszystkim jakoś przeszła mi ochota na dalsze zakupy. No ale przynajmniej każda z nas przyniosła sobie do domu po dwie piękne kulki dopochwowe, które nadskakujący sprzedawca polecił jako absolutną gwarancję niezziemskiej rozkoszy. Tyle że wcale nie okazały się takie fantastycznie i raczej bym odradzała. W czasie chodzenia głośno o siebie stukają, jakby się miało sztuczne biodro.

Tak czy inaczej wizyta w sex shopie nie przyczyniła się do zasadniczego zwrotu w mojej egzystencji, na jaki liczyłam. A krótki urlop w romantycznym hotelu też nie był do końca sukcesem. Właściwie była to jedna wielka katastrofa. Zamówiłam dla nas na kolację zestaw „Namiętność”. Kiedy sobie przypomnę, jak się

mojemu Benowi zrobiło niedobrze po ostrygach, to jeszcze dzisiaj żałuję tego wyboru. Po prostu skorupiaki niezbyt mu służą. Afrodyzjak afrodyzjakiem, a on czegoś takiego nie trawi, i już. Wprawdzie był na tyle grzeczny, żeby poczłapać ze mną na romantyczny spacer po plaży o północy, ale kiedy lubieżnie dałam mu do zrozumienia, że mam pod sukienką tylko pas do pończoch, gapił się na mnie przez kilka sekund, jakby zobaczył monstrowalnej wielkości ostrygę.

- Na pewno nie jest ci przez to za zimno? - spytał wreszcie przez ściśnięte gardło. Od razu zrozumiałam, że tego wieczoru na pewno nie uda się podwyższyć naszej średniej stosunków.

Czasami marzy mi się, że nie znam Bena, albo przynajmniej nie tak dobrze. Wtedy próbuję patrzeć na niego jak na kogoś obcego. Na to, jak trzyma papierosa, jak słuchając, przekrzywia na bok głowę, jak chodzi takim długim krokiem, najczęściej z rękami wciśniętymi sztywno w kieszenie kurtki. Marzy mi się, że mam przed sobą odkrywanie go. Namiętność pierwszych miesięcy. Seks trzy razy dziennie. Bicie serca, kiedy do mnie dzwoni. Bicie serca, kiedy do mnie nie dzwoni. Panika, kiedy tuż przed randką krzywo pociągnę konturówką powieki. Wiem oczywiście, że to żadna sztuka pożądać czegoś, czego się jeszcze nie zna.

Dzisiaj nie używam już konturówki do powiek. Dzisiaj machinalnie strącam czasem Benowi okruszek z kącika ust. Nie powinnam tak robić. Nienawidzi tego, a ja robię to tylko dlatego, że zapominam przestrzegać niepisanych zasad: utrzymywać pewien dystans, nie okazywać takiej poufałości, jaką się tak naprawdę odczuwa, zachować złudzenie, że mamy jeszcze przed sobą tajemni-

ce, że pozostało coś do odkrycia. Ludzie są sobie to winni jako para. Oczywiście byłoby idiotyzmem, gdybym dzisiaj przed powrotem Bena z pracy wciskała się w biustonosz push-up i przyklejała sztuczne rzęsy. Ben zna moje braki w tym względzie. Ale fakt, że się jest kochaną, w żadnym razie nie upoważnia nas, żebyśmy uprawiały seks z maseczką kosmetyczną na twarzy tylko dlatego, że ona też jest dokładnie na pięć minut.

Zło niszczy w zarodku. Inaczej pewnego pięknego dnia zaczniesz mu wyciskać pryszcze na plecach, a on oświadczy ci się, siedząc na kiblu, podczas gdy ty, stojąc przed lustrem, będziesz czyściła zęby nitką dentystyczną. Moim zdaniem, jak już człowiek dopuści, żeby do czegoś takiego doszło, to czas się rozstać.

Kiedyś wyszliśmy na kolację z Benem, jego przyjacielem Nikosem i ówczesną dziewczyną Nikosa. Ona siedziała naprzeciwko, a Nikos obok mnie. W pewnym momencie, kiedy mówił coś do Bena odwrócony w moją stronę, odruchowo zdjęłam mu okruszek czegoś tam z kącika ust.

Nikos oniemiał z przerażenia. Ja oniemiałam z przerażenia. A kobieta, której imienia zapomniałam od razu tamtego wieczoru, bo w przypadku Nikosa nawet nie warto zapamiętywać imion jego przyjaciółek, była śmiertelnie obrażona. Oczywiście mój gest nic nie znaczył. Po prostu myśląc o czymś innym, machinalnie wykonałam poufały gest nie w tym kierunku, co trzeba, i sięgnęłam nie do tego kącika ust, co trzeba. To tak samo jak wówczas, kiedy sięgamy co rano po piling, a za którymś razem stwierdzamy, że niechcący posmarowałyśmy sobie twarz kremem depilującym, bo dzień wcześniej sprzątaczką doszła do wniosku, że musi nam trochę uporządkować kosmetyki.

Kiedy jest się z kimś parą, niemal zawsze zakrada się poufałość. Człowiek nie ma szans wygrać z czasem. Doskonale zdaję sobie sprawę, że jednego mojemu Benowi nigdy nie będę mogła zapewnić, obojętne, czy będę w fartuszkach z lakierowanej sztucznej skóry, czy też zacznę imitować głosy zwierząt: zawsze będę tą kobietą, którą on zna. Ludzie nie dlatego zdradzają, że w domu mają nieudany seks. To już powód do rozstania. Ludzie zdradzają, bo mają w domu udany seks. Tyle że zawsze taki sam.

- Nasza gra wstępnie nie trwa nigdy dłużej niż dziesięć minut - wyznała mi ostatnio moja przyjaciółka Steffi. Od sześciu lat jest żoną Klausea.

- No i? Fajne jest te dziesięć minut? - spytałam.

- Wszystko jest jak trzeba. On dokładnie wie, co ma robić, wie, co lubię, a czego nie lubię. Przy nim dochodzę do orgazmu szybciej, niż kiedy robię to sama. - Steffi wzdycha poirytowana. - Ale wiesz, Bella, co mi się czasem marzy? Żeby być z facetem, który nie wszystko robi idealnie. Takim, który mnie czymś zaskoczy, obojętnie czym. Takim, przy którym w czasie seksu będę mogła nie zamykać oczu, bo jest dla mnie kimś nowym i nie muszę z trudem wyobrazić sobie nikogo innego.

- To może spróbujecie kiedyś odgrywania ról?

- Aha, na zasadzie: teraz ja jestem dziwką, a ty kierowcą tira, tak? Ee tam, nie wierzę w takie rzeczy. On zawsze będzie moim małym Klausikiem, i już. Pewnie by mi się chciało tylko śmiać i nic by z tego nie wyszło.

Nie umiałam jej nic poradzić, ale w duchu postanowiłam, że sama zaproponuję kiedyś w domu taką zabawę. Niewiele nam to

jednak dało. Tyle tylko, że rozharatałam Benowi udo, kiedy wskoczyłam do łóżka w szpilkach.

Tak więc nikt nie może mi zarzucić, że odeszłam przedwcześnie. Zadałam sobie wiele trudu, żeby przywrócić blask mojemu wyblakłemu związkowi. Robiłam wszystko, co należy, na miejscu, w domu. Teraz stworzyłam sobie dystans, żeby spokojnie wszystko przemyśleć. Dotychczas zawsze było tak, że to życie mną kierowało. Zmiany spadały na mnie to chciane, to znów niechciane. Reagowałam na nie to właściwie, to znów niewłaściwie. Co od razu mi przypomina, że mogłam już być dzisiaj żoną Ole Helgera, właściciela ekskluzywnego sklepu z rustykalnymi kuchniami w nobliwej hamburskiej dzielnicy Wellingsbüttele, który właśnie wybudował tam sobie willę. Gdybym tylko za młodych lat nie zareagowała niewłaściwie, kiedy w czasie naszego pierwszego stosunku Ole usiłował odgrywać namiętnego latynoskiego kochanka i przy okazji spadł z łóżka. Dzisiaj wiem doskonale, że jest to taki moment, który wymaga maksymalnego wyczucia. Ale w tamtym czasie nieznamość tej mądrości życiowej doprowadziła do tego, że zwyczajnie parsknęłam głośnym śmiechem i od tej pory Ole przestał mi w szkole mówić „cześć”. A wszystkim kumplom powiedział, że jestem do niczego w łóżku.

- Signora?

- Hm?

Taksówkarz z naturalnymi ocieplaczami uszu budzi mnie z koszmarów.

- Puerto Andratx, Carrer Tonyina. Pięćdziesiąt euro.

Zupełnie się nie dziwię, że mojej ciotki Gesy nie ma w domu. Tego, że nie przyjedzie po mnie na lotnisko, od razu się spodziewałam. Choć jeszcze wczoraj w południe przez telefon solennie mi to obiecywała. Ale czegoż się spodziewać po obietnicach kobiety, która porzuciła trzech mężów?

- Bello, dziecko drogie, oczywiście, że cię odbiorę z lotniska! Szalenie się cieszę, że nareszcie znowu się zobaczymy! Każę przygotować dla ciebie domek gościnny. Wolisz pościel błękitną czy w kolorze bladych płatków róż? Zobacysz, ta chałupka to coś wspaniałego, jestem pewna, że ją polubisz i zostaniesz o wiele dłużej. U ciebie i tego twojego, no, jak on się nazywa, mniejsza z tym, u was wszystko w porządku? Nawet nie wiesz, jak dobrze zrobił mi ten ostatni rozwód. Każdemu mogę tylko polecić. Matuschkowi podobno strasznie z tym teraz niedobrze. Znowu wywalił tę swoją małą, no patrz, znów zapomniałam, jak ona ma na imię, w każdym razie tę z wielkimi cycami. Cycki to nie wszystko w życiu, mówię ci. Popatrz na mnie: płaska jak kafle w łazience, a adoratorów na pęczki. Jego nazwisko w każdym razie na pewno zachowam. Dziecko, nie uwierzysz, jak to nazwisko otwiera tu na wyspie wszystkie drzwi. No dobrze, muszę uciekać. O której lądujesz? Aha, no tak, przecież sobie zapisałam. O dziewiątej. No to do zobaczenia. Leć ostrożnie! Buziaczki!

Moją ciotkę Gesę widziałam po raz ostatni pięć lat temu. Ojciec świętował wtedy sześćdziesiątkę i jego siostra Gesa pojawiła się w towarzystwie Dietricha Matuschke, korpulentnego, dobrotliwego człowieka po sześćdziesiątce, który zbił fortunę na maszynach budowlanych i trzy tygodnie wcześniej wziął z ciotką Gesą ślub w Wenecji. Gesa Leonhard była kiedyś przepiękną kobietą,

wysoką, szczupłą, o wąskich nadgarstkach, długiej szyi i tym nieprawdopodobnym spojrzeniu, które już w szkole zamieniało wszystkich chłopaków w stado bezmózgich baranów. Bili się o nią i popisywali mięśniami, których jeszcze nie mieli. Gesa ma teraz pięćdziesiąt siedem lat i - jak sama z upodobaniem powtarza - szyję jak zmarznięta indyczka, ale wcale jej to nie przeszkadza, żeby tak się ubierać, tak się zachowywać, tak się śmiać i tak kochać, jakby wciąż była piękna i młoda.

To wspomniała kobieta, ale niestety w tym momencie nieobecna w domu. Potem będę jej za to z pewnością dożgonnie wdzięczna. No bo gdyby była, to w jej domu poszłabym do toalety. A wtedy wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej. I z pewnością nie miałabym tego fantastycznego problemu, mianowicie którego z nich... Ale o tym chyba wspominałam.

Tak więc schodzę ze wzgórza w stronę portu w lejącym się z nieba upale, wciąż przyodziana w ten zupełnie nieodpowiedni na tę pogodę sweter. Czy Ben już zauważył moje zniknięcie? Pewnie w ogóle nie było go jeszcze w domu. Cały weekend miał spędzić ze swoją grupą wsparcia w samotnym domku na Luneburger Heide, bo jednego z kolegów rzuciła dziewczyna. Wprawdzie kolega dzielnie twierdził, że wcale nie jest z nim tak najgorzej, bo nareszcie znowu może obcinać paznokcie u stóp w kuchni, ale prawdziwych przyjaciół nie da się tym zmylić. W takich kryzysowych przypadkach od razu skrzykuje się pod hasłem „kumpel w potrzebie” cała grupa, której program wsparcia polega właściwie na tym, żeby zachowywać się tak, jakby w ogóle nikt nie był w potrzebie. Poza tym w czasie weekendu ściśle obowiązują trzy główne zasady:

1. Nie wolno jeść owoców.
2. Niemile widziane są rozmowy telefoniczne z przyjaciółką dłuższe niż trzy minuty.
3. Jeśli ktoś przed obiadem pochłonie paczkę czipsów albo kilka tabliczek czekolady, nikomu nie wolno powiedzieć: „Przecież zaraz będzie obiad”.

Benedykt Cramer jest pod wieloma względami typowym facetem. Nie tańczy. Nie wkleja zdjęć do albumu. Zachowuje spokój, kiedy nie mogę znaleźć kluczy i denerwuję się do tego stopnia, jakby chodziło o coś naprawdę poważnego, na przykład utratę pracy czy zgubienie okularów przeciwsłonecznych od Jil Sander, które nawet na posezonowej wyprzedaży kosztowały więcej niż normalnie gotowa byłabym wydać na zimowy płaszcz. Ben nie złości się także, kiedy jestem straszliwie obrażona, gdy znajdzie te zagubione klucze wcześniej ode mnie i to w dodatku w tak nieprawdopodobnym miejscu jak miseczka, w której zazwyczaj trzymamy wszystkie klucze. Mogłabym przysiąc, że przedtem sprawdzałam tam już trzy razy.

Benedykt Cramer to facet o mentalności specja od rozbrajania bomb. Takiego, co to na amerykańskim filmie zawsze przykuca przy ładunkach wybuchowych o skomplikowanym mechanizmie zegarowym i zachowuje absolutny spokój, chociaż wszyscy naokoło przekrzykują się na wyścigi:

- Joe, jeszcze piętnaście sekund! Przetnij ten zielony, Joe! Na miłość boską, życie tysięcy niewinnych obywateli tego malowniczego miasta u stóp Gór Skalistych jest teraz w twoich rękach, Joe! Może lepiej przetnij...

A Joe ma jeszcze czas na przełożenie językiem papierosa z jednego kącika ust do drugiego, zanim wreszcie przetnie czerwony przewód, spakuje narzędzia i pójdzie do domu.

Takim właśnie niewzruszonym facetem jest też mój Ben. Takim, o którym się myśli, że ma szerokie bary, nawet jeśli w rzeczywistości jest cienki jak wędzony węgorz. U jego boku można czuć się bezpiecznie. Przy nim nie bałabym się krzyknąć na głos w czasie dorocznej gali kulturystycznej: - Czy to prawda, że wszyscy macie fiutki wielkości fistaszków?

W genetycznym programie Bena zdenerwowanie, dygot, drżące ręce i zroszone potem czoło przewidziane są tylko w następujących przypadkach: start i lądowanie samolotów, w których właśnie siedzi, turbulencje na dużych wysokościach, rzekomo dziwne odgłosy turbin oraz słowa kapitana wypowiedane - zdaniem Bena - zrozpaczonym głosem: „Bardzo prosimy o pozostanie na swoich miejscach i nieodpinanie pasów”.

- Ten człowiek spisał już siebie i nas na straty - mruknął z goryczą Ben w czasie naszego wspólnego lotu na Teneryfę. Co nieestety usłyszał mały chłopiec siedzący obok niego, który z przerażenia otworzył szeroko oczy i wrzasnął w panice: „Maaamaaaa, spadaamyyyy!”. No cóż, wiadomo, że nikt nie lubi spadać. Niektórzy pasażerowie chcieli natychmiast rozmawiać z kapitanem, inni zaczęli się modlić. Dopiero po wielokrotnie powtarzanych komunikatach, że naprawdę nie ma powodów do niepokoju, ponieważ spodziewane są tylko niewielkie turbulencje, udało się opanować panikę. Pewne napięcie utrzymywało się jednak do końca lotu, a rozładowało dopiero w burzy frenetycznych oklasków i okrzyków radości po szczęśliwym lądowaniu. Parę osób chciało

podziękować kapitanowi, ale ten odmówił wyjścia z kabiny. Jestem przekonana, że do dziś niektórzy pasażerowie swoją opowieść o tamtym urlopie zaczynają słowami: „To było wtedy, kiedy nasz samolot znalazł się o włos od katastrofy, a ja byłem jedyną osobą na pokładzie, która zachowała zimną krew i...”

Wydaje mi się, że tak naprawdę Benowi przeszkadza w lataniu to, że nie on jest pilotem. Ben należy bowiem do osób, które czują się najpewniej, gdy osobiście odpowiadają za to, co się dzieje. Woli sam popełniać błędy, niż cierpieć wskutek błędów innych. Dlatego pracuje na własny rachunek, dlatego gotuje w naszym domu i dlatego zawsze siada za kierownicą, jakby było oczywiste, że to on będzie prowadził, nawet jeśli jedziemy moim samochodem. Co zresztą robimy raczej rzadko, ponieważ panu Cramerowi niezbyt odpowiada wystrój mojego pojazdu. Nie lubi bowiem, kiedy na tylnym siedzeniu suszy się mój kostium kąpielowy - dwa razy w tygodniu spędzam co najmniej pół godziny na basenie, żeby przyspieszyć proces spalania tłuszczu - nie podoba mu się też, że za siedzeniem pasażera przechowuję segregatory z napisem „Zdrowie”, „Ubezpieczenie” i „Podatki”. W bagażniku natomiast trzymam latem wełniane swetry, a zimą łyżworolki.

No i co z tego? Mnie się to wydaje praktyczne. Nasze mieszkanie nie należy do największych i nie mamy tam schowka. W takich warunkach uważam za rzecz naturalną, że samochód traktuje się jako dodatkowy pokój. Mój volkswagen golf, który jest czerwony i tak stary, że szyby opuszczają się jeszcze na korbkę, to skrzyżowanie łazienki, szafy na ubrania i półki na dokumenty. Kiedy powiedziałam Benowi, że jego kombi doskonale można by wykorzystać jako biblioteczkę i zdeponować tam moje stare książki

z dzieciństwa, z którymi za nic nie chcę się rozstać, zareagował bez specjalnego entuzjazmu. A przecież w bagażniku byłoby dość miejsca na wszystkie tomy *Pięciu przyjaciół* łącznie z książkami z serii *Trzy znaki zapytania* plus książki z obrazkami takie jak *Mała gąsienica* *Żółteczka* czy *O małym krecie, który chciał wiedzieć, kto komu narobił na głowę*. Te dwie ostatnie to zresztą może ulubione. Ale jakoś nie chciał się dać przekonać.

Ben i ja uzupełniamy się doskonale, ponieważ w dokładnie różny sposób jesteśmy kompletnie roztrzępani, więc nie możemy robić sobie nawzajem zarzutów. On popełnia błędy, bo robiąc coś, myślami jest zupełnie gdzie indziej. Ja popełniam błędy, bo wyjątkowo mocno skupiam się na tym, żeby żadnego błędnie popełnić. Na przykład myślę sobie tak: „Mam nadzieję, że ta szlachetna taca z sześcioma bezcennymi ogonami homarów nie wyleci mi teraz z rąk na oczach tych wszystkich ważnych ludzi i nie spadnie na ten wysoce wrażliwy dywan...”

Jak już powiedziałam, Ben to raczej taki typ, który nie skupia się na tym, co właśnie robi, lecz na tym, co zrobił przed chwilą. Doprowadziło to do niejednej katastrofy, zwłaszcza w któryś pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia. Wywar ze szlachetnych gatunków ryb bulgotał od paru godzin. Ben doglądał go z czułością, potem zaczął doprawiać, opowiadając mi przy okazji o redaktorce z działu kosmetycznego pisma „Laura”, która trzy razy w tygodniu dzwoni do niego w sprawie rzekomej awarii komputera, a potem okazuje się, że to wszystko przez jakiś źle wetknięty kabel. Wiadomo, że na coś takiego od razu nadstawiłam uszu.

- Na pewno się w tobie podkocha!
- Nie wydaje mi się. Sonia ma przyjaciela.

- O, a ty skąd o tym wiesz?
- Sama mi powiedziała.
- Tak? A kiedy?
- Kiedy mnie zaprosiła na kawę.
- Nic mi o tym nie mówiłeś!
- A co ci miałem mówić? Przecież nigdy cię nie obchodzi, z kim piję w bufecie kawę.

- Co innego, kiedy dotyczy to kobiet, które wymyślają sobie awarie komputera, bo napaliły się na mojego faceta.

- Sonia wcale się nie napaliła na...
- A chociaż ładna?
- Bo ja wiem? Może i ładna, ale nie jakoś specjalnie...
- Ach tak? „Może i ładna”? Przecież dobrze wiem, co w twoich ustach znaczy „może i ładna"! U faceta o takim stoickim usposobieniu jak twoje to prawie miłosne wyznanie! Pewnie jest bardzo szczupła, ale z superbiustem, co? A ty jesteś na tyle naiwny, żeby wierzyć, że ona nic od ciebie nie chce, bo opowiada ci, że ma już faceta? Bardzo cię przepraszam, ale wiadomo, że takie rzeczy to się robi wtedy, jak się chce, żeby facet, którego chce się zaciągnąć do łóżka, myślał, że nie chodzi o nic zobowiązującego. Spół sposób stary jak świat, ale pan Benedykt Cramer daje się oczywiście podejść jak dziecko! Brawo!

W tym miejscu muszę dodać, że nie byłam tak naprawdę zazdrosna, ale chciałam skorzystać z okazji, że mogę się pozłościć. Bo bardzo lubię się pozłościć. To wzmacnia struny głosowe i poczucie własnej wartości. Zazdrość to w moim wypadku coś w rodzaju masturbacji. Używam jej jako środka zapobiegającego rutynie. Poza tym daje to zawsze bardzo przyjemny efekt uboczny,

mianowicie Ben całkiem na serio się denerwuje, kiedy w ten sposób okazuję zazdrość. Jest przecież przekonany, że nic takiego nie zrobił. On się denerwuje, a ja wcale nie jestem tak naprawdę zazdrosna, tylko raczej bardzo zadowolona, bo czuję się wtedy jeszcze bardziej kochana. W końcu udało mi się sprowokować Bena do jakiejś wyraźniejszej emocji, czyli niezadowolenia.

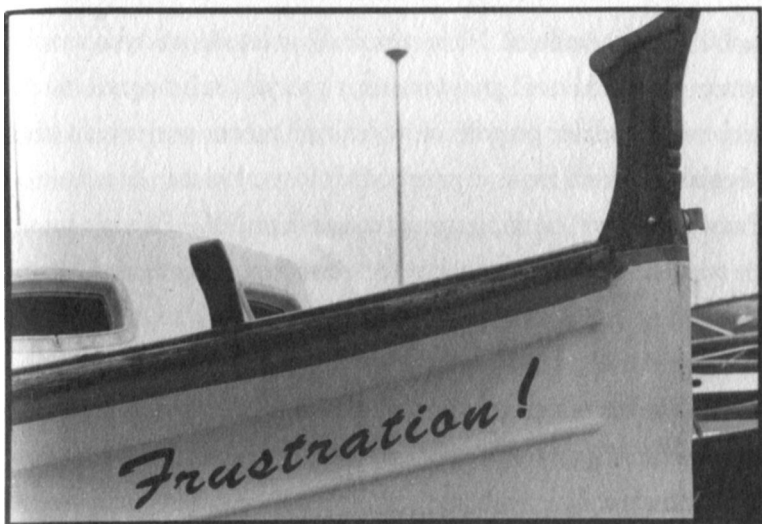
Ben zaczął się od razu usprawiedliwiać, a jednocześnie był na siebie wściekły, że się usprawiedliwia. Potem popadł na chwilę w urażone milczenie i postanowił, że mam poznać po wyrazie jego twarzy, że nie ma dłużej ochoty roztrząsać takich bzdur. To właśnie była ta chwila, kiedy zapomniał podstawić garnek i wylał bezcenny rybny wywar prosto do zlewu. W sienie została tylko żałosna kupa rozgotowanych szczątków.

Wieczór nie był już potem specjalnie udany. A moi rodzice, którzy słyszeli wcześniej dumne zapowiedzi o szlachetnej zupie rybnej, dziwili się, widząc na przystawkę chleb z jajkiem oraz ponurą minę gospodarza, który wydawał im się dotąd zawsze człowiekiem niezwykle zrównoważonym.

Przy odrobinie wysiłku
wyrzuty sumienia
spokojnie dadzą się
stłumić

Doszłam już prawie do portu Andratx. Myślami będąc całkowicie przy moim wątpliwym towarzyszu życia, niespodziewanie znalazłam się w samym środku portu jachtowego. Idę sobie zdumiona między rzędami białych jachtów, które wyglądają, jakby czekały na rolę w filmie opowiadającym o życiu Arystotelesa Onassisa. Niestety większość z nich oszpecona jest jakimiś idiotycznymi nazwami. Jak można nazwać taką wspaniałą łódź Frustracja albo Misio-Pysio? Albo Cipuś - prawie się zaczerwieniłam, widząc coś takiego.





Pochłonięta pytaniem, jak komuś może przyjść do głowy, żeby cokolwiek nazwać „cipuś”, nawet nie zauważyłam nadciągających kłopotów.

Nie mam pojęcia, czy inni też tak mają, ale kiedy ja muszę iść do toalety, to zawsze niespodziewanie i jak najszybciej. Na przykład przed długą jazdą samochodem przez kilka dni prawie nic nie piję. Na próżno. Muszę korzystać z toalety przy pierwszym napotkanym motelu. Zawsze. Ben mówi, że mam pęcherz jak staruszek, a moja przyjaciółka Mona po naszej pierwszej wspólnej wyjeździe za miasto zaproponowała, żebym może nosiła pieluszki albo cewnik. Jako pielęgniarzka Mona często stroi sobie takie obrzydliwe fizjologiczne żarty. Ale co fakt, to fakt: praktycznie większość życia upływa mi na poszukiwaniu kibelka.

Tak więc sytuacja absolutnie znajoma: zaciskając uda, Anabella Leonhard pędzi przez jakąś całkowicie pozbawioną toalet okolicę tego świata. W tym wypadku jest to zewnętrzny skraj portu

jachtowego w Andratx. Na szczęście długoletnią praktyką wyrobiłam w sobie zdolność znajdowania z precyzją sejsmografu wszelkich toalet tudzież przedmiotów, których można w tym celu użyć. Mogłabym wręcz napisać przewodnik zatytułowany „Siusianie od Padwy po Paryż - kompletny przewodnik po WC”. Wydaje mi się, że zdanie, które wypowiadam w swoim życiu najczęściej, brzmi: „Bardzo przepraszam, czy mogłabym skorzystać z pani/pańskiej/państwa toalety?”.

- Bardzo przepraszam, czy mogłabym skorzystać z pańskiej toalety?

Człowiek, który właśnie pucuje swój ogromny jacht, nawet z tyłu wygląda tak, że w normalnych warunkach nigdy nie odważyłabym się go zagadnąć. Są takie potylice, które same w sobie emanują taką pewnością siebie, że ciarki człowieka przechodzą. Ale parcie na pęcherz każe czasem zapomnieć o wielu pozornie niedających się przemóc zahamowaniach. Zdarzało mi się już siusiać w spelunach, do których przy normalnym stanie umysłu nie weszłabym bez maski i odzieży ochronnej. A ten człowiek o budzącej respekt potylicy jest akurat jedynym potencjalnym właścicielem toalety, którego w tym pośpiechu udaje mi się namierzyć w porcie. Kiedy się odwraca i mierzy mnie wzrokiem - z zaskoczeniem, ale uprzejmie - natychmiast uświadamiam sobie, że to właśnie on mógłby odmienić moje życie. Zakładając oczywiście, że byłabym osiem lat młodsza, dziesięć kilo lżejsza oraz w regularnych odstępach czasu pojawiałabym się na okładce włoskiej edycji „Vogue'a”.

Co za powalający widok. Wygląda jak duży chłopiec. Z pewnością nie ma jeszcze trzydziestki. „Wyrośnięty” to chyba właści-

we słowo na określenie tego rodzaju ciała. Zupełnie jakby całkiem od niedawna był taki duży i musiał się dopiero do tego przyzwyczaić i cały czas uważać, żeby swoimi długimi rękami nie strącać niechcący ze stołu jakichś przedmiotów. Krótkie blond włoski sprawiają wrażenie, jakby miały się zacząć kręcić, gdy tylko podrosną. Ten człowiek wydaje się tak przyjazny, jakby bez przerwy się z czegoś cieszył, leżał na słońcu, popijał piwo z butelki schłodzonej w morzu, nocami włóczył się z kumplami i odłamywał gwiazdy z mercedesów, wdzierał się na tereny zamkniętych basenów, wspinał po rusztowaniach, a w wesołym miasteczku wygrywał na strzelnicy największego misia dla swojej dziewczyny.

- Oczywiście. Kibełek jest na dole.

Chyba musiałam na niego patrzeć zupełnie maślanymi oczami.

- Schodami w dół, a potem trzecie drzwi na prawo.

- Słucham?

- No, kibełek.

- A, tak, wielkie dzięki - mamroczę zakłopotana, że spotkanie z tym fantastycznym młodzieńcem zawdzięczam tak prozaicznej potrzebie fizjologicznej, a nie własnemu urokowi. Zakładając, że między nami by coś było - że się pobierzemy, wprowadzimy do domu z kominkiem i ceną „do uzgodnienia”, sprawimy sobie labradora i dwójkę uroczych dzieci, które biorą lekcje gry na pianinie i mają kucyka - co my im potem powiemy? „Mamusi zachciało się do kibelka. Gdyby nie to, tatuś nigdy nie zwróciłby na nią uwagi”.

Niezbyt chlubny początek wspaniałej historii miłosnej. Ale człowiek w końcu nie wybiera. W dodatku wcale nie jest powiedziane, że jeśli związek zaczął się mało filmowo, to już do końca

musi tak być. Weźmy takiego Sebastiana, moją pierwszą wielką miłość, którego poznałam tylko dlatego, że w sylwestra 1987 wyłał mi do kaptura butelkę szampana. Muszę tu dodać, że zrobił to w najlepszej intencji i do dziś jestem mu za to wdzięczna, ponieważ uratował mnie tym od czegoś znacznie gorszego.

O północy stałam z bandą przyjaciół na brzegu rzeki Alstery i wydawałam się sobie strasznie szykowna. W przypiływie weny do robótek ręcznych - na szczęście jedynej w moim życiu, jak się później okazało - przyszyłam sobie do kaptura mojego zimowego płaszcza obrzydliwe brunatne sztuczne futerko, które wówczas uważałam za bardzo światowe. Miałam szesnaście lat, czułam się dorosła, nareszcie miałam włosy takiej długości, jakiej zawsze chciałam, a do tego wszystkiego poczucie, że ten sylwester będzie wstępem do wyjątkowo ważnego roku w moim życiu. W tym futerku wydawałam się sobie co najmniej księżną Dianą.

Postanowiłam zatem w możliwie subtelnym i kobiecym sposób posłać w noc raketę, co w zasadzie nawet mi się udało. Tak przynajmniej początkowo myślałam. Nie zauważyłam tylko, że rakietka uderzyła w drzewo i wróciła do mnie jak bumerang, lądując w moim oblamowanym sztucznym futerkiem kapturze. Sztuczne tworzywo futerka i moje włosy natychmiast zajęły się żywym ogniem. A ponieważ ja nadal nie miałam o niczym pojęcia, byłam nieco zaskoczona, kiedy zobaczyłam jakiegoś kompletnie mi nieznanego chłopaka, który podbiegł do mnie w te pędy i zaczął mnie oblewać szampanem.

Dzięki brawurowej akcji Sebastian zdołał uratować jedynie mało istotne resztki mojej fryzury. Płaszcz wraz z futerkiem był oczywiście całkowicie zniszczony, a ja wyglądałam zupełnie jak

wynalazca Diodak z komiksów o Kaczorze Donaldzie po szczególnie nieudanym eksperymencie. Mimo tego nieszczęśliwego początku byliśmy bardzo szczęśliwą parą. Przez całe trzy miesiące. Mówię to wszystko tylko po to, żeby było jasne, że razem z tym niesamowicie czadowym właścicielem jachtu też możemy stanowić wymarzoną konstelację, nawet jeśli miłość mielibyśmy zawdzięczać mojemu parciu na pęcherz.

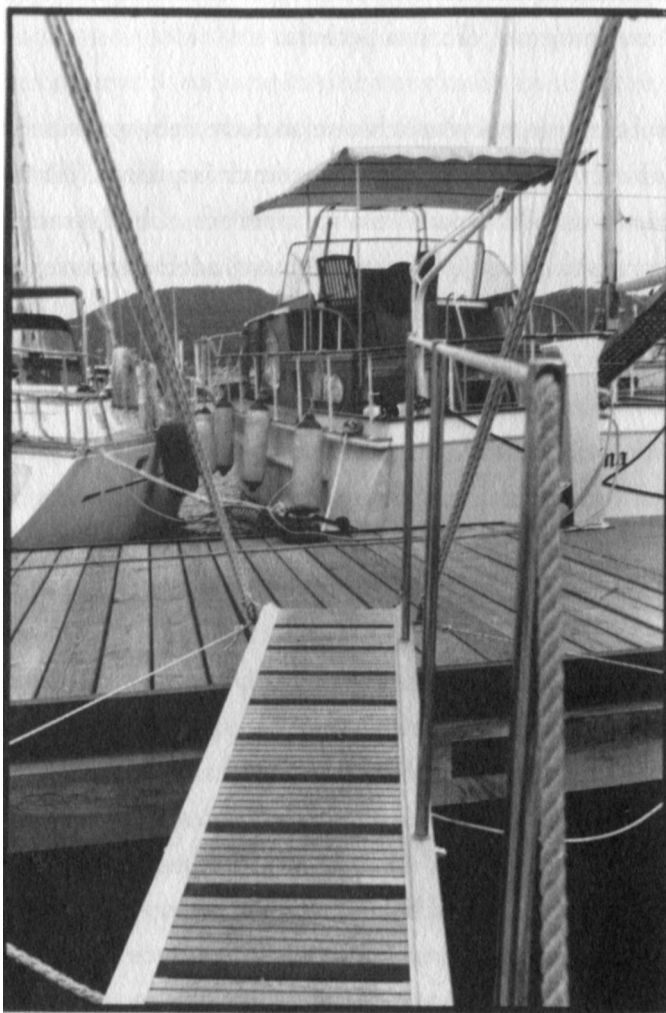
Wykorzystuję pobyt w jachtowej toalecie, żeby sprawdzić swój wygląd i tu i ówdzie dokonać niezbędnych poprawek. Jak to dobrze, że na wszelki wypadek zawsze mam przy sobie błyszczący do ust i grzebień. Usiłuję przywrócić mojej zdeformowanej przez wiatr fryzurze bodaj minimalne resztki godności.

- No to, do boju! - mówię sobie. Nie opuszczę tego jachtu, póki nie zblamuję się na całe życie. Ktoś, kto tak jak ja zamierza wreszcie wziąć życie we własne ręce i sam zadbać o zmiany, nie będzie czekał, aż inni do niego zagadają. Od tej chwili to ja będę zagadywać! Nabieram głęboko powietrza i ku własnemu zdumieniu słyszę, jak mówię:

- Wielkie dzięki. Na razie.

Cholera. Niech to jasna cholera! Dlaczego moja pewność siebie jest równie nieprzewidywalna jak sprzątaczką, którą mamy z Benem mniej więcej od roku? Właściwie przychodzi zawsze wtedy, kiedy już w ogóle się jej nie spodziewam i zdążyłam sama posprzątać. Jeśli jednak na dzień przed jej umówionym przyjściem w naszym domu było siedmiu facetów, którzy oglądali mecz, jedli pizzę i wrzucali niedopałki do pustych butelek po piwie, to mogę być pewna, że nasza sprzątaczką zadzwoni, że jest

chora. Dokładnie tak samo jak moja pewność siebie ma ona nieomyślne wyczucie, kiedy naprawdę jest coś do zrobienia. A wtedy i jedna, i druga wykorzystują to jako pretekst, żeby się na mnie wyjąć i wrócić z niewinną minką dopiero wtedy, kiedy nie są mi do niczego potrzebne.



Mimo wszystko próbuję mieć dla siebie zrozumienie. Niepowodzenia trzeba zanalizować, żeby można było wyciągnąć z nich naukę. W końcu to nie miało szansy się udać. Sam pomysł, że mogłabym zagadać do tego młodego boga na jachcie, był mniej więcej równie idiotyczny jak zgłoszenie do nowojorskiego maratonu rozlazłego grubasa na drewnianych protezach. Klasyczny przypadek przecenienia własnych sił. Zdarza się. Postaram się, żeby się nie powtórzyło. Balansując na chwiejnym trapie, wybaczyłam sobie porażkę. Nie należę do tych, którzy długo wypominają sobie własne błędy. Wolę je wypominać innym. A szczególnie swojemu aktualnemu w danym momencie facetowi. Tak więc byłam już całkowicie pogodzona ze sobą, zanim zdążyłam stanąć z powrotem na stałym lądzie.

- Hej, nie przejechałabyś się ze mną trochę? I tak miałem właśnie zamiar wypłynąć, żeby wypróbować waverunera.

Nie mam bladego pojęcia, co to takiego waverunner. Nie mam też bladego pojęcia, czemu zawdzięczam to głupie szczęście, że moje życie znowu bez mojego udziału zmienia się akurat we właściwym kierunku. Zdaję sobie sprawę, że w wełnianym sweterku i dzinsach będę wyglądała na tym jachcie jak okutany po uszy Eskimos w saunie. Ale kiedy się odwracam, czuję się wystarczająco piękna, by pozować dla „Vogue'a”.

Mówię więc:

- Dzięki. Z przyjemnością.

Ciekawe, czemu paella jest zawsze co najmniej na dwie osoby? Kto nie ma towarzystwa, nie dostanie też paelli. Wystarczy że jesteś kobietą bez faceta, a nawet karty dań nie są dla ciebie dostępne bez ograniczeń. Zastanawiam się, gdzie się podziewa Gesa, i w końcu zamawiam tę paellę na dwie osoby, chociaż jestem tylko jedną osobą. Dla zabicia czasu przeglądam sobie ostatnie SMS-y w komórce. Może lepiej ją wyłączyć, żeby nie marnować baterii? Najpóźniej do jutra się wyczerpie, a jeśli do tego czasu nie znajdzie się moja walizka z ładowarką, to nawet nie będę mogła powiadomić moich obydwu facetów, na którego z nich się zdecydowałam. Poza tym chciałabym oczywiście wiedzieć, kiedy w końcu mój drogi Benedykt spróbuje się ze mną skontaktować. To takie typowe. Faceci przeważnie dopiero wtedy orientują się, że z ich związkiem jest coś nie tak, kiedy ich partnerka się wyprowadziła.

Przyszły dwa SMS-y. Pierwszy od hiszpańskiego operatora, który wita mnie w swoim kraju i oferuje bajecznie korzystne taryfy. Drugi jest od Gesy: „nie zdaze czekaj o dziewiątej w porcie”.

Cała Gesa. Żadnego wyjaśnienia, żadnego przepaszam. Gesa chyba jeszcze nigdy w życiu za nic nie przeprosiła. No i co tutaj znaczy „w porcie”? Jak ona zamierza mnie znaleźć? I od kiedy to kobieta w jej wieku potrafi wysyłać SMS-y? Chociaż, odkąd nawet moja mama zaczęła korzystać z internetu, przestałam się czemukolwiek dziwić. Znamienne też, że Gesa zrezygnowała ze znaków przestankowych i dużej litery na początku

zdania. Takie SMS-y są typowe dla ludzi ekstrawertycznych i raczej samolubnych: szybkie do napisania, ale trudne do zrozumienia.

Mój Ben na przykład nawet w SMS-ach przywiązuje wielką wagę do prawidłowej pisowni. Weźmy na przykład jego wiadomość z poprzedniej niedzieli:

„Dzis wieczorem bedzie kolejny odcinek serialu Tatort i spaghetti arrabiata, jesli masz ochote. Zglos sie, prosze. Od 19.00 bede w domu. Ben”.

Albo ten z poprzedniego piątku:

„Nagły problem u ważnego klienta! Sorry, kochanie, ale późno wroce, więc prezenty beda dopiero w nocy:-) Na razie. Wszystkiego najlepszego!!!”.

Patrzcie, patrzcie. Nagła sprawa u ważnego klienta. I to akurat w moje urodziny. Myślę, że każda kobieta przyzna mi rację, jeśli powiem, że nie ma tak ważnego klienta, który usprawiedliwiłby problem, jaki będzie miał w domu facet, który zostawia swoją partnerkę na lodzie w dniu jej urodzin.

- No co, to przecież trzydzieste pierwsze - stwierdził w dodatku mój niewrażliwy partner życiowy, kiedy wylewałam na niego swoje żale przez telefon. Trudno się dziwić, że od razu bardzo się wkurzyłam. Powiedziałam mu wprost, że nie ma najmniejszego pojęcia o kobiecej psychce, bo przecież każdy normalnie rozwinięty facet powinien wiedzieć, że to właśnie nie trzydzieste, tylko trzydzieste pierwsze urodziny stanowią traumatyczne przeżycie dla kobiety. Trzydziestkę obchodzi się hucznie, zjawiają się wszystkie przyjaciółki i pocieszają, że to nic takiego, jest mnóstwo

prezentów i jest caipirinha do bladego świtu, i wszyscy są strasznie mili. A rok później? Wszystkim się wydaje, że pogodziłaś się z tym stanem, i zostawiają cię samą z twoim bólem i nikt cię nie pożałuje, że niedługo czterdziestka. No chyba prawdę mówię.

- Kochanie, to twoje trzydzieste pierwsze urodziny, a nie czterdzieste. No i strasznie mi przykro, że nie możemy pójść dzisiaj na kolację. Zadzwoń do Steffi. Może ma akurat czas?

- „Może ma akurat czas?”. Dziękuję bardzo, ale nie potrzebuję niani. Mówisz tak, jakbym była trudnym dzieckiem, którego z przyjemnością pozbędziesz się chociaż na jeden wieczór.

- Kochanie, naprawdę muszę już lecieć. Poświętuj sobie trochę. Nadrobimy wszystko w sobotę. Zrobię spaghetti arrabiata i może obejrzymy jakiś film?

- Wsadź sobie gdzieś swoje spaghetti!

- Nie to nie.

Obraził się. Dobrze mu tak.

Wiedziałam oczywiście, że zrobiłam mu tym dużą przykrość. Uwielbiam spaghetti arrabiata, ale tylko to zrobione przez Bena. A najbardziej lubię, kiedy mogę sobie wszystko posypać parmezanem z torebki, koniecznie firmy Miracoli. Wprawdzie smakuje jak bułka tarta, a wygląda jak mączka rybna, ale przypomina mi czasy dzieciństwa, kiedy mama chodziła we wtorek wieczorem na gimnastykę, a my robiliśmy sobie makaron z paczki. Pozytywna strona mojej namiętności do tego sera jest taka, że parmezan z torebki jest nieporównanie tańszy niż dojrzewający przez czterdzieści osiem miesięcy parmezan z delikatesów, którego pół kilo kosztuje tyle co tydzień w ekskluzywnym hotelu na Fuerteventurze razem z przelotem. Czasami, może ze cztery razy w roku, Ben

idzie w sobotę do Karstadta i kradnie dla mnie dwie torebeczki parmezanu z dużego opakowania. Jestem wtedy przeschęśliwa. A jeśli w dodatku w niedzielny wieczór do spaghetti arrabiata leci w telewizji kryminalny serial *Tatort*, jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

Ale dzisiaj nie pozwolę, żeby takim czytelnym manewrem odwiódł mnie od właściwego tematu dyskusji:

- Tobie się wydaje, że ja przez ten makaron zapomnę o bardziej zasadniczych problemach. Jakie to typowe. Wystarczy, że pojawia się kryzys, a pan Benedykt Cramer stosuje wybieg z problemem u ważnego klienta.

- Przecież to tylko twoje trzydzieste pierwsze urodziny, a nie żaden kryzys, a ja naprawdę muszę już lecieć. Może jeszcze nie będziesz spała, jak wrócę.

- Może w ogóle mnie nie będzie, jak wrócisz!

Tyle jeszcze zdążyłam melodramatycznie rzucić w słuchawkę. Chociaż wcale nie byłam pewna, czy to w ogóle usłyszał. Mimo wszystko czułam się jakoś zobowiązana do spełnienia tej groźby wypowiedzianej, było nie było, na głos. Tak mi się czasem zdarza, że w ogniu kłótni wygłaszam coś, czego potem czuję się zobowiązana dotrzymać. Dlatego w ostatnich latach stałam się nieco ostrożniejsza z wypowiedziami w rodzaju: „Ani mi się śni widywać z tobą w najbliższych dniach!” albo „No to sobie sama pojedę nad morze na weekend!”, albo „Nie, dziękuję, straciłam apetyt!”.

Tego rodzaju słowa nieraz kosztowały mnie parę nocy u mojej przyjaciółki Steffi. Co nie było jeszcze takie najgorsze. Znacznie gorzej wyglądał weekend nad Bałtykiem w krytej strzechą chacie przy sztormie dochodzącym do ośmiu w skali Beauforta. Nigdy

jednak nie cierpiałam z powodu swojego wybuchowego temperamentu bardziej niż tego wieczoru, kiedy mieliśmy opijać z Benem jego pierwszego dużego klienta. Ben właśnie się usamodzielniał, zakładając CCN, czyli Cramers Computer-Notdienst. Pomysł okazał się doskonały. Normalny człowiek nigdy nie jest bardziej zrozpaczony i gotowy zapłacić dużą kasę za pomoc niż wtedy, kiedy jego komputer odmawia posłuszeństwa i ani drgnie.

Ben poznał w ten sposób prawie wszystkie swoje przyjaciółki. Sabinie zawiesił się atari, pochłaniając pracę egzaminacyjną. U Kerstin zaczęła dymić wtyczka od kabla, kiedy miała zapisać na dysku tekst powieści, która zresztą potem i tak nigdy się nie ukazała. Ja też po raz pierwszy wybrałam numer Bena, kiedy na ekranie mojego maca nagle zaczęła pulsować bomba. „A fatal error occurred”, brzmiał złożony wielkimi literami komunikat. Ben uratował mój pierwszy przekład dla wydawnictwa Jakobs & Kursesdim i już kilka dni potem byliśmy parą - w zasadzie natychmiast po moim rozstaniu z Lutzem, którego i tak miałam zamiar zostawić. Brakowało mi tylko odpowiedniego pretekstu.

Ben zaprosił mnie z tamtej uroczystej okazji do eleganckiej restauracji. Na coś takiego w normalnym układzie raczej nas nie stać i miałam wrażenie, że kelnerzy w Le Canard zadają sobie wiele trudu, żeby tego nie zauważyć.

Dzisiaj nie pamiętam już dokładnie, o co się wtedy pokłóciliśmy. Musiało to być jednak dla mnie coś absolutnie poważnego, ponieważ zareagowałam udawanym brakiem apetytu. A po tak drastyczne środki sięgam naprawdę w absolutnie wyjątkowych sytuacjach. Pamiętam tylko, że Ben, człowiek, którego poza turbulencjami w samolocie nic nie jest w stanie wyprowadzić z rów-

nowagi, zrobił się lekko nerwowy, kiedy nie tknęłam ani kęsa z głównego dania.

Besame, besame mucho. Śpiewający gitarzysta podchodzi do mojego stolika, a ja przyłapuję się na tym, że nucę razem z nim. Ale mi głupio. Zupełnie jakbym była jakąś tam zwykłą turystką, która po hiszpańsku umie powiedzieć tylko *vamos a la playa* oraz *eviva España*. Co jest zresztą prawdą.

Czy powinnam wysłać Benowi SMS-a? Nie, wykluczone. Teraz jego kolej. Przecież dobrze wiem, co sobie myśli: „Ona na pewno wróci”. I jak dotąd zawsze miał w tym względzie rację. Ale w zasadzie powinien się zorientować, że teraz stawką jest wszystko albo nic. W końcu przecież dostatecznie jasno i wyraźnie dałam mu to do zrozumienia na tej kartce, którą zostawiłam na stole:

„Potrzebuję dystansu i czasu na zastanowienie. Do niedzieli będę na Majorce u ciotki Gesy. Odezwę się stamtąd. Na razie. Anabella”.

Wypróbowałam pewnie z piętnaście różnych wersji tej wiadomości, zanim wreszcie trafiłam na taką, która wyglądała jak pisana w pośpiechu. Teraz są następujące możliwości: albo Ben jeszcze nie zauważył kartki, bo po pracy od razu poszedł na spotkanie z Nikosem, albo wyrzucił ją, nie czytając, bo znowu się nad czymś zamyślił, albo chciał porządnie wywietrzyć i wszystkie przedmioty lżejsze niż pół kilograma pofrunęły w najdalsze zakamarki mieszkania. Kiedy Ben wraca z pracy, w głowie ma nadal tylko pracę, co

powoduje, że zachowuje się - delikatnie mówiąc - jak debil. Może to zabrzmie absurdalnie, ale tę formę nieporozumienia między Benem a mną uważam za całkiem możliwą. Znamy się już prawie pięć lat, a on nadal uważa, że ja naprawdę myślę to, co mówię. Nasz związek - jak coraz wyraźniej zdaję sobie z tego sprawę - naprawdę znalazł się punkcie krytycznym.

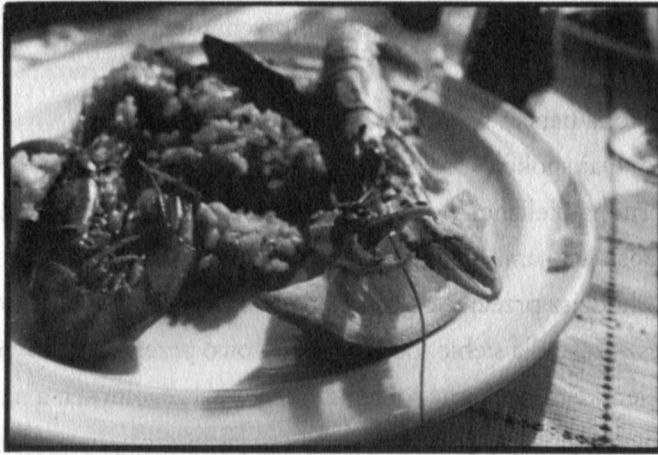
No właśnie. I tym samym pochłonęłam też ostatni kęs paelli para dos personas. Przynajmniej do tego nie potrzeba mi faceta. A teraz mi już nudno. Chciałabym w końcu móc komuś opowiedzieć, co mi się dzisiaj przytrafiło. Zamawiam jeszcze pół butelki wina i dzwonię do mojej przyjaciółki Mony. Nie ma jej w domu. Cholera. Może na komórkę? Też nic. Pewnie ma dyżur w szpitalu. Przy odrobinie szczęścia można ją złapać na dyżurze w sali pooperacyjnej. Mona kocha swoją pracę. Jest pielęgniarką anesteziologiczną i strasznie jej odpowiada, że ma do czynienia z pacjentami uśpionymi, którzy trzymają buzie na kłódkę i nie marudzą.

- Mona? Słuchaj, gdzie jesteś? Co tam tak popiskuje?

- Praca serca. Mam tu pacjenta po operacji pęcherzyka żółciowego, właśnie się wybudza. A ty? Już chyba z tydzień nie dajesz znaku życia. Gdzie jesteś? A tak w ogóle to co się dzieje, gust muzyczny ci się zmienił, czy jak?

Hiszpański *guitarero* zaczął właśnie grać *Guantanamerę* i jakaś kompletnie pijana kobieta przy sąsiednim stoliku usiłuje mu wtórować.

- Nie, nie, no co ty. Jestem na Majorce i taki facet z gitarą chodzi od stolika do stolika. Ale jest coś znacznie ważniejszego: Rozstają się!



- Co takiego?

Mam wrażenie, jakby tamto popiskiwanie w tle zrobiło się szybsze. Ale może to moje serce bije szybciej.

- Rozstaję się!!!

- Mówisz, że gdzie ty jesteś? Na Majorce? Dlaczego? Od kiedy? Przecież jutro miałyśmy iść razem na bikram jogę!

- Przecież ci mówiłam, że drugi raz za nic tam nie pójde. Ani mi się śni leżeć znowu na jakimś przepoconym dywanie w temperaturze 40 stopni i przy dziewięćdziesięciodziewięcioprocentowej wilgotności.

Byłyśmy z Moną na zajęciach tydzień temu. Było to coś naj-
obrzydliwszego, co mnie kiedykolwiek spotkało. Dwadzieścia
osób w przegrzanym mieszkaniu w oficynie z przedpotopowymi
wykładzinami. A kobitka koło mnie wydzielala taki zapach, że za-
stanawiałam się, czy nie wprowadzić jej wyziewów na rynek jako
naturalnego środka odurzającego.

- A co ty w ogóle robisz na Majorce?

- Potrzebuję trochę czasu na przemyślenia - mówię z naciśkiem.

Mona parska śmiechem.

- Daj spokój. Co, Ben znowu wrzucił makulaturę do kosza na brudną bieliznę? A może ciągle jeszcze mu nie wybaczyłaś, że cię zostawił samą na trzydzieste pierwsze urodziny? Normalnie przychodzisz przecież do mnie, kiedy mówisz Benowi, że potrzebujesz czasu dla siebie, bo musisz to i owo przemyśleć. Wypijamy buteleczkę, narzekamy sobie na Bena w szczególności, a na facetów w ogólności i pod koniec wieczoru jesteś szczęśliwa, że w ogóle masz faceta. I to w dodatku takiego, który się regularnie myje i nie pluje na chodnik. Daj spokój, dzisiaj to przecież nie jest takie oczywiste. Powinnaś być wdzięczna, ćwicz się w pokorze i pomyśl o tym, że nie jesteś już najmłodsza i najszczuplejsza. Chociaż u ciebie to się w ogóle nie rzuca w oczy, bo wszystko naprawdę ładnie się rozkłada.

- Czyli twoim zdaniem wszystko byłoby w porządku, gdybym została z Benem tylko dlatego, że uważam się za zbyt starą i zbyt grubą, żeby sobie znaleźć innego?

- Przestań, dziewczyno, to przecież całkiem sensowny powód. Bywają takie związki, które opierają się na znacznie wtlejszych podstawach. Poza tym obie przecież dobrze wiemy, że kochasz Bena i najpóźniej po następnym odcinku tego twojego *Tatortu*, który będziesz zmuszona obejrzeć sama i bez spaghetti, wrócisz do niego skruszona.

Znowu zachichotała.

- O nie, Mona - mówię, siląc się na apokaliptyczny ton. - Tym razem sprawa jest poważna.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Z satysfakcją dostrzegam pierwsze oznaki zaniepokojenia w głosie Mony. - Przecież jeszcze tydzień temu wszystko było jak zawsze. Co się stało?

- Po prostu uświadomiłam sobie, że już mi nie wystarcza, że wszystko jest jak zawsze.

- Czyżbyś znowu obejrzała jakiś program dokumentalny o uchodźcach?

To aluzja do tego, że jakieś pół roku temu byłam niemal gotowa przeprowadzić się do Mongolii. Przez nieuwagę obejrzałam na kanale Arte jakiś poruszający film o życiu w Mongolii. W jakiś tajemniczy sposób poczułam więź z tym ludem i jego zwyczajami i już widziałam siebie, jak galopuję po bezkresnych mongolskich stepach. Kupiłam przewodnik i wyszukałam numer szkoły językowej, ponieważ w żadnym razie nie chciałam zaczynać nowego życia kompletnie nieprzygotowana. Kiedy jednak za trzecim razem też było zajęte, porzuciłam swój plan i zamiast tego zaczęłam fantazjować na temat prowadzenia pensjonatu wakacyjnego w nadmorskim kurorcie Kuhlungsborn.

Ale mój obecny kryzys jest bardziej zasadniczy. Tak więc przez następne pół godziny próbuję wyjaśnić Monie, jak to możliwe, że w tak krótkim czasie sprawy zaszły tak daleko i że w zasadzie cały ten kłops zawdzięczam tylko i wyłącznie dwóm osobom: Kaiowi Pflaumemu i Maksowi Frischowi.

Bo to jest tak, że jeśli mogę, oglądam prowadzony przez Kaia Pflaumeego telewizyjny program rozrywkowy *Liczy się tylko miłość*. Oczywiście nikt o tym nie wie poza Benem, który musiał mi przysiąc, że nikomu nie piśnie ani słowa. Myślę, że mogę mu

ufać, ponieważ czułyby się głupio, gdyby się przyznał, że mieszka pod jednym dachem z kimś, kto ogląda takie programy i w dodatku jeszcze przy tym płacze. Ale mój Benni jest bardzo tolerancyjny. W końcu przywykł jakoś, że wprowadziłam się do niego z osiemnastoma pokancerowanymi pluszakami. I w dodatku pozwolił - w tym celu wielokrotnie musiałam zagrozić odejściem - żebym ozdobiła ściany jego kuchni ornamentem z wesołych motywów warzywnych. Tyle że każdemu, kto do niego przychodzi, wyjaśnia zupełnie niepytany, że ten ornament kompletnie nie odzwierciedla jego gustu. I że zezwolił na to dziwactwo tylko dlatego, żeby w ramach rewanżu mógł sobie powiesić w przedpokoju plakat z serialowym statkiem kosmicznym Orion.

Tak czy inaczej niecałe dwa tygodnie temu siedziałam znowu wstrząśnięta przed telewizorem i patrzyłam, jak Kai Pflaume godzi ze sobą pary. Przygotowałam sobie małą przegryzkę: mnóstwo krojonego w kostkę sera, do tego kilka kawałeczków jabłka. Od kiedy przestałam palić, w sytuacjach ekstremalnego napięcia muszę mieć jakieś uspokajające pożywienie. Chyba gdzieś w czasie drugiej przerwy na reklamy zobaczyłam ten niesamowicie poruszający spot: piękna kobieta, mniej więcej w moim wieku, ale o skórze czterolatki, złożyła mi kuszącą propozycję. Otóż mam przez osiem dni używać kremu Oil of Olaz. Jeśli po tym okresie nie zauważę wyraźnego ustąpienia objawów starzenia się skóry, otrzymam zwrot pieniędzy. Aż mnie zatkało. No bo chyba muszą być absolutnie pewni, że to działa? Inaczej by przecież czegoś takiego nie proponowali! Chciałam to natychmiast omówić z Bennem, ale on powiedział, że ma ochotę sobie poczytać i nie ma te-

raz czasu na takie pierdoły. I żebym sobie łaskawie przypomniała, jak ostatnim razem, też po jakiejś telewizyjnej reklamie, tak samo się zapaliłam, a teraz cała szafka jest pełna produktów slim fast tylko dlatego, że jakiś mój odchudzony idol zapewniał: „I ty też możesz!”.

- Przecież ty wierzysz w każdą głupotę - stwierdził Ben. Byłam dosyć urażona, ponieważ uważam się za całkiem krytyczną konsumentkę. Jestem elastyczną, ciekawą nowości klientką, która chętnie wypróbuje nowy produkt i nie zamyka się na nowe trendy na rynku. Zaliczyłam na przykład po kolei wszystkie rodzaje czekolady Ritter-Sport, wiem dokładnie, które czekoladowe jajeczka są najlepsze, a jeśli idzie o wypieki bożonarodzeniowe w ogólności, a ciasteczka maślane w szczególności, to wiem o nich wszystko.

W każdym razie następnego dnia kupiłam jednak ten krem z emocjonującym poczuciem, że nareszcie znalazłam sposób, żeby powiedzieć „stop” procesowi starzenia się. Dość istotne przedsięwzięcie, zważywszy moje trzydzieste pierwsze urodziny. Wieczorem tego samego dnia - można się ze mnie śmiać, ale dla mnie to znak od losu - zauważyłam, że mój regał z książkami się chwieje. Kiedy przyjrzałam się dokładniej, stwierdziłam, że wysunęła się książka, którą wiele lat temu go podparłam. Była to powieść Maksa Frischa *Powiedzmy, Gantenbein...* Oczywiście czytałam ją kiedyś, jak miałam szesnaście lat, uważałam się za intelektualistkę i planowałam sama zostać światowej sławy pisarką. Głównie jednak czytałam Maksa Frischa dlatego, że mój ówczesny chłopak Jens, który przypominał trochę Robina, też czytał Frischa. Jens właśnie zdał celująco maturę, wybierał się na

filozofię i rzucał zdania w rodzaju: „Dlaczego mam umieć naprawiać samochód, skoro potrafię czytać Kanta?”. Mimo to był bardzo przystojny.

W przerwach między kochaniem się czytaliśmy sobie nawzajem fragmenty książek, które uważaliśmy za mądre: Milana Kundery, Hermanna Hessego, no i właśnie Maksa Frischa. Wiele z wypowiedzianych tam myśli uważałam za fantastyczne i zakreślałam sobie fragmenty, które szczególnie mi się podobały. Na taki właśnie fragment natknęłam się owego wieczoru. Przeczytałam go kilkakrotnie, aż umiałam go niemal na pamięć.

„Pozostaje jedynie skłonność, cicha, głęboka, niemal niewzruszona. Czy to może jest niczym? Przetrzykaliście już prawie wszystko z wyjątkiem końca, nie jest dla was nowością, że jedno z was ucieka w ciemność nocy, że zjawia się gniew, że nie pomaga dwudniowe milczenie, jesteście parą, w każdej chwili wolną, ale parą. Niewiele tu można zrobić. Czasami myśl: dlaczego właśnie ty? Rozglądacie się za innymi mężczyznami, innymi kobietami. Niewiele tu wchodzi w rachubę albo wszystko. Nic nie będzie bardziej szalone od waszej ówczesnej miłości, najwyżej takie samo. Czy była szalona? O tym nie mówicie. Z tkliwego szacunku dla terażniejszości. A jeżeli mówicie, to z wyrzutem, który jest niesłuszny jak każdy wyrzut pod adresem życia. Kogóż można winić za przyzwyczajenia?”¹.

¹ Max Frisch, *Powiedzmy, Gantenbein...*, Warszawa 1994, tłum. Jacek Fruhling (przyp. tłum.).

Pamiętam dokładnie, jak nas te słowa przeraziły i poprzy-
sięgliśmy sobie, że z nami nigdy tak się nie stanie. Udało nam
się. Nie mieliśmy okazji przywyknąć do siebie czy wręcz stać się
dla siebie czymś zwyczajnym. Rozstaliśmy się po czterech mie-
siącach.

Fragment ten wzbudził moją nerwowość, tak jak wzbudziłyby
nerwowość u każdej kobiety będącej z jednym partnerem dłużej
niż półtora roku. To tak, jakby najlepsza przyjaciółka nagle oznaj-
miła nam, że postanawia wyjechać na rok za granicę, zapisać się
na biofizykę albo sama pójść na dyskotekę w sobotę wieczorem,
zamiast - tak jak wcześniej zapowiadała - obejrzeć romantyczną
komedię w telewizorze. Człowiek ma wtedy od razu takie uczu-
cie, jakby sam coś przegapił. Jakby sam nie dość intensywnie żył,
nie dość przeżył. W moim wypadku ten cytat z Maksa Frischa za-
działał oczywiście podwójnie w połączeniu z kremem, który obie-
cywał mi wieczną młodość, oraz z nadciągającymi urodzinami.
Max Frisch bardzo wyraźnie postawił przede mną problem, który
istniał zawsze, ale którego dotychczas po prostu nie zauważyłam.
W jednej chwili stanął mi przed oczami cały smutek mojej zmar-
nowanej egzystencji. Zaczęłam czytać dalej i wtedy już całkiem nie
było dla mnie ratunku.

„Kiedy drugie z was już zasnęło, powstają plany podobne
do tych, jakie snują więźniowie, wtedy, w ciemnościach
nocy, jesteście zdecydowani na każdy zwrot, na wyłama-
nie się, pełni odwagi, dziecinni, nie jest to pożądanie, lecz
tęsknota za pożądaniem; pakujecie walizki”.

Te słowa rozbrzmiały w mojej głowie jak syrena alarmowa, jak wezwanie do zuchwałości, do wyłamania się i wyruszenia do krajiny przygód.

I nie uwierzysz, Mona - kończę swoją relację - przygoda właśnie się zaczęła. Jestem świeżo zakochana!!!

- Co takiego?! - Mona sprawia wrażenie maksymalnie zaniepokojonej.

- Jestem...

- Poczekaj moment, bo pacjent się rusza. Nie odkładaj, zaraz będę z powrotem i chcę się wszystkiego dowiedzieć! - Słyszę z daleka, jak Mona mamrocze coś uspokajająco, potem wraca do telefonu. - No, załatwione, jeszcze sobie trochę pośpi. To czekaj, podsumujmy: znowu się nudzisz, czytasz Frischa, oglądasz program o zakochanych, chcesz się rozstać, a przynajmniej coś przeżyć, jedziesz na Majorkę, chcesz tam rzekomo coś przemyśleć i trzy godziny po przylocie od razu zakochujesz się w kimś na zabój, tak?

- Mniej więcej.

Napawam się milczeniem Mony. Przez kilka chwil słysząc tylko pikanie serca pacjenta bez pęcherzyka żółciowego.

- A co to za jeden? Opowiedz mi wszystko, tylko ze szczegółami!

Następuje trzydzieści minut, przez które z lubością opisuję swoje przeżycia z ostatnich godzin. Od parcia na pęcherz aż po pocałunek. Wszystko. Do najdrobniejszego szczegółu.

- No i co ty na to, Mona? Co mam robić?

Po drugiej stronie słyszę tylko rytmiczne popiskiwanie.

- No powiedz coś, Mona. Wiesz, ja po prostu nie mogę się zdecydować, którego z nich wybrać.

Nareszcie to z siebie wydusiłam. Napawam się każdą zgłoską tego zdania jak kulką nieprawdopodobnie śmietankowych lodów o smaku waniliowym.

- Mona?

- Słyszę, słyszę. Ty, co to tak piszczy?

- Myślałam, że to ten twój pacjent.

- Nie, nie, jego już zabrali na oddział. A może telefon ci się wyładowuje?

- O kurczę, chyba masz rację!

- Słuchaj, Bella, coś ci powiem: sama wiesz, co powinnaś zrobić. Zaraz wyślę SMS-a, zanim padnie ci telefon. Przepiszesz go sobie wielkimi literami na kartce, a kartkę nalepisz sobie na czoło. Jasne?

- Co to znaczy? Że sama powinnam wiedzieć, co zrobić? Słuchaj, Mona, ja naprawdę strasznie się teraz miotam i chyba... Mona! Mona?

Odłożyła słuchawkę. W tym samym momencie usłyszałam przeraźliwy wrzask.

- Dzieciiiiinko! Co ty tu robisz?! Szukam cię już od godziny i mało pęcherzy nie dostałam od naciskania klaksonu!

Moja ciotka Gesa właśnie wysiada z kremowego jaguara cabrio. Ma na sobie długą do ziemi szyfonową sukienkę w lamparcie ciapki, a na nogach szpilki tak wysokie, że od razu przypomniał

mi się film *Sublokatorka*, w którym jedna kobitka załukła faceta czymś podobnym. Gesa Matuschke wygląda strasznie. Strasznie i cudownie. Właśnie taką ją pamiętałam i właśnie taką ją uwielbiam: sucha jak szczapa, spalona na brąz jak rybak i uzbrojona po zęby w złotą biżuterię.

Gesa, tak jak mój ojciec, pochodzi z biednej rodziny. Zanim po raz pierwszy wyszła bogato za męża, była pedikiurzystką i do dwudziestego trzeciego roku życia mieszkała z rodzicami, bo nie stać jej było na własne mieszkanie. Od tamtej pory kocha wszystko, co drogie. To od niej dostawałam jako dziecko lalki, które były ubrane lepiej ode mnie. Paczki z prezentami od niej były zawsze największe, a ich zawartość przeważnie zawstydzająco droga i równie zawstydzająco kiczowata. Ze wspomnę choćby różową toaletkę czy monstrualny dom dla lalek, który przez całe lata stał u nas w dużym pokoju, bo do mojego dzieciennego się nie mieścił, a na osiemnastkę dostałam zegarek od Cartiera, którego nie chciała nosić nawet moja mama, bo twierdziła, że postarza.

Gesa ma po trzy pierścionki na każdym palcu oraz garsonki o wartości mini coopera, ale i tak jest po prostu pedikiurzystką z miasta Wilhelmshaven. Nigdy się tego nie wstydziła. Ma wielkie serce, niestety dość niewyparzony język, w zasadzie ani na chwilę nie przestaje mówić i zawsze pokazuje, co czuje i co się w niej dzieje. Kiedy został zastrzelony Gianni Versace, przez kilka dni nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. Natomiast demonstracyjnie zamówiła sobie wizytę u kosmetyczki, kiedy cały świat z zapartym tchem śledził uroczystości pogrzebowe księżnej Diany.

- A tak właściwie to czemu siedzisz w tej spelunie?



Gesa obejmuje mnie wylewnie, całuje w prawy i lewy policzek, co - jak później stwierdzam, patrząc w lustro - pozostawia na nich płomienne czerwone znamiona. Gesa nie znosi żadnych pseudo-pocałunków trafiających gdzieś obok kości policzkowych w nicłość. Jak już coś robi, to naprawdę. Albo nie robi wcale.

- To oczywiście, dlaczego nie mogłam cię tutaj znaleźć! Czy ty nie wiesz, że w Andratx chodzi się tylko do Don Giovanniego? Mam nadzieję, że nie tutaj nie jadłaś i się nie pochorujesz! Wylądowałaś punktualnie? O dziewiątej, tak? Przykro mi, że nie mogłam cię odebrać z lotniska.

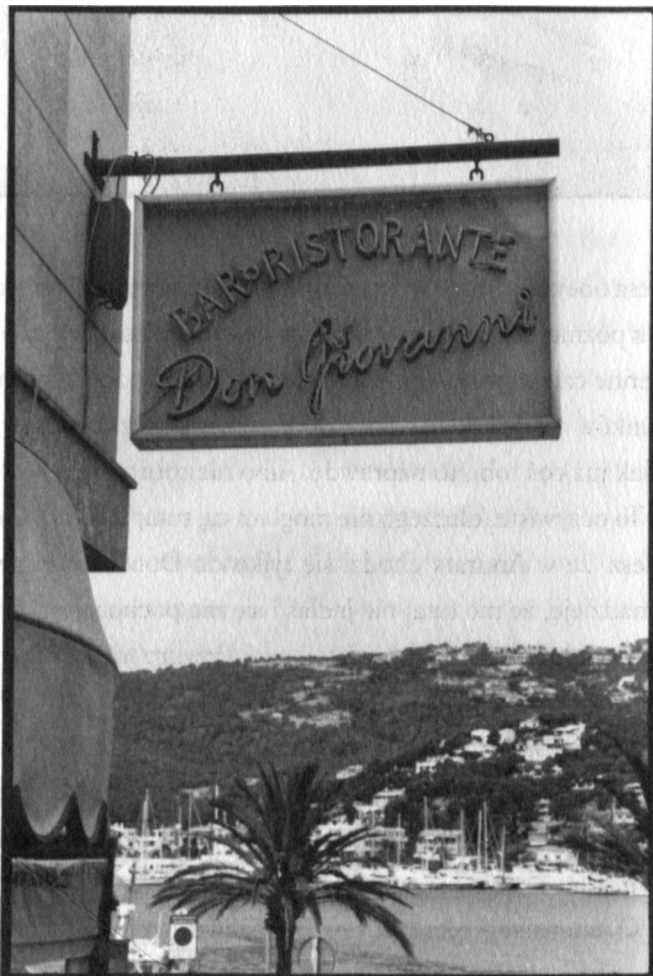
- Nie ma sprawy. Miałam bogaty w wydarzenia dzień.

- Jak to „dzień”?

- No cóż, o jedenastej byłam u ciebie, a ponieważ nikogo nie zastałam, jakoś sobie zorganizowałam ten czas.

- O jedenastej? Skarbie, czy to możliwe?! A ja cały czas myślałam, że przylatujesz wieczorem! No to całe szczęście, że nie

miałam kiedy cię odebrać, bo niepotrzebnie bym się tam tylko na-
czekała! To twój багаż? Tylko tyle? Kelner! Proszę to zanieść do
samochodu i przysłać mi rachunek do domu. Nazwisko i adres
mam nadzieję państwo znają. Chodź, Bella, kochanie, pojedzie-
my teraz do domu, a potem chcę się dowiedzieć o tobie wszyst-



kiego. Ile to się nie widziałyśmy? O wiele za długo w każdym razie! A właściwie to czemu jeszcze nie wyszłaś za mąż? Podoba ci się mój nowy samochód?

Godzinę później z błogim uczuciem opadam na poduszki. Gesa uparła się, żeby opowiedzieć mi w przyspieszonym tempie, co się u niej działo od czasu rozvodu. Moje żądze i wyjątkowe problemy trochę mnie rozpraszały, ale rozumiałam przynajmniej tyle, że jest jakiś bardzo gruby i bardzo bogaty jegomość, który ją adoruje.

Przez zasłony wpada do pokoju blask księżyca, a ja oczywiście za nic nie mogę zasnąć. Każdy, kto zjadł kiedyś wieczorem paellę dla dwóch osób, wie, że człowiek czuje się potem tak, jakby ktoś wymienił mu wszystkie narządy wewnętrzne na cementowe odlewy. No ale przynajmniej przywołuje mi to wspomnienie tego, co zdarzyło się na Lady Harmony. Fakt, że od popołudnia zdążyłam to sobie przypomnieć już ze trzysta razy i że opowiedziałam Monie o wszystkim niemal w czasie rzeczywistym, zupełnie w niczym mi nie przeszkadza. W końcu swoje ulubione filmy też oglądam w kółko. I za każdym razem wzdycham głośno i z całego serca, kiedy Hugh Grant na końcu *Notting Hill* zjawia się na konferencji prasowej, żeby powiedzieć Julii Roberts, że zachował się jak idiota i że ją kocha. A kiedy wszyscy zaczynają bić brawo, dostaję gęsiej skórki, a kiedy oni potem leżą na ławce i ona jest w ciąży, a wcześniej zdążyła jeszcze szybko odebrać Oscara... No ale nie o tym miałam mówić. Teraz to moje życie przyprawia mnie o gęsią skórkę. I to nie dlatego, że mi zimno. Więc czy to nie cudowne?

Kiedy wypływaliśmy z portu Andratx, wydawałam się sobie tak fantastyczna, że aż się dziwiłam, czemu nie gonią nas motorówkami żadni paparazzi. Normalny człowiek poruszający się po wodzie zazwyczaj jakimś bezimiennym dmuchanym materacem nie ma nawet pojęcia, co to znaczy płynąć na pokładzie Lady Harmony: motorowego jachtu wielkości Nadrenii-Palatynatu, z kuchnią od Bulthaupta, trzema sypialniami, garderobą i salonem o kubaturze sali obrad parlamentu. Absolutny ful wypas. Jestem przekonana, że na takich jachtach obowiązuje zakaz picia czegokolwiek innego poza szampanem. Pewnie w momencie kupna podpisuje się umowę z następującą klauzulą: „Kupujący zobowiązuje się, że na pokładzie nabytego przez niego jachtu nie będzie się korzystało z produktów nabytych w sieciach Aldi, H&M, Rossmann i tym podobnych. Ponadto prawo wstępu na jacht mają wyłącznie kobiety z miseczkami od C wzwyż i o maksymalnej wadze ciała do 45 kg”.

A ja tu jestem. Anabella Leonhard, biust 80A, i czuję się absolutnie fantastyczna - i absolutnie nie na miejscu.

Nie ma chyba bardziej męskiego zajęcia niż prowadzenie jachtu, który jest większy od wszystkich naokoło. Wtedy nie chodzi o sprawy takie jak wewnętrzne wartości, bogactwo, urodę czy serce dla dzieci. Wtedy liczy się tylko sama wielkość. Niewykluczone, że przejściowo zainteresowałam się nawet dwugłowym karzełkiem z zajęczą wargą, gdyby stał u steru.

- Jak ci właściwie na imię? - spytałam, podnosząc na niego oczy i trzepocząc rzęsami jak Dziewica Maryja do archanioła Gabriela, kiedy ten obwieszczał jej niepokalane poczęcie.

- Robin. A tobie? Nie, poczekaj, spróbuję sam zgadnąć.

No tak, uwielbiam takie zabawy. Takie coś zawsze źle się kończy. To zupełnie tak samo, jakby cię ktoś zapytał: „Zgadnij, ile mam lat”. Jeśli wtedy powiesz: „Na pewno nie więcej niż dwadzieścia osiem”, bo oceniasz tę blond cizję na trzydzieści parę, ale niekoniecznie chcesz ją wkurzyć, ona robi obrażoną minę i rzuca: „Mam dwadzieścia pięć”. I już masz o jednego wroga więcej. Z tego samego powodu czuję się zawsze kompletnie zbita z tropu, kiedy ktoś naprawdę trafi, ile mam lat. W takiej sytuacji bowiem wszyscy ludzie siłą się na uprzejmość i kłamię, co oczywiście oznacza, że w rzeczywistości wyglądam na co najmniej o trzy lata starszą, niż jestem. Mam nadzieję, że Robin - moim zdaniem zachwycające, młodzieńcze, a zarazem niezwykle obiecujące męskie imię - nie wpadnie na zabawny pomysł, żeby odgadnąć moją wagę. No i mam nadzieję, że nie powie, że mam na imię Gudrun czy Hildegunda.

- Wyglądasz jak, poczekaj, powiedziałbym, że na pewno masz na imię... Stella!

- Przykro mi, nie trafiłeś.

Poczułam ulgę. Stella to brzmi jeszcze całkiem tajemniczo, nawet lekko uwodzicielsko, niemalże namiętnie. A może to sobie tylko wmawiam?

- Czy mogę mimo wszystko nazywać cię Stellą?

- Jeśli nie zależy ci, żebym się do ciebie odwróciła, kiedy mnie zawołasz, to proszę bardzo.

- Może z biegiem czasu jakoś do niego przywykniesz?

- A może ty z biegiem czasu przywykniesz do mojego prawdziwego imienia?

- Nie masz czasem ochoty stworzyć siebie na nowo? To przecież jedyna w swoim rodzaju okazja. Ja nadaję ci nowe imię, a ty wymyślasz sobie do tego nowe życie.

- A ty? Ty też zamierzasz mi tylko odpowiedzieć, kim chciałaś być, a nie kim naprawdę jesteś?

- Co do mnie, to jestem właśnie taki, jaki chciałbym być. Trzymaj się!

Zaśmiał się, wcisnął gaz i silnik zadudnił głucho i bulgocąco. Pewnie tak mniej więcej brzmi głos Mario Adorfa, kiedy ciężko przeziębiony wygłasza monolog. Zostawiliśmy z tyłu port i zastanawiałam się, czy na pewno nie sprawiam wrażenia osoby, która najchętniej byłaby zupełnie gdzie indziej. To by było oczywiście niekorzystne. Ale może jednak sprawiam na Robinie wrażenie kobiety o nieposkromionej fantazji, z którą można wypróbować podniecające gry myślowe i erotyczne. Miałam nadzieję, że to drugie. Chociaż to kompletna nieprawda.

Zdecydowanie jestem zainteresowana rzeczywistością. Uwielbiam, żeby ludzie mnie poznawali. Uwielbiam kawałek po kawałku pokazywać siebie, powoli odwijać swoje życie niby tajemniczy zwój pergaminu. Zawsze ilekroć ktoś mnie na nowo poznaje, ja poznaję siebie razem z nim. I za każdym razem odkrywam w sobie coś nowego, ponieważ zmuszona jestem odpowiedzieć na pytania, których nigdy dotąd nikt mi nie zadał, albo przychodzi mi do głowy zupełnie inna odpowiedź na pytanie, które zadawano mi już setki razy.

Uwielbiam ten czas, kiedy przyjmuję nową postać w oczach drugiej osoby. Zwłaszcza wtedy, oczywiście, jeśli w grę wchodzi stan zakochania. To takie pasjonujące dowiadywać się, w kim się człowiek zakochał. Poznawać jego historię, słuchać o jego rodzinie, o jego przyjaciółach, o tym, co daje mu szczęście, a co go unieszczęśliwia. Jest to taki czas, w którym po raz pierwszy wszystko robimy razem, czas, który później niejednokrotnie wspomina się z melancholią i czułością. Znacznie później, kiedy - powiedzmy - siedzicie sobie przy winie w kuchni - wtedy już wiesz od dawna, że on najbardziej lubi czerwone hiszpańskie - i mówicie: A pamiętasz, jak to było, kiedy się poznaliśmy...?

Niektórzy do tego stopnia uwielbiają to poznawanie się, że chcieliby je przeżywać wciąż od nowa. Bezustannie rozpoczynają nowe związki, ponieważ tak się składa, że początek każdej miłości to najpiękniejszy czas życia. I osiągają tyle, że bezustannie mają ten piękny czas, bezustannie te ekscytujące początki, bez przerwy przeżywają pierwsze pocałunki i pierwsze noce - tyle że później nie mają nikogo, z kim mogliby to sobie wspominać. Nikos, przyjaciel Bena, to właśnie taki poznawacz. Permanentnie zakochany. Co sześć miesięcy przedstawia nam nową przyjaciółkę. Zawsze zaczyna się od tego, że ma nam coś do zakomunikowania. A najfajniejsze w tym wszystkim jest to, że za każdym razem zaprasza nas w tym celu do coraz droższych restauracji. Po pierwsze dlatego, że za każdym razem mu się wydaje, że wreszcie poznał kobietę swego życia. Po drugie ponieważ coraz bardziej głupio się wobec nas czuje i stara się zamknąć nam usta, przekupując nas coraz to droższymi daniami i winami. Po prostu chce uniknąć sytuacji, że w zaawansowanej godzinie spotkania

oznajmię jego nowej, że z poprzednią nową Nikosa świętowaliśmy w restauracji Indochiny z widokiem na port. Poza tym Nikos nie za bardzo lubi, żeby coś mu przypominało, że swoją ostatnią nową poznał przy barze dokładnie w ten wieczór, kiedy jego przedostatnia nowa zniknęła na dłużej w toalecie, ponieważ azjatycki półmisek z przystawkami okazał się zbyt dużym wyzwaniem dla jej żołądka chomikowych rozmiarów.

Nikos nie wie, co to nuda. Ale nie wie też, co to za uczucie, kiedy człowiek nie pragnie niczego więcej, jak nudzić się z tym właśnie człowiekiem, który leży nieogolony i milczący na kanapie, kompletnie niewzruszony, że właśnie mija niedzielne popołudnie. W niedzielne popołudnia Nikos przeważnie uprawia seks. Nikos generalnie przeważnie uprawia seks. Rzadko ogląda telewizję i w zasadzie chyba nigdy się nie zdarzyło, żeby Nikos spędził z którąś ze swoich przyjaciółek wspólny długi wieczór przy filmach.

Jedna chciała kiedyś koniecznie obejrzeć razem z nim *Gladiatora* z Russellem Crowe. Tymczasem już przy pierwszej, niezwykle przejmującej scenie bitewnej, w czasie której tysiące dzikich Germanów zostaje zaszlachtowanych w wysoce nieapetyczny sposób, jedno i drugie poczuło nieoczekiwane podniecenie, wskutek czego rzucili się na siebie i przegapili całą wspaniałą resztę filmu. Jeśli ktoś by mnie zapytał, jaka jest definicja zdrowego, długotrwałego związku, to powiem od razu: żadnego bara-bara, dopóki na ekranie widać Russella Crowe'a, Bruce'a Willisa czy mojego absolutnego faworyta Brada Pitta. Nikos natomiast zaczyna rozglądać się za nowym związkiem, gdy tylko scena z Penelope Cruz pociąga go bardziej niż pocałunek z jęczyzkiem z aktualną przyjaciółką.

Zanim zacznie się z nią nudzić, a seks przestanie być namiętny. Zanim ona zdąży się do niego wprowadzić, poustawiać mu kompaktki w porządku alfabetycznym i wyrazić chęć wydania na świat jego dzieci, on rozstaje się z nią dla innej. Która jest dokładnie taka sama. Tyle że nowa.

Czy Ben czasami zazdrości Nikosowi? Pewnie tak. Tak samo jak czasem ja mu zazdrozczę. Za nic nie wolno z czymś takim wychodzić do partnera, ale zawsze zdarza się, że czujemy tęsknotę za nową miłością. Żeby nasza miłość była nie wiadomo jak wielka, to jednak kiedy przekroczy pewien określony czas trwania, serce nie bije już szybciej, kiedy on zaczyna rozpinać koszulę. Byłoby to zresztą zdecydowanie niezdrowe i do tego niezwykle czasochłonne. Ile dziesięcioleci w sumie każda z nas spędziła w wannie i przed szafą, żeby przygotować się na spotkanie z uwielbianymi mężczyznami! Gdybyśmy były stale od nowa zakochane, to nie mogłybyśmy chodzić regularnie do pracy, nie miałybyśmy czasu na rodziców, na przyjaciółki i na spalanie tłuszczu i prawdopodobnie nigdy nie wiedziałybyśmy tak do końca, co się dzieje w naszym ulubionym serialu. No bo do dziś doskonale pamiętam, jak z powodu mojego szkolnego kolegi Paula na całe dwa tygodnie kompletnie odsunęłam się od reszty świata. Był to niesłychanie podniecający czas, ale do dziś nie umiem powiedzieć, czy moje koleżanki nie przeżyły czegoś piękniejszego, oglądając kolejne odcinki *Ptaków ciemnych krzewów*, które ja wtedy przegapiłam. Oczywiście takie dojmujące filmowe wydarzenia są regularnie powtarzane, ale to już nie to samo. To musiało być coś zapierającego dech w piersiach przeżywać live i bez przygotowania śmierć Stewiego - biedny chłopiec został zamordowany przez dzika -

pożar rancza Drogheda czy namiętny seks między Maggie Cleary i ojcem Ralphem. Ja z Paułem nigdy nie wyszłam poza petting.

Ale tak właściwie to chciałam powiedzieć, że nie należy włączyć w swój związek tylko dlatego, że sobie wyobrażamy, jak by to było fajnie zasnąć (czy może raczej nie zasnąć) w ramionach tego niesamowicie dobrze zbudowanego trenera od fitnessu. Albo że czasem w tramwaju popatrzymy sobie ukradkiem na wyrwane z jakiegoś pisma zdjęcia pana supersexy Brada Pitta i cichutko westchniemy. Facet jest przecież żonaty, a poza tym chyba byśmy umarły ze strachu, gdyby tak nagle stanął przed nami i powiedział:

- Chcę cię teraz i na zawsze. Chodź ze mną, wspaniała, rozpalająca zmysły kobieto!

No bo co by nam przyszło do głowy w odpowiedzi? Pewnie coś w rodzaju:

- Niech pan wpadnie do nas dziś wieczór na kolację. Mój mąż bardzo się ucieszy, że będzie mógł pana poznać.

Bo tak naprawdę nie ma nic bardziej zbijającego z tropu, niż kiedy fantazje stają się rzeczywistością. Człowiek jakoś tak nawet nie bardzo tego chce.

Ze snami jest tak samo. To normalne, nie ma nic w tym złego. W każdym poradniku dla par można o tym przeczytać. Problemy zaczynają się wówczas, kiedy do tęsknoty za odmianą dołączy się okazja do odmiany. Wtedy są dwie możliwości: albo trzymać się swego i uciec gdzie pieprz rośnie, a potem przez całe życie zadawać sobie pytanie, jak też to wszystko mogłoby się rozwinąć, albo zaryzykować, pójść na całość i przeżyć przygodę, a potem przez całe życie zadawać sobie pytanie, jak też wszystko by się potoczyło, gdybyśmy nie poszły na całość.

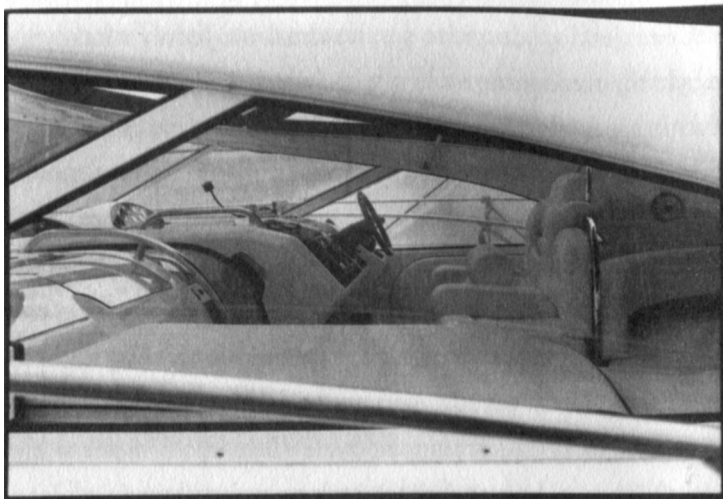
Cóż, i jedno, i drugie to sprawa drażliwa. Jedno w każdym razie było dla mnie jasne i tyle w zasadzie chciałam powiedzieć: absolutnie nie miałam zamiaru bawić się w idiotyczną gierkę Robina z cyklu „ja cię nazwę Stella, a ty sobie wymyślisz do tego nowe życie”. Z drugiej jednak strony nie chciałam wyjść od razu na nudziarę, kiedy nasz związek był jeszcze tak świeży. Podjęłam zatem, jak mi się zdawało, fantastycznie mądrą decyzję. W tamtej chwili nawet nie przypuszczałam, jakie to pociągnie za sobą komplikacje. Postanowiłam przedstawić mu moją marną egzystencję jako wymyślone na poczekaniu nowe życie. Odpadło brnięcie w kłamstwa o piętrowej konstrukcji, co i tak na pewno by mi się nie udało, bo jestem strasznie zapominalska. W dodatku dzięki temu wyjdę na taką, która nie chce psuć zabawy, a przy okazji mój cudowny Robin, nawet o tym nie wiedząc, pozna mnie naprawdę. Co za chytre szachowe posunięcie!

- Hej, Stella! To co, zabawisz się?

- No jasne. Mogę posterować?

Nie chciałabym przesadzać, ale naprawdę wyglądało to wszystko tak, jakby los wybrał sobie właśnie mnie, żebym elegancko, lekkim skrzytem nadgarstka prowadziła po morzach świata ciężki jak stado słoni jacht. Robin objaśnił mi funkcje różnych dźwigni. Poradziłam sobie z tym znakomicie, co najbardziej zdumiało mnie samą, bo przecież nie dalej jak parę tygodni temu nie byłam w stanie zamknąć dachu w saabie mojej przyjaciółki Steffi.

Pożyczyłam od niej wóz, bo miałam odwiedzić przyjaciół mających dom na wsi, a nie chciało mi się gniewać w moim starym golfie, w dodatku bez otwieranego dachu. Wyruszyłam przy pięknej



pogodzie, ale ledwie wyjechałam na autostradę, niebo się zachmurzyło. Zjechałam na parking i gorączkowo zaczęłam naciskać jakieś guziki. Nie wydarzyło się nic godnego uwagi poza może tym, że dopiero przy tej okazji zorientowałam się, że dysze spryskiwaczy szyb są źle ustawione i płyn zamiast na szybie, ląduje na głowie kierowcy, w tym wypadku mojej. Kiedy za chwilę naprawdę zaczęło padać, nie miałam już wyboru.

Depnęłam do dechy i pognałam pełnym gazem w stronę Hannoveru. Na tyle bowiem znam się jeszcze na fizyce praktycznej, że wiem, że deszcz z reguły pada z góry. No chyba że się bardzo szybko jedzie, to wtedy pada z przodu. Była to bardzo emocjonująca jazda, ponieważ za nic nie mogłam zwolnić poniżej stu dwudziestu. Czułam się jak Sandra Bullock w filmie *Speed*, klaksonem przepędzałam z lewego pasa różne BMW, a jednego ślamazarnego golfa w ogóle zgoniłam poza drogę. Przemykając obok, zobaczyłam, że był to chyba nawet ten sam model co mój. Niechętnie

się do tego przyznaję, ale w czasie tej wycieczki odkryłam w sobie zupełnie nowe strony. Normalnie należę do tych, którzy z prawego pasa głośno pomstują na agresywny styl jazdy kierowców sprawiających wrażenie, jakby mieszkali na lewym pasie. Ale kiedy człowiek się spieszy i do tego prowadzi odpowiedni wóz, automatycznie staje się świnią. W moim golfie nawet nie miałam szans się spieszyć. Tak więc dotychczas nie miałam możliwości lekceważąco traktować innych uczestników ruchu. Toteż nawet trochę się wstydziłam, że kiedy wreszcie taka okazja wpadła mi w ręce, natychmiast z niej skorzystałam. Ale radochę miałam przednią.

Przyjechałam pół godziny przed umówionym czasem. Zaalarmowani przez komórkę przyjaciele czekali już przed swoim młynem i - ponieważ nie mają garażu - trzymali rozpostartą w pogotowiu wielką plastikową płachtę, którą normalnie okrywają stogi siana.

Nie, nie, naprawdę nie mam zdolności technicznych, muszę to przyznać bez ogródek, ale prowadzenie tego jachtu sprawiało mi frajdę. Robin objaśniał mi, jakie mijamy zatoki, a ja nie posiadałam się z radości, że jak dotąd nie zadał mi, znaczy Stelli, żadnych pytań. Gadaliśmy tylko o wyspie, o morzu, jak cudownie czy sta jest woda i że na jachcie o wiele szybciej można dostać udaru niż na brzegu. Takie tam błahostki. Nic ważnego. Ale ja i tak miałam wyrzuty sumienia. Bo słyszałam, że śmieję się jak nastolatka. Bo cały czas niepewnie przejeżdżałam dłońią po włosach. Bo kiedy Robin położył mi dłoń na ramieniu, żeby zwrócić mi uwagę na narciarza wodnego, w którego najwyraźniej celowałam, pomyślałam sobie, że nawet orgazm pochwoy nie daje pewnie większych wrażeń. Nie ma co, naprawdę miałam powody do zmartwienia.

Ale przy odrobinie wysiłku wyrzuty sumienia spokojnie dają się na jakiś czas stłumić.

Skupiłam się zatem na obserwowaniu najbliższego otoczenia, zwłaszcza ud Robina. W zasadzie nie jestem specjalnie powierzchowna. No OK, gdybym miała wybierać, to wolałabym faceta o jędrnym tyłeczku niż takiego, który nie przepuści żadnej wieczornej audycji w telewizji Kultura. Ale zewnętrzna powłoka Robina podoba mi się do tego stopnia, że marzę o tym, żeby była szczelna i odporna na rozerwanie. Wtedy jest szansa, że nie wydo- stanie się spod niej nic, co zepsuje przepiękny widok. Po prostu będę tylko na Robina patrzeć i dotykać go i będę zadowolona. Zupełnie jak z prezentu, którego najchętniej nie wypakowywałoby się ze wstążek i bibułki z obawy, że opakowanie jest znacznie ładniejsze niż sama zawartość. Mogłoby się na przykład okazać, że ten idealny mężczyzna ma na sobie stringi albo nie daj Boże jest fanem Britney Spears. Nie należy wprawdzie wywoływać wilka z lasu, ale obawiam się, że nogi Robina mogłyby mi się spodobać bardziej niż jego osobowość. A byłoby tak szkoda, gdyby te długie, smukłe, mocne, muskularne, ozdobione spalonymi słońcem włoskami... Co ja gadam, będę Robina lubiła niezależnie od tego, jak wygląda w środku. Co do tego byłam zdecydowana. Takie uda drugi raz się w życiu nie trafią.

- O, patrz! Tam na górze mieszkam!

Właśnie wracaliśmy z Robinem z rejsu i przepływaliśmy obok zatoki Cala Llamp. Posiadłość ciotki Gesy królowała na wzgórzu niby zadowolony z siebie Budda i wyglądała naprawdę imponująco.

- Widzisz ten dom gościnny z niebieskimi okiennicami? - Podałam Robinowi lornetkę. - Tam właśnie mieszkam. Mam łóżko z widokiem na morze.

Robin zaśmiał się, jakbym opowiedziała wyśmienity dowcip. Przy tej okazji znowu zwróciłam uwagę, że ma niesamowicie wesole oczy i że niewielu mężczyzn potrafi wybuchnąć takim nieskrępowanym śmiechem. Większość z tych, których znam, uważa wszelkie głośniejsze demonstracje uczuć za oznakę braku męskości. Mam wrażenie, że faceci bardzo lubią, żebyśmy nie miały najmniejszego punktu zaczepienia pozwalającego się domyślić, co się w nich dzieje w środku. Pewnie dlatego, że bardzo często nic się tam nie dzieje.

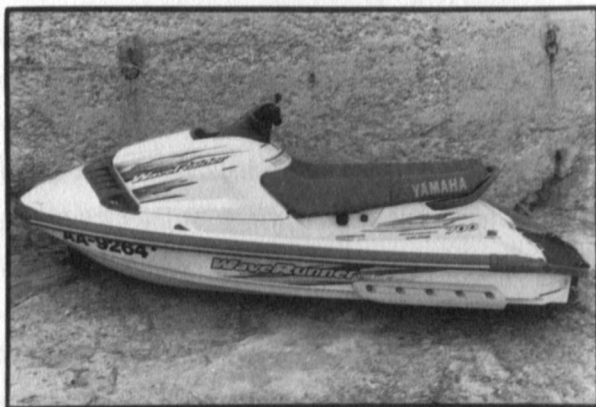
Robin był pod wrażeniem rezydencji Gesy.

- Niezły wybór. A więc tak rozpoczyna się nowe życie Stelli X. Zobaczymy, na ile konsekwentna będziesz w naszej zabawie. Podrzucić cię waverunnerem do brzegu? No bo podobno jesteś prawie pod domem.

- Bardzo chętnie! Chociaż tak naprawdę nie mam pojęcia, co to takiego ten waverunner.

Jakie to cudowne, kiedy nie trzeba kłamać, a mimo wszystko wychodzi się na kogoś z fantazją! Superowska zabawa! Robin na pewno pomyślał, że jak tylko zniknie za rogiem na tym wypasionym jachcie, ja szybciotko zadzwonię po taksówkę, żeby dostać się tam, gdzie naprawdę śpię, czyli pewnie do jakiegoś zapyziałego kempingu gdzieś w głębi lądu.

Waverunner okazał się czymś w rodzaju dwumiejscowego skutera na nartach wodnych. Każdej kobiecie, która koniecznie, ale przy okazji niepostrzeżenie, chciałyby się przytulić do faceta swoich



marzeń, mogę ten sprzęt gorąco polecić. Chociaż przyznaję, że na co dzień trudno o taką okazję. Wtedy pozostaje tylko jeden stary jak świat numer: pójść do kina na jakiś horror i udawać, że się ma słabe nerwy, jeśli to akurat nieprawda. Ja natomiast wtuliłam się w Robina, nie budząc kompletnie żadnych podejrzeń, i byłam najszczęśliwszą osobą na ziemi. Z niesamowitą prędkością skakaliśmy przez fale i parę razy aż krzyknęłam „jippiiiii!”, żeby dać odpowiedni wyraz mojemu zachwytowi. Przy brzegu przytuliłam się do Robina w podziękowaniu.

- Ach, to było cudowne! Wielkie dzięki za podwiezienie!

- Jak to możliwe, że mieszkasz w takiej luksusowej rezydencji, a jeszcze nigdy nie płynęłaś waverunnerem?

Ha, próbuje przetestować moją fantazję, cwaniaczek jeden, ale nic z tego.

- Dom należy do mojej ciotki. Ja przyjechałam tylko w odwiedziny.

- Jak długo tu będziesz?

- Do niedzieli.

- Czy to prawda?

- Być może.

No nie, ależ się sobie wydałam superowa i tajemnicza. Odgarnęłam mokre włosy z czoła, tak jak zawsze robią to dziewczyny Bonda, kiedy wychodzą z morza.

- W takim razie powinniśmy się jak najszybciej znowu zobaczyć, nie sądzisz? - Robin patrzył na mnie lekko zmieszany, co wyniosło moją pewność siebie na niebotyczne wyżyny i pozwoliło mi rzucić luźno w odpowiedzi:

- Też mi się tak wydaje. To może jakoś jutro?

A może trochę przesadziłam? Przez chwilę miałam obawy, że posunęłam się za daleko. Ale nie, wszystko poszło jak trzeba.

- Przyjechać tu po ciebie o czwartej? Moglibyśmy popłynąć do takiej pięknej zatoczki po północnej stronie. Miałabyś ochotę?

- Pod warunkiem, że jest to odludna zatoczka.

Cholera, sama sobie wydałam się niesamowicie lubieżna. Nawet sobie nie zdawałam sprawy, że jestem do tego zdolna.

- Dosyć odludna.

- To wspaniale.

- Rzeczywiście. A tak w ogóle jak to z tobą jest?

- A co ma być?

- Jesteś do wzięcia, Stello X?

- Jestem tu właśnie po to, żeby się tego dowiedzieć.

No nie, kurczę, ale to zabrzmiało! Aż sama zrobiłam na sobie wrażenie, a Robin patrzył na mnie z zainteresowaniem.

- To w takim razie do jutra.

Nie wiedziałam tak do końca, czy mam się po prostu odwrócić i odejść. Zbytnią pewność siebie może działać odstraszać.

Trzeba spróbować znaleźć właściwe proporcje między luzem a dziewczęcością. Z powodu presji czasu zdecydowałam się na działanie prostolinijne.

- Już się cieszę, że się spotkamy.

- Ja też.

Robin przyciągnął mnie do siebie i... rany, co tu dużo gadać? Jego usta smakowały morzem, władczo położył dłoń na moim karku, tak jak to znałam dotychczas wyłącznie z amerykańskich filmów i, cholera jasna, naprawdę był to jeden z tych pocałunków, które rozchodzą się po całym ciele, żeby na koniec wzbudzić niesamowity żar głównie w podbrzuszu. Żeby wyrazić się jasno i żeby nie brzmiało to jak durne zakochane jąkanie się: był to jeden z tych rzadkich pocałunków, przy których, jeszcze gdy trwają, cieszysz się na samą myśl, że będziesz mogła o nich opowiedzieć najlepszej przyjaciółce.

W drodze do domu bez chwili przerwy cichutko wzdychałam i pojękiwałam sobie pod nosem. Poważnie.

Nieodpowiednie

obuwie

za młodu

Nie sędzę, żebym dzisiejszej nocy przespała w sumie więcej niż trzy kwadranse. Ale i tak wyglądam tego ranka znakomicie, mówię bez fałszywej skromności. Zaróżowiona, promieniejąca, młoda. Jak to zakochana.

Gdzieś o trzeciej rano przypomniałam sobie, że Mona miała mi przecież przysłać SMS-a. Sprawdziłam komórkę, ale okazało się, że bateria całkiem padła. Telefon leżał ciemny i wygasły w mojej torebce. Tak naprawdę wcale nie chciałam wiedzieć, jaką radę dała mi Mona. Nie chciałam też wcale wiedzieć, kiedy zgłosi się mój Ben. Byłam nieosiągalna. Taki stan jeszcze kilka godzin temu uważałabym za nieznośny. A teraz czuję się dzięki temu o wiele bardziej oddalona od domu niż o dwa i pół tysiąca kilometrów, jakie dzieli Majorkę od Hamburga. Byłam już nieosiągalna. Wszystko, co zdarzy się w następnych godzinach czy dniach, po prostu się zdarzy i koniec. Tylko ja to przeżyję i nie będę musiała o tym nikomu mówić przez telefon ani też przed nikim tego zatajać.

Byłam w jakimś innym świecie, całkowicie wolna, przez nikogo nieobserwowana, niewinna. Zupełnie jakby nic naprawdę się nie działo, jakbym dostała w prezencie parę dodatkowych dni do dyspozycji i nie musiała się nikomu tłumaczyć ze wszystkiego, co zrobię albo czego zaniecham. Czułam się tak, jakbym już nie była sobą. Jakbym nie była już Anabellą Leonhard, która próbuje

nadać nowy rozpęd swemu życiu młynkiem do mielenia ziaren. Anabella zbierająca pokancerowane pluszaki i od czterech i pół roku będącą z facetem, który nie trawi ostryg. Anabella, która z zasady nie zamyka drzwi w toalecie, ponieważ boi się, że nigdy nie uda jej się stamtąd wyjść.

Bo coś takiego raz mi się zdarzyło. Było to na osiemnastce Mony i wszyscy mieli ubaw po pachy, kiedy jej ojciec musiał wypłówać zamek, żeby mnie wypuścić z kibla. Przerażające, odciskające piętno na psychice przeżycie.

Jestem nieosiągalna i nie jestem już osobą, którą zawsze byłam. Nie ma tu nikogo, kto by mnie znał. Poza Gesą, ale ona nie wie, jaka jestem normalnie. Nawet nie muszę nosić własnych ciuchów. Moja walizka, jak mnie dzisiaj poinformowano, znajduje się obecnie w Bangkoku. Nikt tu ode mnie nie oczekuje, żebym była taka jak zawsze. Nikt tutaj nie wie, jaka jestem zawsze. Dlaczego więc nie zostać Stellą? Cóż za wspaniała wolność. Wypróbować nowe życie, nowy charakter, nowy sposób kochania być może. Poszłam do łóżka i zasnęłam.

- Skarbie, wyglądasz fantastycznie! Czego to odrobina słońca nie robi z człowieka. Teraz trzeba tylko coś zrobić z twoją nadwagą.

- Dzień dobry, ciociu. Ależ tu pięknie!

Moja ciotka siedzi w różowym jedwabnym kimonie na tarasie i spożywa śniadanie. Morze pod nami jest gładkie jak lustro. Już w tym momencie wiadomo, że dzień będzie gorący. Poza ćwierkaniem ptaków i luksusowym szmerem zraszaczy trawników niczego więcej nie słychać. Tylko Gesę, ale ona nigdy nie milknie.

- Każdego ranka cieszę się, że wycyckałam starego Matuschkę z tej rezydencji. Dopiero co ją kupił, razem z zadaszonym miejscem na grilla, dwoma basenami, sauną, dwoma domkami gościnnymi i trzema filipińskimi służącymi. Cudowne miejsce - ale zaraz, Bella, jakie ty masz okropne stopy! Poczekaj, pójdę tylko po narzędzia. Spokojnie możesz sobie dalej jeść śniadanie w czasie pedikiuru. Lepsza zrogowaciała skóra na bułce niż na piętach. Nie, nie, żadnych sprzeciwów, w końcu musisz mieć jakąś korzyść z tego, że twoja stara ciotka jest dyplomowaną pedikiurzystką!

Sam akt pedikiuru to coś, co wymaga od poddanego temu zabiegowi absolutnej pokory. Powierzasz swoje stopy, a więc prawdopodobnie najbrzydsze części swojego ciała, w obce ręce. Gesa wraca, dźwigając kuferek. Kiedy go otwiera, mam dziwnie nieprzyjemne uczucie, jakbym oglądała *Maratończyka* z Dustinem Hoffmanem, a dokładniej tę scenę, przy której zawsze odwracałam wzrok, mianowicie kiedy Laurence Olivier zadaje mu straszliwe katusze różnymi najpotworniejszymi narzędziami dentystycznymi. Z pewnością była to jedna z najbardziej przerażających sekwencji auć-auć w historii filmu. Zaraz po tej okropnej scenie, kiedy to Toby McGuire jako Spiderman traci dziadka. Ale oczywiście daleko w tyle za szokującą sceną, kiedy Romy Schneider jako cesarzowa Sissi słyszy, jak jej wredna teściowa mówi cesarzowi, że Sissi ma chore płuca i prawdopodobnie umrze. A on wykrzykuje: „Nie wyobrażam sobie życia bez Sissi!”, a niemająca serca arcyksiężniczka Sophie mówi mu, że już teraz powinien pomyśleć o ponownym ożenku, ponieważ kraj potrzebuje zdrowej cesarzowej i zdrowego następcy tronu. A cesarz załamuje się wtedy i mówi, szlochając: „Jeśli taka jest wola boża, żeby odebrać mi to, co

najbardziej ukochałem w życiu, to nigdy więcej się nie ożenię!".
Cóż, muszę powiedzieć, że jako widza płci żeńskiej załatwia mnie to na amen.

Gesa dobiera się do moich stóp przyrządami, którymi zupełnie spokojnie można by amputować udo. Czysty horror. Wprawdzie nie mnie to nie boli, ale wygląda tak, jakby powinno. Przyrządem, który najbardziej przerażająco wrył mi się w pamięć do końca życia - wiem to od razu, gdy tylko go widzę - jest ścinacz do usuwania zrogowaciałej skóry. Nie nadaje się dla osób o słabych nerwach. Z miejsca przychodzi mi na myśl sposób pozyskiwania świeżego parmezanu, który ścina się prosto na sałatkę z rukoli.

- Jeszcze tylko zetnę ci zrogowaciałą skórę i stópki będziesz miała jak noworodek - szczebiocze Gesa.

Mało nie mdleję, bo nagle zaczynam się brzydzić własnych stóp. Zgoda, nigdy nie byłyśmy specjalnie zaprzyjaźnione, ale przynajmniej darzyłyśmy się nawzajem szacunkiem. Możliwe, że trochę je zaniedbywałam. Ale to wynika po części z tego, że one znajdują się tak daleko od myślącej części mego ciała. Trudno mi się do nich dostać i nie mam pojęcia, jak to zrobić, żeby paznokcie nie fruwały przy obcinaniu po całym mieszkaniu. Nawet zupełnie niedawno, szukając wśród kaset wideo filmu *Mój przyjaciel się żeni* znalazłam swój były paznokieć. Już tamto wydało mi się dosyć obrzydliwe, ale teraz ten ścinacz... W każdym razie straciłam ochotę na jedzoną właśnie bułeczkę z nutellą. Mam nadzieję, że na zawsze.

- Gotowe, skarbie. No proszę, od razu inaczej wyglądają!
Z tego tutaj będzie kiedyś palec młotkowaty, ale nic się już nie da zrobić. Nieodpowiednie obuwie za młodu.

Zbieram się na odwagę, żeby spojrzeć na moje nowe stopy. Rzeczywiście wyglądają całkiem przyzwoicie. Świeżo polakierowane, opłowane i pościanane - na samą myśl robi mi się znowu lekko niedobrze - i bardzo miękkie w dotyku. Całkowicie nowe poczucie własnych stóp. Zastanawiam się, co na to powie Robin, kiedy mnie zobaczy. Jeśli w ogóle cokolwiek zauważy. Wielu



mężczyzn bowiem na pierwszy rzut oka kompletnie nie dostrzega takich istotnych przeciw zmian. Może się zdarzyć, że Robin nie jest wyjątkiem. Niektórzy faceci nic nie zauważają, nawet jak sobie zrobimy nowy nos albo włożymy maskę przeciwwgazową.

- To rozgość się, Bella. Ja muszę na chwilę wpaść do miasteczka. Przygotowuję dla ciebie niespodziankę!

- Ojej, Gesa, proszę cię, tylko bez żadnych niespodzianek! Powiedz mi lepiej, co wymyśliłaś. Na przykład dzisiaj wieczorem nie mam czasu. Spotkałam tego, no, starego znajomego, zupełnie przypadkiem. Mamy się spotkać zaraz po południu, żeby...

- No już dobrze, dobrze. Uchylę rąbka tajemnicy. W sobotę zamierzam wydać małe przyjęcie na twoją cześć. Chciałabym, żeby wszyscy moi przyjaciele mieli okazję cię poznać. Nie, nie możesz się nie zgodzić, ponieważ wszystkich już zaprosiłam. Przecież wracasz do domu w niedzielę, prawda? No widzisz, więc będzie przyjęcie pożegnalne. Od ósmej zaczną się schodzić goście, zapuścimy sobie grilla, przystroimy basen lampionami i napijemy się szampana. Ach, będzie wspaniale, zobaczysz! Uwielbiam takie pool party! Najczęściej ktoś łąduje przy okazji w wodzie albo rozpada się jakiś związek. Cieszę się na samą myśl. A tego swojego nowego przyjaciela oczywiście masz przyprowadzić. Koniecznie muszę go poznać. Przecież powinnam chyba wiedzieć, kto tak zawrócił w głowie mojej Belli, że...

- To wcale nie jest mój przyjaciel! Mówiłam ci: dawny znajomy, którego zupełnie przypadkiem...

- Dobra, dobra, przestań już, bo muszę lecieć zamówić catering na sobotę. Koń by się uśmieł! Wprawdzie jeden dzień spędzony na słońcu potrafi zdziałać cuda, ale ty, skarbie, ty po prostu pro-

mieniejsz z każdej strony. A starzy znajomi z reguły nie mają takiego działania. Ale co mi tam, nie zamierzam się wtrącać. Najważniejsze, żeby ci się wiodło. To miłego dnia, Bello. Buziaczki.

Najfajniejsze jest to, że jak się nie ma walizki, nie ma się też ubrań. A jak się nie ma ubrań, odpada zastanawianie się bez końca, co na siebie włożyć. Za pół godziny mam się spotkać w klubie przy plaży z Robinem. Ciotka Gesa dała mi wielką błękitną chustę, którą dzięki sprytnym sposobom wiązania można w zależności od potrzeb zmienić w sukienkę albo w spódnicę. Do tego doskonale pasuje różowe bikini robione na szydełku, które ciotka dla mnie wyszukała. Gesa jest wprawdzie zdecydowanie chudsza ode mnie, ale obwód góry i dołu jest regulowany, a co do rozmiaru mioszeczek, to pasuje niestety aż za dobrze. Przyglądam się swojej twarzy. Ben na pewno uznały, że te piegi, które zaczęły właśnie mnożyć się na moim nosie, są bardzo sexy. Niestety, jeden z takich świeżych piegów uznałam dzisiaj rano za pryszcz i przez dłuższą chwilę usiłowałam go wycisnąć, zanim się skapowałam, że to pomyłka. Na szczęście brzydkie zaczerwienienie zdążyło zniknąć.

Oczywiście o wiele ważniejsze od takich błahostek jest to, jakie robię wrażenie. Dlatego niezwykle się cieszę, że różne zestawy szkieł kontaktowych przewidująco zawsze noszę ze sobą w torebce. Nawet nie chcę myśleć, co by było, gdybym w sytuacji otwierającej takie perspektywy jak moja dzisiejsza nie miała właściwej barwy oczu! Oczywiście na tę czekającą mnie dzisiaj okazję wybieram soczewki błękitne. Ułożyłam sobie nawet taką teorię, z której jestem całkiem dumna. Otóż początek każdego związku przebiega w czterech fazach, które dokładnie odpowiadają znajdującym się

w sprzedaży kolorom soczewek kontaktowych: niebieskiej, zielonej, brązowej i naturalnej.

Royal Blue to idealna barwa oczu na rozmowy kwalifikacyjne, całodienne wycieczki oraz letnie flirty. Błękit stwarza wrażenie naturalności, prostolinijności i sygnalizuje zdrowe pragnienie odbywania kilku stosunków płciowych dziennie. Błękit sprawia, że nawet najbardziej zneurotyzowana wydra wydaje się nieskomplikowana. Royal Blue jest lekki, żywy i pogodny. Daje znać mężczyznom: z tą kobietą będziesz się dobrze bawił. Nie spyta cię po pierwszym seksie, jak to z wami będzie w przyszłości. Po pierwszym pocałunku z jęczyczką nie będzie cię chciała od razu przedstawiać rodzicom ani też nie będzie mówić przy pierwszym wspólnym poranku: „Może już wiesz przypadkiem, co byś chciał dostać w tym roku pod choinkę?”.

Evergreen to kolor na wieczorne spotkania, ponieważ, jak mi się wydaje, dzięki niemu wydają się taka niezgłębiona. Z zielonymi oczami czuję się tak, jakbym skrywała jakieś tajemnice. Jakbym na przykład miała nieślubne dziecko i nigdy w życiu nie wyjawiała nazwiska ojca. Jakbym prowadziła podwójne życie i po zapadnięciu ciemności przemieniała się w kobietę-kota, oszałamiającą i śmiertelnie niebezpieczną mścicielkę wszystkich poniżonych kobiet, którym mężowie chodzący po domu w porozciąganych podkoszulkach samowolnie zmniejszają pieniądze na życie.

Cosy Brown noszę wówczas, kiedy chcę się wydawać szczególnie wrażliwa, wyrozumiała i kojąca. Mając brązowe oczy, właściwie w ogóle nie przyciągamy agresji, bo wyglądamy tak, jakbyśmy umiały słuchoać i należały do tych, które niejedno przeszły i zasługują na coś lepszego. Godne polecenia na rozmowy o wy-

nagrodzeniu z szefem mężczyzną, dyskusje z partnerem o problemach w związku albo kiedy wieczorem wpada najlepsza przyjaciółka, którą po raz szósty rzucił ten sam facet. Facet, którego od samego początku nie znosiłyśmy, ponieważ opowiadał takie nudne historie, że nawet brązowymi oczami nie da się zasymulować słuchania z zainteresowaniem. No i po każdym ich rozstaniu miałyśmy nadzieję, że będzie ostateczne, że nie wróci skruszony jak zawsze dotąd po czterech dniach.

Zaleca się zatem w fazie poznawania nosić Royal Blue, nigdy nie odpowiadać natychmiast na jego telefony i od czasu do czasu jego pytanie: „To co, zobaczymy się dziś wieczorem?” zbywać: „Och, dzisiaj mam już inne plany, ale umówmy się, że skontaktujemy się na dniach”. W błękitnej fazie należy unikać pytań na temat stosunku do posiadania dzieci, perspektyw zawodowych, krytykowania jego ulubionych spodni oraz najlepszego kumpla tudzież pogardliwych uwag na temat byłej dziewczyny.

Do środków budujących zaufanie zaliczamy: luźne uwagi, że nie jesteśmy na razie zainteresowane stałym związkiem, wtrącenie mimochodem, że z naszych dotychczasowych doświadczeń wynika niestety, że nasz pociąg seksualny do jednego i tego samego mężczyzny drastycznie spada po sześciu tygodniach, oraz przemycaną w rozmowie informację, że nigdy jeszcze nie byliśmy na żadnej terapii.

Wskazane są też po pierwszych seksualnych zbliżeniach stwierdzenia w rodzaju: „Ale było super, wiesz. Seks bez miłości chyba jednak bardziej kręci”. Albo: „O, o, ale już późno. Wiesz, nie gniewaj się, ale muszę jeszcze gdzieś wyskoczyć. Mam przecież twój numer”.

Po tygodniu albo dwóch, a w szczególnie trudnych przypadkach nawet dopiero po czterech tygodniach, można bardzo ostrożnie, głównie wieczorami, przejść na Evergreen. Przychodzi bowiem pora, kiedy można się odważyć okazać, że jesteśmy nie tylko pozytywnie nastawione do życia i dobre w łóżku, ale też że skończyłyśmy coś więcej niż szkołę średnią. Kobiety, które mają za sobą studia na Harvardzie, zarabiają ponad sto pięćdziesiąt tysięcy euro rocznie albo za tydzień mają dostać Oscara za najlepszą rolę kobiecą, absolutnie mogą wyjść z taką informacją dopiero przy końcu fazy zielonej, jeśli w ogóle. Inaczej może dojść u partnera do spontanicznego zaniku potencji. A wtedy człowiek leży obok takiego zlanego potem faceta i musi powtarzać: „Ależ skarbie, przecież nic takiego się nie stało”. A przecież jak najbardziej się stało, tyle że szczerłość jest w takich chwilach absolutnie niewskazana, ponieważ nieodpowiednie słowo rzucone w nieodpowiednim momencie nieraz już doprowadziło do niepotrzebnych spięć, wstrząsając podstawami niejednego męskiego ego.

Niemniej jednak Evergreen zapoczątkowuje fazę względnej, powtarzam, względnej otwartości. Jeśli Royal Blue rzeczywiście zrobiły swoje, to na pewno w którymś momencie on sam zacznie coś przebąkiwać na temat wspólnego urlopu czy wręcz wspólnego zamieszkania. Powoli zacznie go to niepokoić, że ona zostawia mu tyle swobody, że nigdy się nie złości, kiedy on się spóźnia, a kiedy wraca po wieczorze spędzonym z kumplami, nie pyta wściekła, czy nie było tam też przypadkiem jakiejś kobiety.

Wprawdzie wszyscy mężczyźni marzą w teorii o nieskomplikowanej partnerce, w praktyce jednak, jeśli taką mają, na dalszą metę zaczynają się czuć niedostatecznie kochani. Milczą z zawsty-

dzeniem i lekką zazdrością, kiedy najlepszy kumpel opowiada o swoich domowych dramatach, odstawieniu od łoża i o porozbijanej zastawie stołowej.

Bohaterstwo nowoczesnego mężczyzny to przeżyć u boku nowoczesnej kobiety. Zachować cierpliwość, kiedy ona wybucha łzami przed otwartą szafą. Nie tracić nerwów przy dialogach w rodzaju:

- Którą włożyć: niebieską czy czerwoną?
- Może czerwoną?
- Aha, więc nie lubisz mnie w niebieskim, tak?

W czasach, kiedy kobiety są w stanie same opłacić sobie operację powiększenia biustu, i stać je na samochody, które widuje się tylko na filmach o Jamesie Bondzie, mężczyznom coraz trudniej o poczucie, że są do czegoś potrzebni. I słusznie, trzeba dodać. Dlatego ważne jest, aby kobieta dawała mężczyźnie złudzenie, że on jednak do czegoś się przydaje. Właśnie to dzieje się w fazie zielonej. Po trzech tygodniach stwarzania wrażenia, że jesteś kobietą, z którą można konie kraść, trzeba zacząć zachowywać się tak, jakbyś była kobietą, której trzeba pomóc na tego konia wsiąść.

Bardzo pożyteczne dla pozytywnego rozwoju związku i oczywiście o wiele wiarygodniejsze jest, jeśli rzeczywiście potrzebujemy w czymś pomocy albo czegoś się boimy. Evergreen to najlepszy moment, żeby przyznać się do jakichś fobii i niemożności - albo jakieś w sobie wyrobić. To czas wprowadzenia podziału obowiązków i spokojnie możemy tutaj wykazać pewien konserwatyzm. Wprawdzie dzisiaj nie jest niczym nadzwyczajnym, jeśli to mężczyzna w domu gotuje, ale pewne klasyczne zajęcia w rodzaju opisywania albumów ze zdjęciami lub wyszywania woreczków

na wkładki zapachowe do wieszania w szafach z ubraniami kobiety powinny zarezerwować dla siebie. Mężczyźni za to mogą rozpałać grilla. Niemniej jednak jestem przekonana, że 80% wszystkich kobiet tylko ze względu na swoich facetów udaje, że strasznie boi się pajaków. To mądre kobiety, które mają prawo z dumą nosić zielone szkła kontaktowe.

Na Cosy Brown przychodzi czas wówczas, kiedy on w obecności przyjaciół mówi do ciebie „mysiu-pysiu”, a ty wyciskasz mu pryszcze na plecach. Ale wtedy spokojnie możesz przejść już na szkła bezbarwne. Wychodzi taniej.

Jaka byłam, kim byłam, za czym tęskniłam, kiedy po raz ostatni miałam nad sobą tak rozgwieżdżone niebo? Jaka jestem, kim jestem, za czym tęsknię teraz? Kiedy byłam szczęśliwa? Czy wystarczająco często? Czy zawsze zdążyłam zauważyć we właściwym momencie, że jestem szczęśliwa? Czy może dopiero potem, kiedy sobie o tym przypomniałam albo przy przeglądaniu albumów ze zdjęciami? Znam parę takich osób, które dopiero, kiedy bardzo źle im się wiedzie, uświadamiają sobie, jak dobrze było im poprzednio. Ja taka nie jestem. Cieszę się, że należę do tych, którzy zauważają szczęście w momencie, kiedy ono trwa, i które się nim syca, dzielą i o nim mówią.

A teraz? Czy teraz jestem szczęśliwa? Leżę na wielkiej plaży owinięta w liczne ręczniki. Robin, też owinięty ręcznikami, leży obok. Już od godziny. Bez dotykania się. Czasem zamieniamy parę słów. Ale przeważnie leżymy sobie i mam takie wrażenie, jakby nasze myśli spacerowały sobie razem, trzymając się za ręce. Przynajmniej chwilami. Są sytuacje tak bardzo głębokie, że byłoby profanacją myśleć wtedy o seksie. Oczywiście i tak myśli się wtedy o seksie. A potem się człowiek odrobinę wstydzi, bo to takie nie na miejscu, i psujemy sobie piękne chwile, bo zamiast myśleć o duchowej intymności, znowu myślimy tylko o seksie.

Tak, tak, kobiecie też się to zdarza. Faceci wychodzą ze skóry, żeby w potencjalnie romantycznej sytuacji zachować powściągliwość,

w zamyśleniu i bez obściskiwania się przetrzymać jakoś zachody słońca, piosenki Randy Crawford i rozgwieżdżone noce, a tymczasem my, kobiety, kręcąc młynka palcami, czekamy z nadzieją chociażby na petting i kusi nas, żeby w to platoniczne zbratanie dusz wkroczył jakiś zniecierpliwiony reżyser z okrzykiem: „Akcja!”.

Ponieważ Robin najwyraźniej postanowił konsekwentnie zrealizować cały romantyczny program aż po sam świt, muszę spróbować znaleźć subtelny, ale niedwuznaczny sposób zasygnalizowania mu mojej seksualnej dyspozycyjności. W końcu przyszedł tu przecież po to, żeby coś przeżyć. Po dłuższym wysiłku myślowym decyduję się na piękne sformułowanie:

- Nie mamy za wiele czasu.

Patrzę przy tym w niebo i staram się dobrać taki ton głosu, który może oznaczać wszystko i nic. W żadnym razie nie chciałybym, żeby Robin sobie pomyślał, że mam na niego ochotę, dopóki nie będę absolutnie pewna, że on ma ochotę na mnie. Wczorajszy pocałunek daje wprawdzie podstawy do nadziei, ale ja chciałabym mieć pewność.

Robin odwraca się w moją stronę.

- Człowiek zawsze ma tyle czasu, ile sam sobie weźmie.

Zupełnie nie czuję się obrażona. To takie słodziutkie. I wzruszające. I trochę głupie. Zupełnie nie potrafię mu mieć czegoś za złe, bo przypomina mi, jaka ja byłam, kiedy byłam jeszcze młoda. To traktowanie każdej chwili z taką śmiertelną powagą. Robin przypomniał mi czasy, kiedy absorbowały mnie kwestie typu: Z czego powinnam zrezygnować, z religii czy z geografii? Czy iść dzisiaj na demonstrację, czy do solarium? Jaki jest sens życia? Czy

odповідź znajdę w *Tako rzecze Zaratustra*, czy raczej w dodatku do „Brigitte” zatytułowanym „Fryzury do każdej urody”? Czy istnieje Bóg? Czy używać wkładek higienicznych? Jakie znaczenie ma przyroda w sztukach Brechta? A jak długo trzymają się włosy postawione na wodę z cukrem?

- Ile ty właściwie masz lat? - pytam.

- A jakie to ma znaczenie?

Znowu wydaję się sobie okropnie stara i powierzchowna.

- Dla tańca ma.

Ulżyło mi, że przyszedł mi do głowy taki młodzieńczy i odlotowy powód.

- Jak to „dla tańca”?

- No, czy znamy te same piosenki. Moglibyśmy je wspólnie nucić i do nich zatańczyć.

Coś takiego bowiem to dla mnie kwintesencja romantyzmu i o ile wiem, znalazło zastosowanie w wielu filmach miłosnych: on i ona tańczą na plaży, bez muzyki, tylko przy akompaniamencie szumu morza i cicho nuconej na dwa głosy melodii, którą oboje uwielbiają. Jestem jak najpoważniej zdecydowana, by wreszcie tu i teraz wcielić w czyn tę fantazję, którą przez tyle lat w sobie nosiłam. Z Benem mi się niestety nie udało. Nigdy nie tańczyliśmy bez muzyki. To facet, którego kolekcja płyt kompaktowych zajmuje wprawdzie parę ładnych metrów na półkach, ale który zawsze utrzymuje bezpieczny dystans do parkietu, a wyrazem niemal ekstazy jest poruszanie do rytmu stopą.

Robin natomiast jest moim pomysłem zachwycony. Zrywa się na równe nogi, wykonuje kilka długich kroków w stronę morza i woła:

- Poczekaj! Niech się przez moment zastanowię, zaraz sobie coś przypomnę!

Kołysze się to w jedną, to w drugą stronę, szukając w myślach melodii dla nas dwojga. Jestem całkowicie oczarowana urokiem tej chwili. W końcu jeśli facet o takich udach ma zamiar śpiewać dla mnie pod rozgwieżdżonym niebem, to chyba nie dziwnego, że jestem automatycznie gotowa na wszystko, nie?

Muszę przyznać, że jeszcze nigdy nie znałam faceta, który by dla mnie śpiewał. Faceci z reguły nie śpiewają. Trudno się nawet dziwić. Ben tylko jeden jedyny raz w życiu zdobył się na to, żeby w mojej obecności coś zaśpiewać. Był to hymn drużyny Schalke 04, kiedy wygrali z Leverkusen w Pucharze Niemiec. Potem, kiedy już oboje wytrzeźwieliśmy, było nam jednakowo głupio i nigdy nie zamieniliśmy na ten temat ani słowa.

Ale z Robinem jest zupełnie inaczej. On może robić rzeczy, których żaden inny facet nie mógłby zrobić, nie narażając się na ryzyko, że przestanie być męski. Widzę, że ciągle jeszcze deliberruje nad odpowiednią do sytuacji piosenką. Jestem nader wzruszona. Może na przykład zaintonuje zaraz coś z repertuaru mistrza romantycznych przebojów Lionela Richiego: „I sometimes see you pass outside my door. Hello, is it me you're looking for?”.

Albo może nawet - nie wiem, czy udałoby mi się wtedy powstrzymać łzy - będzie to *Because You Loved Me* Celine Dion: „You were my strength when I was weak, you were my voice when I couldn't speak”.

Cóż, pewnie nietrudno sobie wyobrazić, że jestem nieco oczarowana, kiedy Robin zaczyna ryczeć punkowy przebój kapeli

Die Toten Hosen *Lodowaty bommerlunder*². Skacze przy tym jak oszalały po plaży, żeby mi pokazać, jak kiedyś do tego tańczył. Jest to taniec, w którym niestety chodzi raczej głównie o to, żeby zepchnąć z parkietu wszystkich innych. Niezbyt dogodna okazja, by się do siebie zbliżyć.

Trwa to sporą chwilę, bo Robin zna też niestety na pamięć inny przebój Toten Hosen *Zero alkoholu to też nie jest rozwiązanie*. Kiedy robi przerwę dla zaczerpnięcia oddechu, ostrożnie próbuję zanucić *Saving All My Love For You* Whitney Houston, ale na próżno. Zostaję po prostu zmiażdżona. Robin rozkręcił się na całego i okazał się zagorzałym fanem Toten Hosen. On śpiewa *Dziesięć małych jagermeistrów*, ja próbuję skontrolować *Greatest Love Of All*. A potem na nieszczęście on przypomina sobie swój ulubiony przebój innej punkowej kapeli Artze. Próbuję jeszcze zmylić go pytaniem: „A znasz coś Cata Stevensa”, ale jest za późno. Robin zaczyna śpiewać o grubej Elke:

„Byłem z Elke na kolacji, nastrojowa knajpka taka, ja tam zjadłem trochę tofu, a ona całego prosiaka. Elke jest taka milusia, kocham szalenie się w niej, latem się chowam w jej cieniu, a w zimie to grzeje, że hej”.

Siadam na lodowatym już piasku i z powrotem owijam się starannie ręcznikami. Jakoś tak prościej wyobrażałam sobie proces uwodzenia młodszego od siebie faceta. Widocznie wyszłam z wprawy. Robin wycieńczony pada na piasek obok mnie.

- Ale miałas odlotowy pomysł.

² rodzaj wódki

Z zaróżowionymi z wysiłku policzkami wygląda jak mały chłopczyk z reklamy jogurtu.

- A teraz ty.

Wprawdzie kompletnie odeszła mi już na to ochota, ale jednak nie chcę tak po prostu zmarnować tej chwili, do której uporczywie dążyłam. Czas na mój popis. Jest mianowicie taka piosenka, której tylko dlatego nauczyłam się na pamięć, żeby być przygotowaną na chwile takie jak ta. Tekst mam w głowie zawsze, tak jak niepalący ma w kieszeni zapalniczkę. Wyskakuję z nim zawsze wówczas, kiedy chodzi o to, żeby z miejsca dotrzeć do duszy mężczyzny. Zaczynam mianowicie nucić pierwsze takty hymnu reprezentacji Anglii *Football Is Coming Home*.

- Ty to znasz na pamięć? - Robin gapi się na mnie, nie posiadając się ze zdumienia.

- Mhhhm.

Niestety Robin jest do tego stopnia pod wrażeniem, że przez cały czas skupia się wyłącznie na moim śpiewie, a nie na możliwości fizycznego zbliżenia. Na to jest zresztą za zimno. Nie będę ukrywać, że o trzeciej nad ranem we wrześniową noc na Majorce pęcherz jest dla mnie ważniejszy niż wagina. Tego oczywiście nie pokazują na żadnym z tych filmów, gdzie ludzie kochają się na plaży pod gołym niebem, mianowicie że człowiek marznie jak cholera i ma taką gęsią skórkę, że można by na niej ścierać parmezan. Nic na to nie poradzę, ale po prostu prze-marżałam do kości. W drodze do domu nucę sobie pod nosem melodię do *Football Is Coming Home*. Piosenka zaczyna mi się nawet podobać. Może jednak powinnam włączyć do repertuaru coś bardziej romantycznego, na przykład Robbiego Williamsa?

Myślę sobie, że akurat na młodych ludzi mogłoby to działać stymulująco.

Zauważam, że wcale nie jestem rozczarowana, i zastanawiam się dlaczego. Może to tak jak z tabliczką czekolady, której się nie zjadło? W chwili, kiedy z niej rezygnujesz, przychodzi ci to z wielkim trudem. Ale następnego dnia rano jesteś zadowolona i dumna, że się jednak nie złamałaś.

Proszę się odprężyć,
widywałam
gorsze rzeczy

Słońce w samo południe obsmaża mnie na brązowo, a ja zadaję sobie pytanie, czy już kompletnie postradałam zmysły i mój mózg skurczył się do rozmiarów pralinki? Po kiego diabła w ogóle przyleciałam na tę wyspę? Żeby jakiś młodociany właściciel jachtu wypieścił ze mnie cały rozum? Żeby tańczyć na plaży w świetle księżycy i udawać, że mam dopiero dwadzieścia lat, jestem wolna, a złote czasy Whitney Houston nie minęły dawno temu? Żeby wdawać się w przygodę z chłopaczkiem, którego znam tylko z imienia i który wymyślił sobie, że mam na imię Stella? Zdecydowanie zsuwam się z materaca w kształcie komórki prosto do basenu. Koniecznie potrzebuję ochłody.

Czemu tu jestem? Żeby przemyśleć swoje życie, związek i ewentualnie fryzurę. Zejść z tej drogi to teraz najprostsze i najgorsze rozwiązanie. Wtedy wrócę w niedzielę do domu i dalej będę w tym samym miejscu. Nic się nie zmieni poza tym, że będę opalona i niewierna. A z tym ostatnim na pewno miałabym problemy. Po prostu nie nadaję się do skoków w bok. Nie potrafię nawet jeździć na gapę, bo widać to po mnie na kilometr. I nie umiem zapamiętać własnych kłamstw. A to bardzo słaba podstawa do skutecznych na dalszą metę zdrad. Ponieważ jestem tak przerażająco zapominalska, przestałam nawet opowiadać dowcipy, bo ku wielkiemu niezadowoleniu słuchaczy zawsze tuż przed końcem orientuję się, że nie pamiętam puenty. Z powodu kiepskiej pamię-

ci zarzuciłam też wszelkie próby uzyskiwania zadowolającej opalenizny za pomocą samoopalaczy. Całkiem niedawno bowiem zachciało mi się pójść na grill party z odkrytymi ramionami i dzień wcześniej posmarowałam się samoopalaczem L'Oreala. Kompletnie jednak zapomniałam o stopach. A poza tym w całym tym pośpiechu nie pomyślałam, że niektóre miejsca wolno smarować tylko bardzo cienką warstwą i że już po wszystkim koniecznie trzeba dokładnie umyć ręce. Następnego dnia rano skupiska szczególnie luźnej skóry, czyli na łokciach i górnych powierzchniach zgięć palców miały kolor ciemnożółty. Dłonie wyglądały tak, jakbym od dobrych paru lat pracowała ciężko w kopalni, stopy za to zostały białe jak baranki na niebie. Ogólnie rzecz biorąc, moje ciało wyglądało jak obficie zdobiona głównie naturalnymi barwami narzuta. Nie muszę dodawać, że na party poszłam zapięta pod samą szyję.

Nie, nie, jak dotąd zawsze wolałam dochować wierności i z zasady chodzić do łóżka z nieznanymi, wyłącznie kiedy byłam chwilowo wolna albo kompletnie ululana. Albo kiedy właśnie oficjalnie rozstałam się z aktualnym partnerem. Przy czym oficjalność polega na tym, że w trakcie rozmów z przyjaciółkami stawiało się dla mnie jasne, że rozstanie jest najlepszym rozwiązaniem. Co wcale nie musi oznaczać, że zdażyłam o tym swego partnera życiowego poinformować.

Tymczasem jak na razie nic nie jest dla mnie jasne. Zaraz zadzwonię do Robina i powiem, że dzisiaj nie możemy się zobaczyć i być może w ogóle nie. Potem zadzwonię do Mony i spokojnie porozmawiam z ciotką Gesą. Jak będę miała szczęście, już jutro będę całkowicie pogodzoną ze sobą kobietą, która wie,

czego chce. No a wtedy zawsze jeszcze mogę się z Robinem przespać.

Na basen wchodzi ciotka Gesa.

- Bella, telefon! Niestety kompletnie nie wiem, o co chodzi.

Czy to Robin? Ale skąd miałyby znać numer do Gesy? Czyżby chciał odwołać spotkanie? Może nie chce się już ze mną w ogóle widzieć? To by mi złamało serce. Samej nie zdecydować się na kogoś, kto tak całuje, jest już dostatecznie trudną sprawą. Ale przynajmniej mogłabym być z siebie dumna. W końcu normalnie nie mam zwyczaju odrzucać czegoś, co mi smakuje. Zerwać kontakt po pierwszym cudownym pocałunku to tak, jakby się zjadło tylko jedną cząstkę czekolady, tylko jedną sztukę toffifee z opakowania, gdzie jest ich trzydzieści, tylko garstkę chipsów z opakowania XXL. Straszne! Męczarnia! Wbrew ludzkiej naturze! Ale jeśli się już uda, jeśli człowiek sam się przemógł, wówczas otrzymuje medal za bohaterstwo, rozsądek i nadludzką ascezę i czuje się po prostu kompletnie, kompletnie... no właśnie jak? A skąd ja mam to wiedzieć?

Chyba bez przesady mogę stwierdzić, że jeszcze nigdy w życiu nie zdarzyło mi się, żebym zjadła jeden płatek chipsów i na tym poprzestała. W szafce w mojej kuchni nie ma napoczętych opakowań z chipsami i żadnych tabliczek czekolady, gdzie brakuje tylko kilku cząstek. Po posiłku jedno ferrero? Albo pół batonika nugatowego? Podzielimy się czekoladką? Co za bzdura! Z zasady nie dzielę się słodyczami. Ani sama ze sobą, ani z kimkolwiek. Zostałam kiedyś zaproszona z Benem na kolację do pewnej kobiety, która chciała skaptować Bena do swojej firmy komputerowej. Po-dane przez nią jedzenie było wybitnie beztłuszczowe i kiedy zoba-

czyłam, że wcale nie zanosi się na deser, spytałam prosto z mostu, czy nie znalazłoby się coś słodkiego. Spojrzała na mnie tak, jakbym poprosiła o strzemiennego w postaci kieliszka płynu do zmiękczenia do tkanin. Potem okazało się, że w jakiejś szufladzie poniewiera się połówka migdałowego marsa. Aż mnie przytknęło. Połówka migdałowego marsa! Nie do pomyślenia! To przecież nienormalne! Migdałowe marsy to właściwie najsmaczniejsza rzecz pod słońcem. Wyprzedzają nawet nugatowe pralinki belgijskie w kształcie muszelek i niezawodne stare toffifee. A tu znajduje się ktoś, kto ma tyle samodyscypliny, żeby podzielić marsa na dwie części, jedną zapakować z powrotem w papierek i zjeść tylko drugą - w dodatku pewnie po kawałku przez kilka dni. Przy całej mojej wrodzonej tolerancji stwierdzam jednoznacznie, że to nie jest towarzystwo dla mnie.

Wszystko albo nic - tak właśnie brzmi moja dewiza i dotyczy to wszystkich dziedzin życia. Potrafię całkowicie zrezygnować z czekolady, potrafię całkowicie zrezygnować z seksu i potrafię całkowicie zrezygnować z palenia. Za nic natomiast nie wystarczy mi trochę. Trochę palić, trochę jeść, trochę pić, trochę kochać? Nieee, to już lepiej w ogóle. Połowiczność to nie dla mnie, chociaż przyznaję, że bardzo podziwiam tych, którzy potrafią sobie na przykład zapalić tylko po dobrym jedzeniu. Ale w gruncie rzeczy takie osoby to dla mnie coś niesamowitego. Jeśli coś lubię, staram się mieć tego możliwie dużo. To chyba logiczne, prawda? Kiedy Kocham jakiegoś faceta, to nie wystarczy mi widywać się z nim tylko w weekendy, a kiedy palę, zaczynam już przed śniadaniem. Inne zachowanie uważam za powód do pójścia na terapię.

Niepewnie przykładałam słuchawkę do ucha. Jak powinnam zareagować, jeśli to rzeczywiście Robin? Czy mam powiedzieć: „Fajnie, to się nawet dobrze składa, bo ja też nie chcę się z tobą widywać. Właśnie to postanowiłam dwie minuty temu”?

- Halo?

- Dzień dobry. Czy rozmawiam z Anabellą Leonhard?

Kamień z serca. Na pewno nie jest to Robin.

- Tak, przy telefonie.

- Serdecznie gratuluję wygranej!

- Słucham?!

- Na pewno rozmawiam z Anabellą Leonhard?

- Oczywiście.

- Rezerwując przelot, podała pani ten numer telefonu.

Chyba się nie mylę, że dokonywała pani rezerwacji przez internet?

- Tak.

- No właśnie. Tym samym wzięła pani automatycznie udział w losowaniu nagród. Tak było napisane na formularzu, który pani wypełniała. Czy ma pani jakieś plany na dziś?

- No więc, jeszcze nie wiem...

- Wygrała pani pobyt w Mardavallu!

Milczenie w słuchawce brzmi niezwykle znacząco, ale ja nadal nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi.

- No chyba ta nazwa coś pani mówi, prawda?

- No, hm, a co takiego?

- To pięciogwiazdkowy hotel w Portals Nous. Może pani spędzić tam gratis jedną noc, w tym przyjęcie z szampanem, ekskluzywne menu, pedikur i uczesanie w salonie Udo Walza. Z tym że

musi się tam pani stawić już o czternastej. I niestety, wolę to powiedzieć od razu, jest to propozycja tylko dla jednej osoby.

- Bardzo mi to odpowiada.

Godzinę później siedzę obok ciotki Gesy w kremowym jaguarze i zastanawiam się, czy moje życie kiedykolwiek da mi szansę, żebym je wzięła we własne ręce. W drodze do Mardavalla zatrzymujemy się jeszcze przy jednym z butików, gdzie zwracają się do Gesy per „łaskawa pani”, żeby jeszcze szybciotko kupić dla mnie jakąś skromną letnią sukienkę. Trudno, żebym spożywała potrawy dla koneserów w bikini i owinięta chustą.

- Weźmiemy coś czarnego, to wyszczupła - zarządza niezbyt delikatnie Gesa.

Moje zamyślenie w czasie jazdy zupełnie jej nie przeszkadza w radosnym paplaniu przez całą drogę.

- Skarbie, tak się cieszę. To będzie cudowne przeżycie, mówię ci. Mardavall jest podobno wspaniały. Koniecznie jednak musisz się domagać, żeby Udo osobiście strzygł ci włosy. Jeśli chcesz, to przedtem do niego zadzwonię. Kiedy jeszcze mieszkałam w Berlinie, nie dopuszczałam do swoich włosów żadnego innego fryzjera. Z pedikiuru możesz tym razem spokojnie zrezygnować. Spytaj, czy zamiast tego nie mogliby ci zrobić kuracji kawiorowej. Supersprawa. Po tym zabiegu poczujesz się tak, jakby twoja skóra przyszła na świat dwadzieścia lat później niż reszta ciała. Skoro już tam będziesz, to powinnaś też spróbować talasoterapii. To napina tkanki. I koniecznie niech ci dadzą pokój z widokiem na morze. Nie pozwól się źle traktować tylko dlatego, że dostajesz to wszystko za darmo. Jeśli ci się wyda, że są wobec ciebie arogancy, powiedz po prostu, że w takim razie wolisz sama za wszystko

zapłacić. Zobaczysz, jakie zrobią oczy. Ale będzie super, ten twój nowy przyjaciel cię nie pozna...

- Gesa, to nie jest...

- Zawsze powtarzam: najlepsza odmiana w łóżku to nowy mężczyzna albo nowa fryzura. A ty, skarbie, ty będziesz miała od razu jedno i drugie! Baw się dobrze, Bella, do jutra.

Zanim jeszcze weszłam do Mardavalla, postanawiam sobie sobie solennie, że tutaj, w tej odprężonej i eleganckiej atmosferze, rozwiążę wszystkie swoje problemy. Lecz już w hallu, który wysklepia się nade mną niby katedra, zaczynam się czuć jak bakteria na szkiełku pod mikroskopem.

Punktualnie o czternastej na tarasie restauracji powitał mnie dyrektor hotelu. Niebywale dystyngowany mężczyzna zresztą, który po uściśnięciu mi dłoni nie zaszczylił mnie już spojrzeniem. Być może dlatego, że miałam przy sobie mokry kostium w nieszczelnej plastikowej reklamówce - w końcu ledwie godzinę wcześniej kąpałam się w basenie Gesy. A może po prostu bał się, że zbyt intensywny kontakt wzrokowy może u niego wywołać niekontrolowane erotyczne emocje. W końcu nigdy tak do końca nie wiadomo. Następnie jego elokwentna asystentka oprowadziła mnie po hotelu. Największe wrażenie zrobił na mnie apartament prezydencki. A dokładniej kołdra na łóżku w apartamencie prezydenckim. Apartament jak apartament: basen z masażem wodnym na tarasie widokowym, telewizor nad marmurową wanną, sauna, obsługa - wszystko pięknie, ładnie. Ale to i tak przyszc w porównaniu z tym, co my, znawcy, nazywamy kołdrą edredonową.

Jest to kołdra z puchu islandzkiej kaczki zwanej edredonem, którą od razu polubiłam. Jest to bowiem niezwykle nowoczesnie myślące zwierzę. Ponieważ edredony przywiązują większą wagę do wolnego czasu niż do wysiadywania jaj, same wrywają sobie puchowe piórka, okrywają nimi jaja, a potem zaglądną dwa razy dziennie, czy wszystko w porządku.



- W zasadzie jak typowa pracująca matka - stwierdzam i wyjadę się sobie bardzo zabawna i inteligentna. Tego wrażenia najwyraźniej nie podziela asystentka. Nawet nie mrugnęła okiem, tylko niewzruszenie kontynuowała opowieść o niekonwencjonalnym życiu edredonów. Kiedy już piskłeta wyklują się z jajek, islandzcy chłopci zbierają fruwały wszędzie puch i wyrabiają z niego kołdry, które sprzedaje się potem po dwa i pół tysiąca euro za sztukę. Te kołdry są tak mięciutkie i lekkie, że przypominają mi moje włosy przed nałożeniem żelu. Kto wie, może miotełka do kurzu wykonana z naturalnych włosów Anabelli Leonhard to moja szansa na zabicie fortuny?

Po zwiedzaniu miałam w programie dwie godziny wolnego, które chciałam wykorzystać na rozmyślania nad własnymi problemami oraz pogłębienie opalenizny. Nie mogłam przecież wykluczyć seksu z Robinem. Chciałam być przygotowana na wszystkie ewentualności.

Ledwie położyłam się na słońcu przy basenie, a rzeczywiście od razu popadłam w rozmyślania. Na przykład dlaczego zawsze jest tak, że właśnie koło mnie muszą się kłaść idealnie zbudowane dwudziestolatki.

W końcu na tej wyspie tyle jest pięknych odludnych zatoczek, które znakomicie nadawałyby się do tego, żeby je ogrodzić i przeznaczyć wyłącznie dla kobiet o idealnych ciałach. Nikomu by tam nie przeszkadzały i nie odbierały humoru oraz szans na poznanie faceta kobietom o ciałach od normalnych po bujne. Zastanawiam się czasem, jak te cudowne istoty się zachowują, kiedy są wśród takich samych jak one. Kiedy nie ma nikogo, od kogo by się od-

różniały swoją urodą? W rzeczywistości bowiem kobiety te stają się pięknie dopiero wtedy, kiedy na basenie mogą się położyć obok kogoś takiego jak ja. No i? Czy ktokolwiek okazuje mi należną wdzięczność? Oczywiście, że nie! Te szczuplutkie kobietki czują się zapewne w moim otoczeniu równie wspaniałe, lepsze i idealne, jak sama tego doznałam jakiś miesiąc temu, kiedy w czasie joggingu wyprzedziłam grupę terapeutyczną na leczniczym spacerze dla osób z nadwagą. Normalnie nikogo nie udaje mi się wyprzedzić.

Z wielką niechęcią próbuję sobie nakremować najodleglejsze rejony pleców. Jakież poniżające są te wszystkie wygibasy, które trzeba wykonywać, kiedy człowiek, będąc samotną turystką, stara się zapewnić sobie pełną ochronę przed promieniami słońca. Jakaś młoda matka spogląda na mnie ze współczuciem z drugiego końca basenu. Pewnie uważa, że ma lepiej ode mnie tylko dlatego, że jej szanowny małżonek znalazł kiedyś czas, żeby machnąć jej trójkę dzieciaków. Jak znam życie, to między jednym a drugim niezwykle ważnym telefonem, bo teraz leży rozwalony na leżaku obok niej z wystającym brzuszyskiem i cały czas gada podniesionym głosem przez komórkę.

Zaczynam się wstydzić. Nie tylko tego, że nie mam dzieci. Tamta młoda matka najwyraźniej przez cały dzień nie miała nic innego do roboty, jak tylko dbać o formę i robić brzuszki. Można by pomyśleć, że to ja urodziłam jej dzieci. A do tego wszystkiego ta idealnie zbudowana dziewczyna koło mnie właśnie zaczęła się nacierać olejkami orzechowym. Pachniała jak napoczęty batonik bounty, błyszczała jak glazurowany miodem kurczak i jakby tego było mało, zaczęła rozczesywać swoje długie mokre włosy. Nic

dziwnego, że żaden z kelnerów nie reagował na moje znaki, kiedy chciałam zamówić wodę bez gazu.

- Przynieść ci coś z baru? Na mnie też nikt tu nie zwraca uwagi. Pewnie dlatego, że nie mam sztucznych piersi.

Zaskoczona zamrugałam, spoglądając na przyjemnie wyglądającą kobietę, i skinęłam głową z wdzięcznością. Kiedy wróciła z napojami - co miłe, przyniosła też od razu dwa kieliszki szampana - przeniosłyśmy się na podwójną leżankę z widokiem na starą obfitą Angielkę.

- Jestem Anabellą. No to za nasz dobry charakter.

- I za tych niewielu facetów, którzy jeszcze umieją coś takiego docenić. Nazywam się Cora.

To bardzo osobliwe zjawisko, że czasem wobec obcych jesteśmy bardziej szczerzy niż wobec najlepszych przyjaciół. Z tym że mnie to nie dotyczy. Ja z zasady jestem bardzo szczerą i w ogóle chętnie rozmawiam o swoich problemach na szerszym forum. Jeśli jednak akurat jesteśmy na najlepszej drodze, żeby zdradzić swojego faceta bez skazy, należy to robić odrobinę dyskretniej. Dlatego też nie posiadam się z radości, że oto los tak niespodziewanie zesłał mi tę bratnią duszę. Bardzo sympatyczną kobietę, która od samego początku ma liczne zalety: niewiarygodne trzydzieści pięć lat, zdrowy apetyt, przyjemne poczucie humoru i niesforną fryzurę.

Zrobiło się bardzo wesołe popołudnie i byłam już mocno podochocona, kiedy ruszyliśmy razem w rejony wellness, gdzie na moją nową przyjaciółkę czekała kuracja antyzmarszczkowa. Pedikiuru zdecydowanie odmówiła. Powiedziała, że stopy to jej absolutnie prywatna sprawa i największy problem, tak że gdyby nie sprawiało

to tak niedobrego wrażenia, najchętniej nawet podczas seksu miałyby na nich nieprzepuszczające wzroku skarpety. Stwierdziła poza tym, że gdyby jej ktoś usunął zrogowacenia, to straciłaby ze trzy centymetry wzrostu, a nie ma najmniejszej ochoty jeszcze raz obliczać swojego wskaźnika BMI. Wykazałam tutaj pełne zrozumienie i cieszyłam się już na myśl o detoksykacyjnych okładach na talasoterapii zakończonych maseczką kawiorową na twarz.

Są w życiu kobiety chwile o tak egzystencjalnym potencjale, że czuje się ona raptownie sprowadzona do istoty swego istnienia. Zaliczają się do nich narodziny dziecka, być może też ślub kościelny. Na pewno jednak taką chwilą jest moment, kiedy stoisz w bardziej niż deformujących jednorazowych papierowych majteczkach przed wysmukłą kosmetyczką, która taksuje twoje ciało, a potem proponuje masaż wodny na strefy problematyczne. Oczywiście okazuje się, że dotyczy to całego ciała. A kiedy na koniec, wcierając ci muł w uda, mówi: „Proszę się odprężyć, widywałam gorsze rzeczy”, to jakoś dziwnie nie poprawia ci to humoru.

Dopiero z maseczką na twarzy ze srebrzyście połyskujących czarnych kulek kawioru udało mi się psychicznie wyluzować. Pomyslałam sobie o moim spotkaniu z Corą Hubsch. Współpracowała jako fotografka z różnymi czasopismami i miała zrobić w Mardavallu serię zdjęć do artykułu o wellness. Autorka tekstu miała dojechać wieczorem. Cora od trzech i pół roku była z Danielem, lekarzem, którego staranowała w czasie jakiegoś wręczania nagród czy czegoś w tym rodzaju. Bardzo zabawna i romantyczna historia. Cora była ze swoim facetem wystarczająco długo, żeby stanowić dla mnie wyrozumiałą partnerkę do rozmów na temat rutyny, nudy i żądz przygód.

- Oczywiście, że to znam! - wykrzyknęła uradowana, kiedy ostrożnie zagadnęłam ją na ten temat. - To te chwile, kiedy w perfumerii jakiś wewnętrzny głos szepcze ci do ucha: „Nadaj barwę swojemu życiu - kup ten żel koloryzujący”.

Skinęłam głową z wdzięcznością. O tak, ta kobieta naprawdę wie, o czym mówię.

- No i co? Kupiłaś?

- Co ja ci będę mówić, sama wiesz, jak to się szybko zmywa. Ale na zaspokojenie drobnych napadów żądz przygód wystarczy. Jakieś pół roku temu przetrwałam jeden z mniej groźnych kryzysów dzięki oberżynie L'Oreala. Próbowełaś kiedyś?

- Mnie to już nie wystarcza.

- Gadżety erotyczne z sex shopu? Fryzura intymna? Korekta nosa? Spontaniczny urlop? Mnóstwo rzeczy masz jeszcze do wypróbowania.

- Na spontanicznym urlopie właśnie jestem.

O upokarzającym incydencie w sex shopie i żalonym weekendzie w romantycznym hotelu nawet nie wspomniałam.

Cora milczała zamyślona, ze wstrętem patrząc przy tym na swoje stopy.

- Wiesz co, jeśli już nic nie pomaga, to musisz tego swojego faceta albo zdradzić, albo się za niego wydać. Takie coś działa ożywczo na każdy związek, gwarantuję. Przynajmniej jeśli idzie o mnie, to podziałało.

- Tygo...?

- Od pół roku jestem mężatką.

Muszę to najpierw w spokoju przetrwać. Z moich doświadczeń wynika, że faceci żenią się dopiero wtedy, kiedy w drodze jest

dziecko, mają jakieś straszliwe wyrzuty sumienia albo chodzi im o to, żeby ich stara przestała się w końcu o to dopominać.

- Bardzo prosta taktyka. Po roku regularnego marudzenia, że chciałabym już, żeby się w końcu ze mną ożenił, postanowiłam więcej o tym nie mówić. Do tego stopnia zbiło to mojego Daniela z tropu, że po sześciu miesiącach sam z siebie mi się oświadczył. Według tego schematu można zresztą postępować w każdym wypadku, jeśli czegoś chcemy. Najpierw uświadamiasz mu, że czegoś chcesz, i bez przerwy go tym wkurzasz, a potem nagle milkniesz na ten temat. Czasami trzeba wytrzymać dość długo. Ale w którymś momencie on sam przyjdzie do ciebie z tym, o co ci chodziło. Faceci strasznie nie lubią, jak się ich do czegoś zmusza. Trzeba im stworzyć możliwość wmówienia sobie, że to wyłącznie ich inicjatywa. Weź na przykład tę redaktorkę, która ma tu dojechać. Jest strasznie zakochana w jednym takim i bez przerwy wymyśla sobie najdziwniejsze preteksty, żeby do niego zagadać. Do faceta na pewno już dawno dotarło, czego ona tak naprawdę od niego chce. I to właśnie jest właściwy moment na planowy odwrót. Jeśli teraz na jakiś czas się od niego odczepi, sam przyjdzie do niej na kolacjach. Mogę się założyć.

Muszę to najpierw przemyśleć. Wprawdzie bardzo wysoko cenię taktykę, ale niestety niezbyt wychodzi mi stosowanie jej w praktyce. Brak mi po prostu cierpliwości. Na przykład bardzo często zarzucam Benniemu, że tak rzadko mnie o cokolwiek pyta. On na to za każdym razem odpowiada: „Przecież zanim zdążę zadać ci jakiegokolwiek pytanie, ty mi już wszystko opowiadasz”.

I ma rację. Do czego oczywiście nigdy się nie przyznam. A więc co najmniej raz w tygodniu robię mocne postanowienie, że

będę milczała jak grób i nie powiem Benowi, że rano w czasie joggingu zaczepił mnie jakiś strasznie przystojny Włoch, który niestety nie mówił ani słowa po niemiecku. W końcu sprawa wydaje się znacznie ważniejsza, jeśli się jej nie wygada tak od razu, tylko wyjawia stopniowo, krok po kroku. Na właśnie, w teorii jestem mocna, ale wystarczy, że usłyszę przekręcanie klucza w drzwiach, a już ku swemu zdumieniu słyszę, jak wołam: „Ty, Benni, zgadnij, co mnie dzisiaj rano spotkało!”.

A potem gadam mu o wszystkim jak najęta. A kiedy po paru godzinach pytam go, jak minął mu dzień, i z mozołem udaje mi się z niego wydusić, że jego kłopotliwa przyjaciółka Sonia z pisma „Laura” znowu była w palącej potrzebie, bo okazała się za głupia, żeby podłączyć swój komputer do prądu, jestem oczywiście wściekła. I to przez kilka dni.

- No sama nie wiem, Cora, taktyka to nie jest moja specjalność.

- A myślisz, że moja? Z tym małżeństwem to mi wyszło tylko dlatego, że moja najlepsza kumpelka Jo codziennie zabraniała mi rozmawiać o tym z Danielem.

Też by mi się przydała taka przyjaciółka, bo ja z Moną niezbyt dobrze się uzupełniamy, jeśli idzie o dyscyplinę. Obydwie jej po prostu w sobie nie mamy. Wprawdzie całe wieczory spędzamy na ustalaniu, co i jak zrobimy, ale z wykonaniem potem już gorzej. Mona na przykład chciała pokazać się swojemu ostatniemu facetowi jako wyrozumiała, niedająca się łatwo wyprowadzić z równowagi towarzysza życia.

- Kiedy wrócę dzisiaj do domu, będę spokojna i miła, przytulę Martina do piersi i nawet słowem nie wspomnę, jaka jestem wku-

rzona, że od trzech lat nie udało mu się naprawić szufladki na lód w zamrażarce - obiecywała sobie często, najczęściej wtedy, kiedy sama zapomniała schłodzić białe wino i miała do niego pretensje, że w domu nie ma lodu w kostkach. Kiedy następnego dnia rozmawialiśmy rano przez telefon, Mona przeważnie mówiła coś w rodzaju: - Właśnie, kiedy już-już miałam się wznieść ponad swoje złe przyzwyczajenia, okazało się, że są silniejsze, niż mi się wydawało.

- Słuchaj, Cora, teraz jesteś żoną lekarza, no nie? Pewnie czujesz się, jakbyś złapała pana Boga za nogi?

- No wiesz, bez przesady, taki cymes to znowu nie jest. Daniel właśnie zrobił specjalizację chirurgiczną i bez przerwy operuje jakichś swoich kumpli u nas w kuchni. Po prostu nie potrafi odmówić. Chyba sama rozumiesz, że to niezbyt przyjemne, kiedy akurat kroisz sobie w plastry filety z indyka i musisz patrzeć, jak twój ślubny wycina komuś przy miejscowym znieczuleniu znamię wielkości pączka.

Skinełam ze zrozumieniem. Jakoś nigdy nie patrzyłam na małżeństwo z lekarzem pod tym kątem.

- A ty zdradziłaś kiedyś Daniela?

Uznałam, że osiągnęliśmy takie stadium zażyłości, że to pytanie samo się narzucało.

- Hm, szczerze mówiąc, raz tak. Ale byłam mocno zalana i dopilnowałam, żeby użył gumki. A wtedy to się chyba nie całkiem liczy, jak myślisz?

Była to logika nie do końca dla mnie zrozumiała, ale nie zaprzeczyłam, żeby nie popsuć rodzącej się przyjaźni.

- Przedwczoraj się z takim jednym pocałowałam, wczoraj on śpiewał dla mnie na plaży, a ja się czuję tak okropnie, jakbym

właśnie poczęła dwojaczki z najlepszym przyjacielem mojego faceta.

- Czyś ty oszalała? Obściskiwałaś się z kimś? Śpiewał dla ciebie na plaży? Kurczę, to zupełnie jak na filmie! I dopiero teraz mi o tym mówisz? No super! A kto to taki? Jak wygląda? Jak go poznałaś? Zakochałaś się w nim? Pójdiesz na całość?

Właśnie zamierzałam udzielić jej szczegółowej odpowiedzi, kiedy zorientowałyśmy się, że możemy się spóźnić na wellness. Musiałam obiecać Corze, że opowiem jej wszystko z detalami przy kolacji. Tak bardzo nie mogła się doczekać mojej relacji o plażowej przygodzie, że - jak stwierdziła - zepsułam jej całą przyjemność z odprężającego zabiegu antyzmarszczkowego. Komplement tej klasy słyszy się rzadko. Ale wydał mi się całkiem zasłużony.

Kiedy kosmetyczka przygotowywała dla mnie ożywiającą tkanki kąpiel, poprosiłam o przyniesienie telefonu, żeby odwołać spotkanie z Robinem.

- Ach, jesteś w Mardavallu? Fajny pomysł.

No oczywiście, znowu pomyślał sobie, że wymyśliłam to, żeby się wydać bardziej interesująca.

- Wygrałam pobyt w losowaniu.

- A kiedy zamierzasz się ze mną znowu zobaczyć? Właściwie to już nie chcę żadnego rozgwieżdżonego nieba bez ciebie. Zastanawiam się nawet, czy nie kupić kompaktu Whitney Houston.

Oooooch, jakie to słodkie! Mało się nie rozpląnęłam od tych słów, zobaczyłam jednak, że kosmetyczka daje mi znak. Kąpiel gotowa.

- Możemy zobaczyć się jutro?

- Bardzo chętnie. Ponieważ podobno zatrzymałaś się w Mardavallu, to mógłbym cię odebrać jachtem w Portals Nous. Jest tam taki port niecałe pół kilometra od twojego hotelu. To może o drugiej?

- Okay.

- Pokażę ci najbardziej odludną i romantyczną zatoczkę na Majorce. Już się nie mogę doczekać.

- Wytrzymaj jakoś. To do jutra.

A potem zanurzyłam się w napinającej tkanki kąpieli bąbelkowej.

- Czy mogę wiedzieć, jakiej linii pielęgnacyjnej pani używa?

Stoję otulona w płaszcz kąpielowy koloru brzoskwiowego przy wejściu do strefy wellness. Skóra na mojej twarzy promienieje rozpieszczona kawiozem, a uda mam tak gładziutkie i miękkie, że co chwila niepostrzeżenie wsuwam dłoń pod płaszcz kąpielowy, żeby się przekonać, że to naprawdę moje. Właściwie chciałam tylko obejrzeć sobie hotelowe spa. Moja kosmetyczka powiedziała mi, że gdybym wzięła teraz kąpiel parową, to jeszcze dodatkowo wzmocni ona działanie preparatów, a czegoś takiego nie trzeba mi dwa razy powtarzać. Jestem pierwsza, która się tam zgłosi. Ale na pytanie o linię pielęgnacyjną nie byłam przygotowana i trafia mnie ono w czuły punkt.



Zawstydzona przypominam sobie niezliczone kupowane bez ładu i składu pojemniczki i pudełeczka w mojej łazience. Stanowią one pomnik mojej słabej woli i podatności na manipulację. Stosuję jakiś produkt tak długo, aż ktoś mi powie, że jest coś lepszego. Dopóki nie odwiedziłam ośrodka wellness, w którym pracuje brat Mony, w zasadzie byłam zadowolona ze swojej skóry. Przedmiotem mojej troski, jak już wspominałam, były raczej włosy. Fatalna pomyłka, jak się przekonałam. Lekkomysłnie bowiem poddałam się analizie skóry, z której wyników kosmetyczka firmy Shiseido wcale nie była zadowolona. Z zatroskaną twarzą przepisała mi długą listę, jakich kosmetyków kiedy używać, żeby oszczędzić mojej skórze dalszych znacznych i nieodwracalnych szkód. Oczywiście już na miejscu kupiłam całą paletę produktów i opuszczałam ośrodek z uczuciem, że oto udało mi się w ostatniej chwili uniknąć jakiegoś strasznego losu. Chwilowo udało mi się też jakoś stłumić świadomość, że wyczerpałam do dna cały debet na swoim koncie.

Dwa miesiące później, kiedy właśnie uzupełniłam linię pielęgnacyjną o płatkę na oczy Shiseido oraz maseczkę regenerującą, która zastępuje czterdzieści kilogramów świeżych malin, moja przyjaciółka Steffi przyniosła mi niestety nowe wieści z rynku kosmetyków. Właśnie wypróbowała całą linię do ciała firmy Clarins i to podobno jest to. Wyrzuciła z łazienki wszystko, co miała, i urządziła ją od nowa wyłącznie produktami Clarinsa. Trzeba tu zaznaczyć, że Steffi dysponuje dostatecznymi zasobami finansowymi, żeby kupować nowe linie kosmetyków z częstotliwością nimfomanki zmieniającej partnerów seksualnych. Ja natomiast musiałam pożyczyć od Bena, żeby przestawić się chociaż w pod-



stawowym zakresie. Naopowiadałam mu, że mam reakcję alergiczną na pewne składniki kosmetyków Shiseido.

- No to spróbuj kremu Nivea, na pewno ci nie zaszkodzi - stwierdził na to ten mądrała.

Ledwie zdażyłam się wypłacić, przyszła Mona i streściła mi raport z niezależnych testów organizacji konsumenckiej. Podobno jedyne, co na dalszą metę nie szkodzi skórze i trwale opóźnia procesy starzenia się, to wyłącznie kosmetyki oparte na składnikach naturalnych. Od tej pory używam wyłącznie kosmetyków Weledy i kupuję sobie różany olejek witalizujący do twarzy w tym samym sklepie co muesli. Ale to dopiero od miesiąca, a w dodatku w zeszłym tygodniu sprawiłam sobie już lotion na noc Lancôme'a, bo tak pięknie pachniał, że się nie mogłam oprzeć, a ostatnio strasznie mnie też zaciekawiła jakaś reklama Biothermu promująca nowe kremy z oliwek.

- Ze względu na bardzo wrażliwą skórę przestawiłam się na kosmetyki naturalne - mówię dzielnie kosmetyczce Mardavalla,

starając się sprawiać wrażenie osoby możliwie pewnej siebie i dobrze poinformowanej.

- Tak, tak, istotnie, liczba zwolenników tej linii rośnie. Ja jednak mimo wszystko bardzo polecam pani ten prospekt. Wydaje mi się, że jest pani winna swojej skórze lekturę. Powinien panią zainteresować Age Management System firmy La Prairie. Poza tym warto zwrócić uwagę na Eye Repair, Body Booster czy Stimulus Complex, które mogą panią uchronić przed niejednym.

Oczywiście wyobraźni już widzę, jak sprzedają auto, żeby pozwolić sobie chociaż na to serum pod oczy. W katalogu oczywiście nie ma żadnych cen. La Prairie podaje ceny wyłącznie przez telefon, podobnie jak to ma miejsce w handlu ekskluzywnymi nieruchomościami czy przy zakupie czerwonego wina, które trzeba specjalnie przynieść z piwniczki.

- Anabelle, to ja. Cora Hubsch. Młodsza o całe wieki!

Strasznie się ucieszyłam, że pojawienie się Cory przerwało tę upokarzającą dla mnie rozmowę. Proponuję jej jak najszybsze udanie się na kąpiel parową. Tam uwalniamy się od napięcia pod okiem łagodnie uśmiechniętego popiersia faraona pilnującego wejścia pod prysznic z masażami.

Później siedzimy sobie w zapadającym zmierzchu na hotelowym tarasie przy koktajlach i oliwkach.

- No i co twoim zdaniem powinnam zrobić?

- Jesteś w tym Robinie zakochana?

- Przecież prawie go nie znam. Poza imieniem w zasadzie nic o nim nie wiem. Wiesz, on jest jak taka obietnica, że życie może się jeszcze całkowicie odmienić. Jeden pocałunek to naprawdę

trochę za mało, żeby mówić o poważnych zamiarach. Wiesz, chodzi mi o to, czy zaczynać całkiem od nowa z całkiem nowym facetem.

- Żeby po czterech i pół roku znaleźć się dokładnie w tym samym miejscu, w którym jesteś teraz? Sama nie wiem.

- Czyli że mi odradzasz?

Staram się, żeby nie było słychać, że jestem urażona. Zazwyczaj całkiem dobrze radzę sobie z krytyką. Pod warunkiem, że jest pozytywna.

- A tak właściwie to co cię wkurza w twoim facecie? To, że tak długo się znacie, to chyba nie jest jego wina?

- Boję się, że właśnie przechodzi mi koło nosa życie, które bardziej by mi się podobało. A może to tylko taki wybór na siłę? Może jestem po prostu za wygodna i za tchórzliwa i za bardzo żyta ze swoim obecnym życiem, żeby się odważyć na coś nowego i lepszego?

- Wiesz, nowe wcale nie musi być automatycznie lepsze. Ale doskonale rozumiem, o co ci chodzi. Na przykład moja przyjaciółka Jo dopiero co się zakochała. Myślisz, że mnie to nie rusza? Ona się kocha cztery razy dziennie! Ja czegoś takiego już nawet nie pamiętam! Ale podjęłam decyzję: chcę w życiu miłości, a miłość po pewnym czasie przestaje być synonimem dziwnej namiętności. Tak to już jest: miłość jest wieczna, namiętność niekoniecznie. Nie można mieć jednego i drugiego. Poza tym cokolwiek wybierzesz, i tak od czasu do czasu będziesz miała poczucie, że coś cię omija.

- To brzmi tak strasznie racjonalnie. Nawet nie chcę tak myśleć.

- Sama siebie oszukujesz. Nie widzę w tym nic złego, że sobie z tym Robinem flirtujesz czy nawet się z nim prześpisz. Coś, co wpływa pozytywnie na twoją samoświadomość, wpływa też pozytywnie na twój związek. Tak właśnie próbowałam zagłuszyć wyrzuty sumienia po tym moim skoku w bok. Ale czy rzeczywiście chodzi tutaj o tego fantastycznego Robina z superjachtem, który budzi w tobie jakieś nastoletnie marzenia?

Kurczę, najgorsi są ludzie, którzy mają rację. Na takich człowiek się najbardziej złości, bo czuje się przyłapany. Próbuję się skoncentrować na kawałku oliwki, który zadomowił się gdzieś między moimi trzonowcami. Niestety mam strasznie szerokie przerwy między zębami. Jeśli kiedyś nastałaby klęska głodu, to spokojnie przeżyłabym rok na tym, co się tam zatrzymuje.

- Obraziłaś się?

Cora patrzy na mnie przyjaźnie, a ja sobie myślę, że to przecież nie jej wina, że ma rację.

- Bo ja wiem? No, może troszeczkę.

- Wiesz, gdybym cię znała trochę dłużej, na pewno nie byłabym taka szczerą. Ale wydaje mi się, że znacznie łatwiej znosi się krytykę od kogoś obcego niż od bliskich przyjaciół. Nie mówiąc już o własnym facecie. Nie wiem, jak tam u ciebie, ale ja generalnie nie toleruję słów krytyki od kogoś, kogo kocham.

- Ja też.

- W twoim wypadku może chodzić tylko o jedno: kochasz swojego obecnego faceta czy nie? Jeśli go kochasz, to nie powinnaś go rzucać tylko dlatego, że nagle zrobiło ci się z nim trochę nudno. Jeśli tak zrobisz, to może się zdarzyć, że za cztery lata bę-

dziesz się nudzić nie z tym facetem co trzeba. A to by już była prawdziwa katastrofa. Więc jak: kochasz go jeszcze?

No nie, to już przestaje być zabawne. Co to w ogóle za pytanie? Pewnie, że jeszcze kocham mojego Benniego. Ale chyba wolno mi na jakiś czas wyprzeć to ze świadomości, no nie? Jak inaczej rozegrać twórczo własny życiowy kryzys i porządnie się nim nasycić? Miłość to argument nie do dyskusji. Ben też go czasami używa, kiedy nie ma ochoty się kłócić. To bardzo egoistyczne i nie fair. Bo mnie się akurat tak fajnie na niego pomstuje, a on rzuca sztucznie przybitym głosem:

- Ale, Bello, nie zapominaj, że były też piękne chwile.

Ja wtedy wybucham śmiechem i nici z kłótni, chociaż oczywiście chciałabym się dalej kłócić i w zasadzie wciąż jeszcze jestem na niego wściekła. Głupie uczucie. Zupełnie jak wtedy, kiedy mamy czkawkę, a ktoś nas przestraszy. Cała reszta tej czkawki zostaje wtedy w człowieku w środku i to też nie jest specjalnie przyjemne.

Decyduję, że powinnam powiedzieć coś znaczącego.

- Nie jestem tak do końca pewna, czy nadal go kocham.

I w tym momencie moje życie zrobiło fikołka z dodatkowymi trzema saltami na rękach. Jestem jak sparaliżowana i mam tylko nadzieję, że jednak bez większych strat wydostanę się jakoś z tego chaosu.

- Juhuuuu! Cora! Co ty tam podpijasz? Grunt, żeby dla mnie coś zostało!

Zbliża się do nas bardzo wysoka kobieta, rozkłada ramiona i całuje Corę w oba policzki.

- Rany, jesteś tu zaledwie jeden dzień, a spaliłaś się na grzan-
kę. Zrobiłaś już zdjęcia w centrum wellness? A łożka wodne w od-
poczywalni? Ach, zresztą, wszystko jedno. Opowiem ci coś niesa-
mowitego!

Jak zaczarowana śledzę wejście koleżanki Cory. Ta kobieta wy-
gląda tak, jakby nigdy w życiu nie zjadła ani jednej kalorii. Wszyst-
ko w niej jest długie, szczupłe i piękne: ręce w bluzeczce bez ręką-
wów, szyja, palce. A już prawdziwy obłęd to nogi. Pewnie z sześć
razy dłuższe od moich i ledwie zakryte dżinsową minispódniczką.
Za takie dołki podkolanowe, jakie ma ona, mogłabym zamordować.

W zasadzie nie znam kobiet, które miałyby ładne dołki pod-
kolanowe. Moim zdaniem w pismach dla kobiet zbyt mało uwa-
gi poświęca się temu problemowi. Moje na przykład są mięsiste
i nie ma co więcej mówić. Gdyby człowiek nie wiedział o tym
z lekcji biologii, to sam nigdy by na to nie wpadł, że pod tą tkan-
ką tłuszczową jest jeszcze parę kości. Jej dołki podkolanowe na-
tomiaś wyglądają jak u chudych dzieci, a jej kolana też - jej
szczęście, a mój pech - są zupełnie inne niż moje. Nie takie wy-
bulwione jak zwyrodniałe guzy, tylko idealne. Oczywiście jej wło-
sy to też czysty dar od Boga: długie, ciemnoblonde, a do tego
błyszczące jak nie wiem co. Nawet stopy ma piękne, żadnych wi-
doków na młotkowate palce, idealnie spiłowane paznokcie,
a w czarnych, ozdobionych cekinami sandałkach jej nienaganne
pięty prezentują się oszałamiająco. Zastanawiam się, jak to jest,
kiedy się jest tak piękną.

Kiedy już wyściskała się do syta z Corą, zjawiskowa istota od-
wraca się w moją stronę, wyciąga dłoń, uśmiecha się promiennie,
a ja dostrzegam z zaskoczeniem, że ma niewielką przerwę między

zębami. Należy się obawiać, że właśnie ta mikroskopijna wada sprawia, że ona dla każdego faceta jest właśnie tą kobietą, dla której gotów jest porzucić rodzinę, kraj i planetę. Ta właśnie drobna przerwa między zębami czyni z niej człowieka, dzięki niej jest w pewien sposób niedoskonała, krucha, wzruszająca. Dlatego zresztą Claudia Schiffer nie jest tak naprawdę ładna. Jest zbyt idealna. Natomiast Julia Roberts jest super, bo ma usta jak zsypana śmieci.

Jednak za nic nie chciałabym, żeby ta kobieta była moją najlepszą przyjaciółką. Przez jakiś czas naprawdę rozważałam, czy nie powinnam się przyjaźnić wyłącznie z kobietami od pewnego rozmiaru garderoby wzwyż. No bo po co się męczyć i wychodzić z przyjaciółkami, przy których będę się czuła jak traktor? No ale teraz, kiedy odrobinę przytyłam, musiałabym praktycznie wymienić cały krąg znajomych. A tego bym jednak nie chciała. Zwłaszcza że wciąż mam taką nadzieję, że pewnego dnia moja waga sama z siebie wróci do normy.

W każdym razie z pewną rezerwą spoglądam w rozpościerającą się przede mną lukę między zębami.

- Cześć! Mam na imię Sonia i jestem redaktorką działu urody w „Laurze”.

- A ja jestem Anabella i muszę koniecznie wyskoczyć do toalety.

To przecież nie do wiary. Siedzę jak skamieniała na klapie sedesu i usiłuję jakoś pojąć swoją sytuację. Tamto zjawisko to bez wątpienia ta Sonia, która od dwóch miesięcy, stosując najprymitywniejsze chwytły, usiłuje poderwać mojego faceta. Ta Sonia, która wmusza

mojemu Benowi próbki wody po goleniu, jakieś lotiony i kremy ujędrniające skórę. Ta Sonia, którą czasami żartobliwie i nader lekceważąco nazywałam napaloną ekspertką od zmarszczek. Ta Sonia, o której mój poczciwy Benedykt Cramer bezczelnie śmiał twierdzić, że nie wygląda za szczególnie. Równie dobrze mógłby powiedzieć, że George Clooney wygląda jak przeciętny facet.

Ale oczywiście mój drogi Ben nie mógł się spodziewać, że kiedykolwiek osobiście spotkam tę nieszczególnie wyglądającą panią, która rzekomo w ogóle na niego nie leci. Co to Cora mówiła? Aha, że Sonia jest właśnie strasznie zakochana i ciągle wymyśla jakieś preteksty, żeby pogadać z tym facetem. I że ten facet od dawna już na pewno zdaje sobie sprawę, że ona go chce.

A ten facet, aż trudno uwierzyć, to mój facet! Mój Benni w szponach tej... tej niedożywionej, rozparzonej szantrapy od kosmetyków, która nie ma ani jednego porządnego zęba! Jak on mógł nic mi o tym nie powiedzieć! Gdyby we mnie zakochał się jakiś multimilioner, który zupełnie przypadkiem wygląda jak młody Gregory Peck, natychmiast bym mu o tym powiedziała. Bo to przecież cholerna różnica! W ten sposób można zrobić wrażenie, można wzbudzić u partnera zazdrość i sprawić, żeby zauważył, że jestem pożądaną przez facetów z klasą kobietą z klasą. Nigdy w życiu nie przepuściłabym takiej okazji! A co robi mój Benni? Typowe. Uważa, że nic się nie dzieje. Bagatelizuje całą sprawę. Albo nie chce mnie denerwować, albo... naprawdę ma coś do ukrycia.

Krew zastyga mi w żyłach. A jeśli on się zakochał w Soni? A jeśli właśnie się do niej wprowadza, podczas kiedy mnie się wydaje, że tu chodzi tylko o mój osobisty kryzys, który mogę zakończyć, kiedy mi się spodoba? A jeśli ja marzę o przygodach, które on wła-

śnie przeżywa? A jeśli ja tutaj uważam się za podłą, bo pocałowałam się z Robinem, a tymczasem mój facet uprawia z Sonią w łóżku akrobacje, o których ze mną może tylko pomarzyć? A mnie ciągle powtarzał, że w ogóle nie za bardzo lubi takie superszczupłe kobiety. Łajdak! Jestem u kresu. Co tu robić?

Oczywiście, że Cora miała rację. Zawsze chodzi o miłość. Zawsze chodzi tylko i wyłącznie o miłość. A jeśli mam być całkiem, ale to całkiem szczerą, to tak naprawdę nigdy nie miałam zamiaru porzucić Bena. I jeśli mam być szczerą, ale to całkiem szczerą, ten facet to najlepsze, co mnie spotkało w życiu. Jeśli mam już być naprawdę szczerą, ale tak naprawdę całkiem szczerą, to muszę powiedzieć, że mam nadzieję, że mój Benni nawet za czterdzieści lat będzie dla mnie gotował spaghetti arrabiata i kradł do tego pacuszki parmezanu firmy Miracoli. Ale jak to przeważnie bywa, wcale, ale to wcale nie miałam zamiaru być szczerą. Bo wtedy człowiek nic by w życiu nie przeżył. Ale teraz, w obliczu całkowicie odmiennej sytuacji, nie miało już dłużej sensu się oszukiwać, że szukam nowej miłości. Teraz, jak sobie uświadomiłam, będę się mogła cieszyć, jeśli w ogóle uda mi odzyskać starą. Aż się wzdrynęłam.

No przecież nie będę do końca życia siedziała na tej kłapie od sedesu. Zwłaszcza przy niezamkniętych drzwiach. Teraz po prostu wyjdę i będę udawała, że wszystko gra. Mam na razie zdecydowaną przewagę: ja wiem, kim jest Sonia, ona natomiast nie wie, kim jestem ja. Nie ma pojęcia, że siedzi przy jednym stole z przyjaciółką faceta, w którym jest zakochana. A jeśli będzie chociażby w połowie tak otwarta w zwierzeniach jak ja - a zakochane kobiety na szczęście wyjątkowo chętnie o wszystkim mówią - to jeszcze dziś

wieczorem dowiem się czegoś na temat aktualnego stanu rzeczy. Muszę tylko trzymać nerwy na wodzy. Jeśliby się miało okazać, że mój facet nie jest już moim facetem, wtedy na pewno prześlpię się z Robinem i rozstanę z Bennem SMS-em, zanim on rozstanie się ze mną. Przynajmniej jakaś pociecha.

Albo i nie.

Słucham?

- Trzysta pięćdziesiąt euro.

- To chyba jakaś pomyłka. Ja ten pobyt u państwa wygrałam.

- Jak najbardziej. Niemniej wszystkie dodatki ekstra musi pani opłacić sama. Z pewnością organizator panią o tym poinformował.

- Jakie dodatki ekstra?

- Miała pani zabiegi Caviar Firming Body Treatment oraz Thalasso Mont Saint Michel Mud Treatment. Do tego dochodzą solone orzeszki, różne batony z minibaru oraz butelka szampana, którą wczoraj zamówiła pani do pokoju.

No tak, z szampanem to akurat prawda. Pozwoliłam sobie na to szaleństwo, kiedy wreszcie miałam za sobą wczorajszy wieczór i uznałam, że jeszcze nie jestem dostatecznie pijana. W głębi duszy miałam jednak nadzieję, że nie wpiszą mi tej butelki do rachunku.

- Ale o ile się nie mylę, zabiegi kosmetyczne były przecież...

- Nie. W pakiecie gratisowym zawierał się manikiur i pedi-kiur. Pani jednak zdecydowała się na Caviar Firming Body Treatment oraz Thalasso Mont Saint Michel Mud Treatment.

- No tak, tylko że myślałam... wszystko jedno, ile to razem?

- Trzysta pięćdziesiąt. Jeśli pani sobie życzy, mogę wydrukować rachunek z dokładnym wyszczególnieniem pozycji.

- Nie, dziękuję.

Za mną zdążyła się już ustawić kolejka ludzi, którzy wszyscy bez wyjątku wyglądają tak, jakby mieli mało czasu, a za to dosyć pieniędzy, żeby opłacić swoje dodatki ekstra. Kobieta stojąca zaraz za mną bębni nerwowo palcami w torebkę od Vuittona. Jej dzieciak spogląda na mnie jak na jakiegoś dinozaura. Pewnie szczył nie widział jeszcze człowieka, dla którego trzysta pięćdziesiąt euro to dużo pieniędzy. A mówiąc dokładniej: o wiele za dużo. Problem polega mianowicie na tym, że w portmonetce mam trzydzieści euro, tyle żeby wystarczyło na taksówkę. Bezgotówkowo płacić już nie mogę, od kiedy córeczka mojej siostry wzięła moją kartę kredytową za zdrapkę i usiłowała usunąć mi pasek magnetyczny kuchennym nożem.

- Zechce pani momencik poczekać? Muszę tylko zadzwonić.

- Bardzo proszę. Pozwoli pani, że przez ten czas obsłużę innych gości.

Staram się w miarę godnie opuścić recepcję, co mi się oczywiście nie udaje. Całą dzisiejszą noc spędziłam na rozmyśleniach o kobiecie, która chce mi odebrać mojego faceta, do białego rana piłam szampana na tarasie, zalewając się łzami, i pół godziny temu wyszłam z salonu fryzjerskiego Udo Walza, gdzie sam mistrz osobiście robił mi pasemka i podcinał włosy.

Chyba zupełnie inaczej teraz wyglądam. I chyba dobrze. „Zaczepnie i sexy”, jak określił to pan Walz. Przemięły zresztą człowiek, który w najmniejszym stopniu nie jest zainteresowany opowieściami o życiu i romansach swoich klientek.

- Kiedy któraś z pań próbuje mi opowiedzieć, z kim właśnie zdradza męża, ja zawsze powtarzam: „Nie chcę o tym nic słyszeć, bo jeśliby się kiedyś wydało, to zawsze winny będzie fryzjer”.



Tak więc pan Walz ma do opowiedzenia znacznie mniej, niż się wydaje. Ja byłam chyba dla niego szczególnie wdzięczną klientką, ponieważ siedziałam skacowana, milcząca i bezwładna na tym jego fotelu i nie zamęczałam go konwersacją.

W każdym razie w ciągu ostatnich dwunastu godzin przeżyłam więcej niż ktoś inny przez całe życie. Mam nerwy w rozsypce i w zasadzie potrzebowałabym spokoju, żeby przywyknąć jakoś do swojej nowej sytuacji oraz fryzury, a tymczasem siedzę w hallu i czekam, aż przyjdzie ciotka, żeby mnie wykupić. Nie o takich przygodach marzyłam. Dodatkowa trudność polega na tym, że za dwie godziny jestem umówiona w Portals Nous z Robinem i do tego czasu koniecznie już muszę sprawiać wrażenie zwiewnej i ożywionej oraz pewnej siebie i uwodzicielskiej. Nie ulega bowiem wątpliwości, że między mną a Robinem dojdzie dzisiaj do nader podniecającego stosunku płciowego, sprawa przesądzona. Jestem tego warta. To sprawa honoru.

- Nie martw się, skarbie! Za godzinę będę w Mardavallu i cię wyciągnę. Do tego czasu idź sobie na słońeczko, wskocz do basenu i zamów sobie coś drogiego! Nie przejmuj się niczym, tylko ciesz się, że masz bogatą ciotkę!

Tymi właśnie słowy pocieszyła mnie radośnie przez komórkę Gesa. Od razu humor mi się poprawił i oznajmiłam recepcjonistce, że pieniądze są w drodze i że proszę o przyniesienie mi na basen zimnego homara z trzema rodzajami majonezu oraz pół butelki wina sancerre. Mija mnie właśnie ta kobieta z torebką od Vuittona i swoim okropnym dzieciakiem. Uśmiecham się do niej słodko i mówię:

- Doskonała podróbka ten pani Vuitton.

W zasadzie homary to takie wielkie owady. Tak przynajmniej gdzieś przeczytałam. Było tam też pytanie: „Dlaczego zjadamy zwierzęta, których za nic nie odważylibyśmy się dotknąć albo hodować w domu? Kiedy zaczniemy traktować smażone karaluchy jako przysmak?”.

Tak czy inaczej homary zdecydowanie należą do gatunku pożywienia, którego nie należy oglądać przed spożyciem. Podobnie jak małże i pieczone w całości pstragi, które gapią się na człowieka martwym zbiełałym okiem, osiągając tym tylko tyle, że ich śmierć okazuje się daremna, bo to gapienie się odbiera człowiekowi apetyt. Okropne są też kałamarnice. Na wczorajszej kolacji z Gesą w klubie przy plaży normalnie się przestraszyłam. U mnie w domu, znaczy w greckiej restauracji za rogiem, kałamarnica wygląda jak panierowana oponka - a tutaj wjechało na stół kompletne zwierzę. Ukryłam tego głębinowego potwora pod sałatą i piłam tylko białe wino.

Pół butelki sancerre na kaca budzi mnie do życia. Kiedy tak spoglądam sobie na ten basenowy krajobraz, muszę stwierdzić, że mój krótki urlop na Majorce zupełnie niespodziewanie stał się jednym z najbardziej osobliwych doświadczeń w moim życiu. Obojętnie, jak to wszystko się skończy, na pewno będę miała o czym opowiadać.

Kiedy wczoraj, siedząc na kiblu, odkryłam ponownie swoją miłość do Bena, ogarnął mnie spokój, jakiego dotychczas w sobie nie miałam. To musi być ten rodzaj spokoju, jaki odczuwa skoczek narciarski pędzący w dół, w stronę progu. Po prostu nie ma już odwrotu. Po co się więc denerwować? Nie chodzi o to, że kiedykolwiek skakałam na nartach. Co to, to nie. Zawsze należałam do tych dzieci, które wołały zostać wyśmiane i wyrzucone za karę z basenu, ale dzięki temu przynajmniej opuszczałam trzymetrową wieżę do skoków drogą lądową.

Kiedy wróciłam do stolika, Cora i Sonia rozmawiały sobie w najlepsze. Tak jak się tego spodziewałam, chodziło o facetów. Cora najwidoczniej właśnie opowiedziała Soni o mojej przygodzie z Robinem, ponieważ Sonia powitała mnie promiennie:

- Zupełnie jak w bajce! Przystojny młody właściciel jachtu! Gdzie dzisiaj można kogoś takiego znaleźć? Zawsze mi się wydawało, że tacy faceci muszą być starzy i grubi i że zapraszają na pokład wyłącznie osiemnastki.

Uśmiechnęłam się cierpiętniczo. Trochę to dla mnie za dużo śmiać się z dowcipów rywalki - nawet jeśli doskonale odpowiada ją mojemu poczuciu humoru.

- A propos starych i grubych. Wiesz, kogo mi teraz w redakcji wmawiają? Tego Lehmana z oprawy graficznej. A wszystko dlatego, że on się na mnie napala. Wiesz, Cora, o kim mówię, nie?

- Ten wstrętny kurdupel, którego wszyscy nazywają Deespejot?

- No właśnie ten! Deespejot to skrót od „drapię się po jachach”. Bo on bez przerwy kręci się przy automacie do kawy i majdruje łapskami przy rozporuku. No przecież to bezczelność wmawiać mi takie rzeczy. Zupełnie jakbym mogła w ogóle brać pod uwagę faceta, który co rano wita się, mówiąc na zmianę albo „No i co tam, panie hipopotam”, albo „Jak tam dzionek, panie Bronnek”, a żegna: „No to naraziczek”. Wkurza mnie, że wszyscy mi co chwila wmawiają jakieś romanse. Po prostu nie mogą uwierzyć, że dostałam tę robotę ze względu na moje umiejętności zawodowe. Normalnie nie mogę!

- A jeśli o mnie chodzi, to jakoś nikt nie wyobraża sobie, że bym mogła dostać tę moją pracę tłumaczki z innego powodu, jak tylko ze względu na moje umiejętności zawodowe. To dość obraźliwe, nie sądzicie?

- Anabelle, moim zdaniem jak najbardziej wyglądasz na taką, która robi karierę przez łóżko. Zdrówko!

W ten sposób lody między mną a Sónią zostały przełamane. Od tego momentu byłam tajnym agentem na terenach wroga.

Opowiedziałam krótko moją historię z Robinem, cały czas uważając, żeby nie wymienić niechcący imienia Bena.

Sonia była zdania, że niewierność stanowi akceptowalny środek w razie występowania oznak rozkładu długoletniego związku. Ważne ma być jednak podobno jej dawkowanie. Wszystkie nato-

miast zgodziłyśmy się co do tego, że zdrada ze strony mężczyzny to rzecz niewybaczalna i zasługuje na surową karę.

- Chociaż wszystko zależy od punktu widzenia, z jakiego rozpatruje się kwestię wierności - stwierdziła Sonia, uśmiechając się znacząco. - Ja na przykład jestem aktualnie bardzo zainteresowana tym, żeby pewien konkretny mężczyzna zdradził swoją partnerkę.

Wstrzymałam oddech, żeby po chwili wypalić niby to obojętnie:

- Jasna sprawa. Jak się ma na kogoś ochotę, to nie widzę powodu zwracać uwagi na taki mało istotny drobiazg, że facet jest już zajęty.

Zresztą naprawdę tak właśnie uważam. No bo żyjemy przecież w epoce gospodarki wolnorynkowej, w której konsument sięga po prostu po lepszy produkt. W końcu ma pełne prawo przetrzucić się na inną markę.

Jeśli ktoś z mojego powodu porzuca partnerkę - nie chcę być nieskromna, ale zdarzyło się to ze dwa razy - to moim zdaniem jak najbardziej w porządku. W końcu nikt go do tego nie zmusza. Dodam tylko, że taka decyzja dowodzi dobrego gustu. No poważnie.

- Słuchaj, Sonia, a jak tam sprawa z tym twoim super-Benim? Już opowiadałam Anabelli, że masz kogoś na oku.

Super-Benni?

Czy ja naprawdę usłyszałam „super-Benni”?

One naprawdę mówią o moim misiaczku? O moim dziubasku, który brzydzi się pajaków, ale nigdy otwarcie się do tego nie przyzna? O moim Benie, który ma wprawdzie szerokie bary, ale zaledwie parę włosków na kłacie, które pieśczośliwie nazywamy Kelly Family? Moim Benie, który nigdzie nie wyjedzie bez własnego

ekspresu do kawy i wyciskarki do soków? Moim Benie, który we śnie wygląda jak wielkie i bardzo zadowolone dziecko?

Przyznaję, dużo mnie kosztowało przysłuchiwanie się, jak te dwie kobiety rozmawiają o moim facecie, jakby nie chodziło o mojego faceta, tylko o kogoś absolutnie fantastycznego.

- To jak w końcu wygląda ten twój super-Beni? - pytam możliwie obojętnie.

- Najpiękniejsze w nim są jego oczy, ale ma też niczego sobie tyłeczek.

Najchętniej z miejsca bym ją strzeliła w pysk, bo najwyraźniej miała czelność gapić się nie tylko w oczy, ale też na tyłek mojego partnera życiowego, wydra jedna. Poza wszystkim innym jej obserwacje były jak najbardziej słuszne.

- Najbardziej jednak uwielbiam ten jego spokój i zaufanie, jakie wzbudza. Wiesz, Anabelle, to taki facet, że jak go masz obok siebie, to wiesz, że nic złego ci się nie może stać. Przez ostatnie cztery lata byłam z takim jednym kompletnym oszołomem. Ten totalnie nie umiał niczego doprowadzić do końca. Mówił, że jest fotografem artystą, i sprzedawał rocznie trzy zdjęcia na krzyż. Tylko w skokach w bok był nie do pobicia. Teraz potrzebuję kogoś solidnego, na kim można polegać.

- Ale jeśli ten Benni jest taki solidny, to pewnie nie będzie chciał zdradzić swojej przyjaciółki - rzuciłam ostrożnie, być może jednak ze zbyt wyczuwalną nadzieją w głosie.

- Przecież nie chodzi o to, żeby ją zdradził. Chodzi o to, żeby ją porzucił.

Sonia zaśmiała się, Cora też się zaśmiała - ja próbowałam się przyłączyć, ale mój śmiech zabrzmiał jak przerażone mecze-

nie zgrzybiałej kozicy górskiej, która nagle znalazła się nad przepaścią.

Niestety Sonia i Cora zmieniły temat, ponieważ kelner przyniósł kartę dań i Sonia musiała sprawdzić na liście, którą miała przy sobie w torebce, jaki jest indeks glikemiczny poszczególnych potraw. Oznajmiła, że dzięki tej metodzie schudła dziesięć kilogramów w cztery miesiące. Wystarczy podobno zrezygnować z tych produktów spożywczych, które mają wysoki indeks glikemiczny, albo łączyć je z tymi o niskim GL Oczywiście z miejsca tak się tym zainteresowałam, że na kolejne minuty całkiem zapomniałam, z jaką to nędzną kreaturą mam właśnie do czynienia. Oczywiście wyobraźni widziałam już, jak w ciągu dwóch miesięcy znika moje nadprogramowe trzy i pół kilo, i to wszystko za sprawą noszenia w torebce listy. W tej sytuacji trzeba było pomyśleć o zmianie priorytetów.

Okazało się, że Sonia straciła na wadze nie tylko dzięki określonym kombinacjom potraw. Oczywiście wszystko, co naprawdę smaczne, jak tosty z dużą ilością masła i dwoma plasterkami goudy, półkilogramowa porcja spaghetti arrabiata na dwie osoby albo pół tony cookie ice z kawałeczkami prawdziwych ciastek, musiałabym definitywnie skreślić z listy rzeczy do jedzenia. Tego, że kotlet myśliwski z frytkami i majonezem nie odchudza nawet wówczas, kiedy połączymy go z najlepiej ze wszystkiego wspomagającą spalanie tłuszczu zieloną soczewicą, niejasno domyślałam się już wcześniej.

Z mojego doświadczenia wynika, że istnieje tylko jedna niezawodna recepta na schudnięcie: a. Nie jedz niczego, co ci

smakuje, b. Tego, co ci nie smakuje, jedz niewiele, c. Po godzinie osiemnastej nie jedz w ogóle.

Jeśli to wytrzymasz przez trzy miesiące, nagle stwierdzasz, że masz o wiele więcej pieniędzy w portfelu. Nie musisz bowiem kupować żadnych więcej prezentów urodzinowych, bo nie masz już przyjaciół. A twój facet też się zaczyna zastanawiać, jak długo jeszcze to wytrzyma. No bo wprawdzie nie musisz w czasie seksu myśleć o wciąganiu brzucha, ale pulsometr, który masz na przegubie, żeby przez cały czas kontrolować optymalną dla procesu spalania tłuszczu pracę serca, może go wkurzać.

Poza tym on nie znosi, kiedy odmawiasz mu spontanicznych wypadów do włoskiej restauracji, ponieważ przez cały czas co chwila ordynujesz sobie dzień postu, który chciałybyś zakończyć niezwykle gustowną kromeczką pumpernika. Niezbyt też odpowiada mu konieczność oglądania przed snem stosów leżących przy łóżku literatury fachowej o dźwięcznych tytułach: „Zawsze młoda”, „Zawsze piękna”, „Zawsze w formie” czy „Oczyszczanie jelit dla początkujących”. Na większości z tych książek widać zdjęcie autora, przeważnie jakiegoś staruszka o siwych włosach z krzywym uśmiechem wyglądającego tak, jakby właśnie uciekł z przybytku, w którym w zasadzie powinien zostać.

Ben w niektórych akcjach tego typu nawet uczestniczył. Sam ma skłonności do brzuszka, je, co chce, i w weekendy biega. Ma zdecydowanie luźniejszy stosunek do wagi swego ciała niż ja. Ostatnio zastałam go w domu na tym, jak przebierał w swoich dżinsach i w końcu z siedem par przeznaczył do oddania.

- O co chodzi z tym spodniami?

- Zrobiły się za ciasne. Po raz pierwszy od bardzo dawna znowu się zważyłem. Osiemdziesiąt dwa kilo. To dwa i pół kilo więcej, niż ważyłem jako nastolatek.

Cóż, rzeczywiście trudno to uznać za dramatyczne przybranie na wadze. Ale i tak nawet się troszkę ucieszyłam, że mój Ben, który w tych sprawach zazwyczaj wykazuje niewielkie zrozumienie dla moich rozterek, wreszcie na własnej skórze przekonał się, jak to jest, kiedy trzeba się pozbyć swojej najwspanialszej garderoby, bo już nie można się dłużej oszukiwać, że kiedykolwiek się jeszcze wejdzie w tę minispódniczkę sprzed dziesięciu lat. No i czas zrobić w szafie miejsce dla letnich ubrań, w których wyglądamy jak dwuosobowy namiot w kwiatki. Jestem przekonana, że wiele kobiet ma manię na punkcie butów, ponieważ rozmiar noszonego obuwia się nie zmienia.

Tydzień później Ben powiedział mi, że znowu ma idealną wagę.

- Co? W ciągu siedmiu dni? Jak to możliwe? W tajemnicy przede mną przeszedłeś na magiczną dietę kapuściana, czy co?

- Nie. Nadal ważę osiemdziesiąt dwa kilogramy. Ale postanowiłem, że od tej pory to właśnie będzie moja idealna waga.

Tak po prostu. Z pełną naiwnością i całkowitym pogwałceniem zasad BMI. Kiedy Ben chodzi biegać, odmawia zabierania ze sobą pulsometru, który mu podarowałam na trzydzieste siódme urodziny. Mówi, że dla niego bieganie to sposób na odprężenie i jest mu kompletnie obojętne, jakie ma przy tym tętno. Mnie zresztą też nie chce ze sobą zabierać na bieganie, bo podobno nie umiem się obchodzić z moim pulsometrem. A wszystko dlatego, że kiedyś jeden jedyny raz wpadłam w panikę, bo mi się wydawało,

że zaraz będę miała zawał, a tymczasem pomyliłam na wyświetlaczu częstotliwość pulsu z godziną.

Sonia przyznała się w końcu, że najlepszym przepisem na schudnięcie są kłopoty sercowe. Podobno co najmniej pięć z tych dziesięciu kilogramów zawdzięcza temu niewiernemu baranowi, którego cztery miesiące temu nareszcie wystawiła za drzwi.

- Niewiele pożywienia w formie stałej, dużo alkoholu, dużo papierosów, dużo przepłakanych nocy - mówię wam, kilogramy lecą jak złoto.

Pokiwałyśmy głowami ze zrozumieniem. Z przerażeniem przypominałam sobie moją dietę „Lars mnie opuścił”, mój wielodniowy detoks na nutę „Czy Lars naprawdę przespał się z tą flądą” czy też mój całkowity post, którego motto brzmiało „Tak, Lars naprawdę przespał się z tą flądą”. Właściwie najszczuplejsza jestem zawsze wtedy, kiedy najgorzej mi się wiedzie. A najlepiej jest u mnie wtedy, kiedy mam lekką nadwagę. Pomijając depresyjne nastroje, które mnie wówczas dręczą z powodu zbędnych kilogramów.

Cora stwierdziła, że drugą w kolejności najlepszą receptą na schudnięcie jest na nowo się zakochać.

- Co sprowadza nas z powrotem do zasadniczego tematu: Kiedy masz się znowu zobaczyć z tym twoim Robinem?

- Jutro po południu. Ma po mnie przyplłynąć do Portals Nous i zabrać do jakiejś odludnej zatoczki na północy wyspy.

Cora z Sonią głośno zachichotały, a Sonia nawet zagwizdała na palcach jak robociarz na widok ładnej blondynki przechodzącej obok. Sama bardzo długo próbowałam się tego nauczyć, ale

w końcu się poddałam, bo tylko strasznie się przy tej okazji opluwałam. Zazdrościłam Soni tej umiejętności, bo jakoś tak uważam to za cool. Wprawdzie, było nie było, umiem ruszać uszami, ale to oczywiście nie to samo.

Cora zaproponowała, żeby się stuknąć kieliszkami za mój udany stosunek, i była równie zdziwiona co ja, kiedy usłyszałam swoją odpowiedź:

- Może lepiej nie. Przecież sama mnie niedawno zapytałaś, czy jeszcze kocham mojego faceta. Moja odpowiedź brzmi jednoznacznie: tak! Nie chciałabym wracać do domu z nieczystym sumieniem. Wydaje mi się, że nawet jeśli się nie prześpię z Robinem, to i tak dostatecznie dużo mi się przydarzyło przez ostatnie dni. Masz absolutną rację, Cora, nie wolno ryzykować związku tylko dlatego, że przez chwilę zrobiło się w nim jakby trochę nudnawo.

Pod dużym wrażeniem odchyliłam się na oparcie krzesła. Tak, nie ma co, dobrze to zabrzmiało. Zupełnie jak nie ja. Oczywiście nie dodałam przy tej okazji, jakie wrażenie zrobił na mnie fakt, że taka fantastyczna laska jak Sonia zakochała się w moim facecie. Nic nie zwiększa atrakcyjności faceta bardziej niż atrakcyjna kobieta, która do niego wzdycha. Ujrzałam mojego Benniego w całym nowym świetle. Pewnie, że doskonale zdawałam sobie sprawę, jak prymitywna jest moja reakcja: ledwie poczułam strach, że mogę stracić to, co jeszcze przez chwilę uważałam za powszednie i nudne, a już z całej siły się tego uczepliłam. Jak wtedy, kiedy Benni zaproponował, żebyśmy może wyrzucili na śmietnik mój fotel od Laury Ashley. Do tamtej chwili bez przerwy narzekałam na ten mebel, że obicie wytłuszczone, a poduszki poprzecierane. Ale kiedy tylko poczułam, że mogę ten fotel stracić, zaczęłam prawie

na okrągło w nim przesiadywać i nawet zastanawiałam się, czy nie oddać go do tapicera, żeby go na nowo obić. Podobnie było teraz z Benem. Nie mogłam się doczekać, kiedy wreszcie znajdę się z powrotem w domu, żeby mu o wszystkim opowiedzieć, zakazać wszelkich kontaktów z Sonią i być dla niego strasznie miła, żeby do głowy mu nie przyszło, że z jakąkolwiek inną kobitką będzie mu lepiej niż ze mną.

- Ach, jakie to romantyczne - westchnęła Cora.

Sonia uniosła kieliszek.

- Wypijmy za to. Za szczęśliwego faceta Anabelli oraz, jeśli pozwolicie, za super-Benniego, którego wczoraj po raz pierwszy pocałowałam.

- Co?! - wykrzyknęła Cora, nie posiadając się ze zdumienia.

- Nie!! - wykrzyknęłam przerażona.

Myślałam, że spadnę z krzesła. To nie do wiary! Ja tu postanawiam wspaniałomyślnie zrezygnować z przespania się z o wiele młodszym facetem, w dodatku właścicielem jachtu, i uznać kryzys w moim związku za zakończony, a tymczasem czego się dowiaduję? Oto mój Benni obściskuje się pod moją nieobecność z byle kim! I to akurat wtedy, kiedy opuszczam go na chwilę, żeby w ciszy i spokoju przemyśleć nasz związek. Co za niewiarygodna bezczelność! Poczulałam jednocześnie panikę, strach i żądę mordu.

- No i? Jak do tego doszło? On też cię pocałował?

Mile połączona taką intensywnością szczerego zainteresowania Sonia odchyliła się na krześle.

- Wczoraj spotkałam Bena całkiem przypadkiem w restauracji Bereuther. Natknęłam się na niego, kiedy właśnie zamierzał wychodzić. Nie muszę mówić, że była to idealnie dogodna oka-

zja. Dotychczas widywałam go przecież zawsze tylko w redakcji i raz widziałam się z nim na kawie w naszym bufecie. Ben był wtedy wprawdzie strasznie miły, ale dość powściągliwy i mało mówny. I to mi się właśnie w nim podoba. Ze nie jest z tych, co to bez pytania zaczynają opowiadać o problemach, jakie mają ze swoją partnerką, a potem pytają, czy jestem już z kimś umówiona na śniadanie.

Drżącym głosem spróbowałam ją trochę podpytać.

- To on ma problemy ze swoją partnerką?

- Do wczoraj o tym nie rozmawialiśmy. Nie wiem nawet, co ona robi, jak się nazywa i jak wygląda. Nigdy go zresztą o to nie pytałam. Ale wczoraj obydwójce byliśmy trochę podochoceni i Ben wydał mi się jakiś zmartwiony. No to go o to zaczęłam. Cóż, za dużo mi nie powiedział. Poza tym, że parę dni temu ona ni stąd, ni zowąd wyjechała na urlop, a on nie do końca wie, o co jej właściwie chodzi. Powiedział, że ona uwielbia stwarzać problemy i bardzo często je wyolbrzymia. No i wtedy, mówię wam, bomba. Ben ni mniej, ni więcej tylko mi oświadcza, że kiedyś jej o mnie wspomniał, tak mimochodem. A wtedy jego stara od razu zwąchała, w czym rzecz, i zaczęła się na niego wściekać, że jak on może być taki głupi i nie skapować, że to oznacza, że taki ktoś ma na niego ochotę.

- No to znaczy, że taka całkiem głupia to ona nie jest.

Rzuciłam Corze pełne wdzięczności spojrzenie.

- Zresztą przecież od pół roku zarzucaś go wszelkimi możliwymi próbkami kosmetyków, jako kobieta sama nabrałabym podejrzeń, gdyby mój facet nagle zaczął potrzebować na swoje kosmetyki więcej miejsca w łazience niż ja. O ile się nie mylę,

całkiem niedawno dostał od ciebie zestaw prezentowy tej nowej męskiej linii Clarinsa, prawda? Najpóźniej w tym momencie musiała się zorientować, co się święci.

- To Clarins robi teraz także męskie kosmetyki?

Chwilowo odwróciło to moją uwagę. Bo ani nie miałam o tym pojęcia, ani też nigdy nie widziałam czegoś takiego w naszej łazience. Czyżby Ben, perfidny strateg, ukrył przede mną te cenne nabytki, żeby zmylić moją czujność?

Sonia kontynuowała wyśmiewanie się z przyjaciółki Bena.

- A potem Ben jeszcze powiedział, że najlepiej będzie, jak wcale jej nie opowie o tym naszym przypadkowym spotkaniu, bo i tak tylko się znowu bez powodu będzie denerwować. Oczywiście wymarzony moment dla mnie, żeby przystąpić do ataku.

Zmartwiałam.

- Mianowicie?

- Pomyślałam sobie, że trzeba mu teraz wyłożyć kawę na ławę, żeby wiedział, co jest grane. Przynurłam się bardzo blisko niego i powiedziałam: „A ty też uważasz, że twoja przyjaciółka nie ma powodu się denerwować?”.

Cora była zachwycona.

- Nie mów, naprawdę tak mu powiedziałaś? To takie trywialne, że aż świetne!

- A Ben? Co on na to? - wychrypiłam błada jak ściana.

- Nic. Był kompletnie zaskoczony. No to całkiem zwyczajnie pocałowałam go w usta i wyszłam.

Zamilkłyśmy z Corą przejęte. Niestety, muszę przyznać, że Sonia pograła tu z klasą. Benowi jak najbardziej mogło się to spodobać. Swego czasu ja też musiałam go trochę zmusić do

szczęścia. On nie jest po prostu z tych facetów, co to nie potrafią wytrzymać bez kobiety dłużej niż trzy godziny i dlatego są łatwi do złowienia po minimalnym okresie abstynencji. Wprost przeciwnie. Kiedy go spotkałem, Ben od półtora roku był singlem. Nawet mu się podobało. „To dobrze robi na nerwy. Człowiek ma znacznie więcej czasu, może się wyspać i żadna wariatka nie budzi go o trzeciej nad ranem, bo koniecznie musi z nim porozmawiać o jakimś problemie, który jej się właśnie przypomniał”.

Tytułem wyjaśnienia trzeba tu dodać, że ostatnia przyjaciółka Bena, Anja, była zaawansowaną hipochondryczką. Pogotowie było u nich częstym gościem. Zwłaszcza kiedy Anja sprawiła sobie glukometr, który stale nosiła przy sobie, żeby najdrobniejsze odchylenie między 120 a 70 przeżywać jako niechybną oznakę rychłego zejścia. Pewnego razu obudziła Bena w środku nocy - a jego bardzo trudno dobudzić, kiedy już zaśnie - wołając: „Beeniiii, obudź się, stało się coś strasznego! Mam stwardnienie rozsianej

 Jak wspomniałam, Benedykt Cramer nie należy do facetów, których łatwo wyprowadzić z równowagi. Niemniej jednak, kiedy jeszcze w miarę grzecznie spytał o objawy, jego grzeczność mocno stopniała, gdy się okazało, że tylko zdrętwiała jej ręka, którą sobie przygniotła przez sen.

Ben miał już najróżniejsze przejścia z kobietami. Pewnie wiąże się to po części z tym, że on sam jest raczej łatwy w obsłudze. A to pozostawia większą przestrzeń dla złożoności drugiej strony. Ja tam jestem mu za to wdzięczna. Nie wyobrażam sobie bycia z facetem, który wniósłby do naszego związku podobnie wiele ciekawych problemów. Bardzo szybko zaczęłabym żywić obawy, że nie będzie dosyć miejsca na moje zmartwienia - a wiadomo, czym

to się kończy. Kiedy się jakiegoś zmartwienia regularnie nie dogląda i nie omawia, ono stopniowo się kurczy, aż pewnego pięknego dnia całkowicie przestaje istnieć. Pełzający zanik zmartwień - bardzo groźne zjawisko dla każdego związku.

Poza tym nie bardzo pasuje to do mężczyzny, kiedy ma za dużo problemów. Dokładnie tak samo jak nie pasuje chodzenie na solarium, humory, doksztalcanie się na kursach zainteresowań albo denerwowanie się, że kobiety są, jakie są.

Uważam, że pod tym względem mój Benni jest bardzo męski. Byłabym śmiertelnie przerażona, gdyby mnie zbudził w nocy, domagając się słów pocieszenia, bo jego ulubiona drużyna odpadła z rozgrywek. Bardzo by mi się też nie podobało, gdyby poprosił mnie o potrzymanie za rękę u dentysty. A już na pewno nasz związek zakończyłby się natychmiast, gdyby zażądał ode mnie wyjścia z samochodu i pokazywania, jak ma zaparkować.

Oczywiście oczekuję od niego, że będzie się starał rozumieć moje problemy. Ale zbyt duża wrażliwość też nie bardzo by mi odpowiadała. Od pewnych spraw ma się po prostu najlepsze przyjaciółki. Facet wdający się w wielogodzinne dyskusje na temat lotionów wyszczuplających budziłyby we mnie co najmniej niepokój. To jeden z tych miesiączkujących typów, co to dla wszystkiego mają zrozumienie, co to zawsze znajdują czas, żeby pogadać z tobą o fryzurze, przedniej ścianie twojego brzucha czy o szefie - i to nawet wtedy, kiedy w telewizji leci akurat mecz. Nie, nie - problemy to jednak przede wszystkim sprawa kobieca.

Już słyszę te zarzuty, że mierzę podwójną miarą. Ale po pierwsze to prawda, a po drugie wcale nie uważam tego za zarzut. Moim zdaniem mierzenie podwójną miarą jest zupełnie normalne

i właściwe. Do czego by doszło, gdybyśmy do wszystkiego przykładali jedną i tę samą miarę? Chociaż Ben też się czasem dziwi, czemu denerwują mnie u niego rzeczy, które u siebie uważam za oczywiste i zrozumiałe same przez się. Głupie pytanie. Oczywiście dlatego, że jesteśmy zupełnie różnymi ludźmi, u których to samo znaczy zupełnie co innego. To chyba jasne jak słońce? Kiedy Ben do trzeciej nad ranem siedzi w jakimś barze z Nikosem, to uważam, że nie jest to specjalnie zabawne. Kiedy jednak następnego dnia mi mówi, że Nikos ulotnił się już o pierwszej, to robi się dla mnie całkiem mało zabawne. A jak się jeszcze potem okazuje, że ostatnie dwie godziny Ben spędził tam z Barbarą, znajomą Nikosą, i twierdzi, że było „całkiem zabawnie”, to dla mnie kończy się zabawa.

W takich sytuacjach Ben zawsze zaczyna się czepiać drobiazgów.

- W sobotę ciebie nie było do trzeciej nad ranem, bo wyszłaś sobie ze Steffi. I jakoś nic ci nie powiedziałem.

- To zupełnie co innego.

- A ten facet, którego wtedy spotkałyście i który twoim zdaniem był taki miły?

- A bo to jeden facet mi się podoba? W moim wypadku jest to pozbawione znaczenia. Jestem po prostu osobą bardziej otwartą i bardziej przyjaźnie nastawioną do ludzi od ciebie. Ale kiedy ty uważasz jakąś kobietę za miłą, to zaczyna być już podejrzane. Za zwyczaj o żadnej kobiecie nie mówisz, że jest miła.

- Oczywiście, że mówię. O tobie.

- No proszę. Czyli uważasz, że ta Barbara wcale nie jest gorsza ode mnie. I ja mam się tym nie denerwować, tak?

- A na czym polega różnica między tym, że ty wracasz o trzeciej nad ranem, a tym, że ja wracam o tej porze? Bardzo proszę o wyjaśnienie.

Muszę powiedzieć, że czasem ten mój facet naprawdę nie kapuje najprostszych rzeczy.

- Ty to ty, a ja to ja. To, że ty się nie denerwujesz, kiedy ja wracam późno do domu, wcale nie musi oznaczać, że ja nie mam prawa się denerwować, kiedy ty wracasz późno do domu.

W tym punkcie dyskusji Ben zawsze wychodzi z pokoju. I to nawet lepiej, bo ja przeważnie jestem już wtedy na najlepszej drodze, żeby się dodatkowo wściekać, że on się nie wścieka. Jak ktoś może uważać za coś całkiem normalnego, że ja wracam do domu nad ranem i opowiadam o jakimś zabawnym i miłym facecie, którego przy okazji spotkałam? Dlaczego on nigdy nie jest zazdrosny? Ben by na to odpowiedział, że to dlatego, że ma do mnie zaufanie. Ale to już jest bezczelność. W rzeczywistości po prostu za bardzo jest mnie pewny i nawet mu do głowy nie przyjdzie, że mogłabym go zdradzić. Taka jest prawda!

Teraz wszystko się definitywnie zmieni. W końcu przecież to nie ja pozwalam się publicznie obcałowywać w Bereutherze. I to w dodatku kobiecie, która wygląda o wiele lepiej ode mnie. Co sobie ludzie pomyślą? Nie ze mną te numery. Oko za oko? Ząb za ząb? Akurat! U mnie za ząb jest całe uzębienie!

Postanowiłam przystąpić do generalnego kontrataku, czyli planowego doprowadzenia do stosunku płciowego.

Z moich gorzkich rozmyślań wyrwała mnie Cora, pytając Sonię, jak ona sobie wyobraża rozwój sytuacji z tym jej super-Bennim.

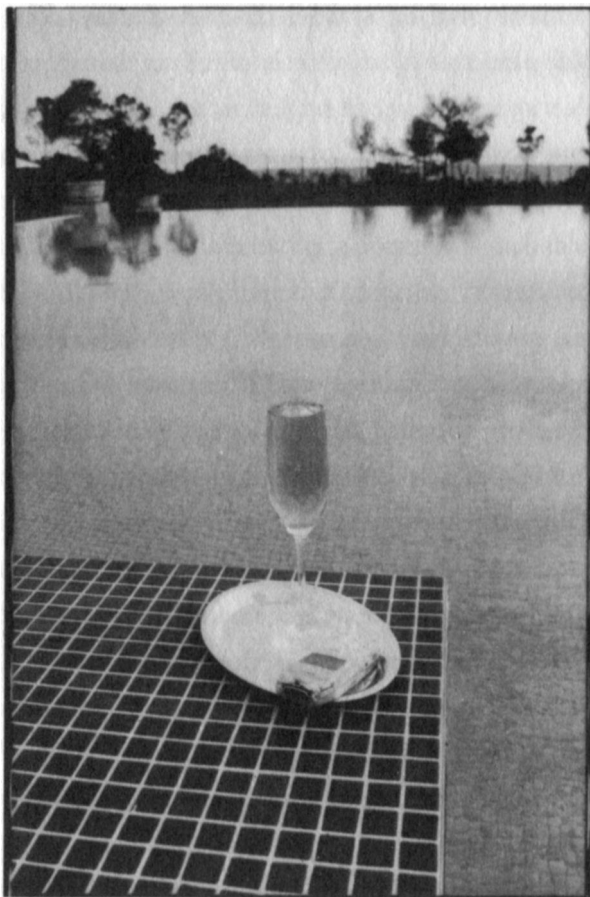
- Czekasz teraz, aż się do ciebie odezwie, czy jak?
- Mój numer w każdym razie ma. Poczekam jeszcze jeden dzień. Ale wydaje mi się, że on jest raczej z tych, których trzeba trochę zmusić do szczęścia. Jutro rano wyślę mu SMS-a, żebyśmy się może spotkali w niedzielę wieczór u mnie. Wyraźniej już się chyba nie da. A potem będę czekała na odpowiedź. Od niej wszystko zależy.

Sonia wskazała na komórkę leżącą na stole. Przygnębiona spoglądałam na aparat. Nigdy się nie dowiem, co mój Ben odpowiedział na tę niemoralną propozycję. Czy spędzi z nią świętą niedzielę, naszą niedzielę, nasz ulubiony wieczór tygodnia? Widziałam przed sobą perspektywę trzech przerażających, zatrutych wątpliwościami, strachem i zazdrością dni. Mój samolot ląduje w niedzielę o szóstej po południu. O siódmej otworzę drzwi mieszkania. Co tam zastanę?

Może karteczkę? „Bardzo mi przykro, Bello, ale miałem wezwanie do dużego klienta. Mogę wrócić późno”. Albo: „Masz teraz za to swoje narzucanie się z kryzysami i obrażone wynoszenie się z domu. Na dziś wieczór zostałem zaproszony, a od jutra przenoszę się chwilowo do Nikosa”. Albo: „Kochana Bello, poznałem inną kobietę. Możesz zatrzymać mieszkanie i meble. Nie mam nic więcej do dodania. Przykro mi. Benedykt”.

Tak, pewnie w takim właśnie tonie Benedykt wycofałby się z mojego życia. Uprzejmie. Ale bardzo wprost. Nie byłoby owijania w bawełnę. Powiedziałyby mi prawdę i odszedł. I co wtedy?

Wtedy ja zostałamby sobie z moją zakichaną żądzą przygód, z moją idiotyczną tęsknotą za zmianami. Najważniejsze, żeby Anabellą Leonhard miała poczucie, że coś się dzieje w jej życiu.



No super, właśnie osiągnęłaś swój ceł. Teraz nareszcie naprawdę coś się dzieje w twoim życiu. Ciesz się. Już niedługo będziesz sobie mogła poszukać nowego partnera. Na nowo się zakochać. Znowu czuć bicie serca, kiedy on dzwoni, znowu płakać, kiedy nie zadzwoni. Piękna, stara, a wciąż nowa gra. Powodzenia, Anabelo, znowu wszystko przed tobą. Znowu jesteś panią swojego losu. Jesteś wolna. Ach, nie tego chciałaś? Chciałaś tylko udawać, że je-

steś wolna? Chciałaś sobie tylko zrobić krótką wycieczkę w świat singli, spróbować przez chwilę być pożądaną, samej pożądać? Ale nie tak naprawdę. To nie miało być na poważnie. Grać, ale niczym nie ryzykować. Przegrałaś. Sama jesteś sobie winna.

Z rozpaczy, której oczywiście nie mogłam dać po sobie poznać, wyrwała mnie komórka Soni. Rozdzwoniła się głośnym sygnałem, który informował wszystkich, że właścicielowi tego telefonu zupełnie nie zależy, żeby nie przeszkadzać innym. „Co za bezwzględna cipa!”, pomyślałam z goryczą. Byłam naprawdę w podłym nastroju. Telefon nie przestawał dzwonić. Dopiero teraz się zorientowałam, że gdy oddawałam się ponurym rozmyśleniom, Sonia wyszła do toalety. Ludzie wokół zaczęli nam już rzucać gniewne spojrzenia, jeden z kelnerów ruszył w naszą stronę.

- No nie, to nie do wytrzymania! - Cora sięgnęła gniewnie po komórkę Soni i rzuciła opryskliwie:

- Słucham! Nie, Sonia nie może podejść w tej chwili do telefonu!

Gapiłam się na Corę. Czyżby po drugiej stronie był Ben? Wstrzymałam oddech.

- Nie, jest na spotkaniu. Tak, będziemy pracować do późna. Coś przekazać?

Byłam bliska omdlenia.

- Jasne, powtórzę. Ma twój numer, tak? To do której ewentualnie może... ach, dowolnie? Jasne. Będziemy tu do niedzieli. OK, dla ciebie też, to na razie.

Z uśmiechkiem, za który najchętniej udusiłabym ją od razu tu, na miejscu, Cora odłożyła komórkę.

- No to się Sonia ucieszy.
- Czy to był...? - pytam ledwie słyszalnie i nie mając odwagi dokończyć ani tego zdania, ani tej myśli.
- Zgadnij, co powiedział, jak usłyszał, że zostajemy aż do niedzieli.

Wciąż nie odważyłam się odetchnąć.

- No co takiego?

Cora zaczęła chichotać niepowstrzymanie.

- No nie, aż się nie chce wierzyć!

- To znaczy, że to nie był...?

- To ten Deespejot. Koniecznie chciał wiedzieć, kiedy jego czarująca koleżanka znowu pojawi się w pracy.

Na razie poszłam do toalety, gdzie zużyłam rolkę papieru, żeby się wysuszyć po tym, jak spociłam się ze strachu. W kabinie, której jak to mam w zwyczaju, nie zamknęłam od środka, zaskoczyła mnie jakaś starsza pani. To musiał być wspaniały widok: kompletnie wykończona kobitka w sukience bez rękawów i z trójwarstwowym papierem toaletowym pod pachami. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego przeciętna letnia sukienka nigdy nie ma rękawów. Zupełnie jakby przeciętne damskie ręce były w górnych partiach zawsze perfekcyjne. Przy czym co do mnie, to jak mi się wydaje, dzięki gimnastyce z hantelkami do kasety Cindy Crawford akurat w tych rejonach udało mi się nieco zwiększyć napięcie tricepsu. Prześladowuje mnie bowiem myśl, że za piętnaście lat mogłabym tam mieć jakieś meduzy, galaretowate, obwisłe płaty skóry wylewające się z byle wycięcia. Powoli siadam na opuszczonej kłapie sedesu, swojska, ulubiona pozycja, i stopą przytrzymuję drzwi. Potrzebuję chwili wytchnienia.

A więc Cora i Sonia zostają na wyspie do niedzieli. Muszę coś zrobić, żeby spędzać z nimi jak najwięcej czasu. Z rywalkami jest jak z obrzydliwymi karaluchami na suficie sypialni: dopóki masz je w zasięgu wzroku, możesz jeszcze coś zrobić, na przykład rozklepać na płasko zwiniętą w rulon gazetą z programem albo pójść spać na kanapę do dużego pokoju. Problem zaczyna się dopiero wówczas, kiedy tracisz takiego karalucha z oczu. Wtedy może się okazać, że wróg siedzi ci już właśnie na czole i jesteś bezbronna. Muszę coś zrobić, żeby możliwie przez cały czas mieć je na oku. Koniecznie muszę wiedzieć, czy Ben się odezwie do Soni i jak zareaguje na jej SMS-a.

W tym celu Sonia musi jak najszybciej zostać moją najlepszą przyjaciółką.

- Macie już jakieś plany na sobotę? Moja ciotka Gesa organizuje dla mnie przyjęcie pożegnalne. Byłoby super, gdybyście mogły przyjść.

- Party? No pewnie, że przyjdziemy! Chociaż zaraz. Sonia, czy to nie wtedy będzie ta okropna impreza perfumierska w Palmie?

- Nie, na szczęście to już jutro. Tylko żeby nie było tak, że pójdę sama. W sobotę możemy. A co z tym Robinem? On też będzie na sobotnim party? Chętnie bym go zobaczyła.

- No pewnie, jego też zapraszam. - Powiedziałam to ot tak, bez zastanowienia, ale kto wie, jak do tego czasu rozwinie się związek „Stelli” i Robina?

- Słuchaj, Sonia, a może byś tak poszła na tę jutrzejszą perfumeryjną imprezę z Anabellą? Ja nienawidzę takich eventów, czuję się wtedy zawsze kompletnie nie na miejscu. Poza

tym wolałabym odwiedzić w tym czasie mojego nauczyciela ze szkoły, który mieszka w Santanyi. Potem spotkałybyśmy się gdzieś koło północy.

Tylko przez moment zastanawiałam się, jak bardzo będę się czuła nie na miejscu na takiej imprezie. Czego się jednak nie robi dla sprawy. Właściwie byłam jutro umówiona z Robinem, ale oto nieoczekiwanie pojawiła się okazja spędzenia kolejnego wieczoru z Sonią i jej komórką. To miało absolutne pierwszeństwo przed wszystkim innym. Dzięki temu nadzór czwartkowy będzie idealny. Robin wspominał, że w piątek wieczorem Lady Harmony zostanie wypożyczona na jakieś przyjęcie przedślubne. On będzie tam za sternika. Jasne, takiego jachtu nie wypuszcza się ot tak po prostu z ręki. Zaproponował, żebym z nim płynęła, a ja tylko wyszłam z założenia, że nie będzie miał nic przeciwko temu, jeśli pojawię się z dwiema nowymi przyjaciółkami. Cora i Sonia były moim pomysłem zachwycone. W ten sposób udało mi się niemal perfekcyjnie zorganizować całodobowy nadzór Soni aż do dnia mojego wyjazdu. Zanim jednak zdążyłam sobie pogratulować tego mistrzowskiego taktycznego posunięcia, uświadomiłam sobie, że przecież nie pójdę z Sonią w przepoconej plażowej sukieneczynie. To znaczy zdawałam sobie oczywiście doskonale sprawę, że obojętnie co na siebie włożę, i tak nigdy specjalnie dobrze przy Soni wyglądać nie będę, ale jednak nie trzeba się z tym aż tak przesadnie afiszować.

- W takim razie wybierzmy się rano na wspólne zakupy! - wykrzyknęła Sonia zachwycona, a ja od razu zobaczyłam oczami wyobraźni, jak spełnia się mój największy koszmar. Zobaczyłam najgorsze obrazy. Naprawdę nie jestem gruba, ale myśl o tym, że

mam się w jednej kabinie z Sonią wciskać w jakieś ubrania, które ona brałaby pod uwagę co najwyżej w ostatnim trymestrze ciąży - o nie, co to, to nie!

Aż za dobrze potrafiłam sobie wyobrazić ten horror. Idę z nią na zakupy, wciskam się na siłę w odlotowe biodrówki szczęśliwa, że udało mi się wpasować w lekko rozwojową trzydziestkę ósemkę, niezbyt komfortowo wprawdzie - o tym, żeby usiąść czy przytyć dwadzieścia deko, nie może być nawet mowy - ale jednak, doskonały nabytek na stojące party, gdzie nie ma nic do jedzenia. A więc czysty zysk. Obracam się przed lustrem i w tym momencie z kabiny wychodzi moja piękna towarzyszka Sonia. Ma na sobie takie same spodnie. Tyle że trzydzieści sześć. I najpóźniej w momencie, kiedy moja przyjaciółka powie: „Coś mi się wydaje, że są za luźne na udach”, ja udaję się na poszukiwanie innych spodni i przyjaciółki noszącej mój rozmiar.

- Jak chcesz, mogę ci wypożyczyć coś mojego. Masz pecha, bo nawet moje biustonosze powinny być na ciebie dobre.

Patrzę na Corę ze wzruszeniem.

- Dzięki - mówię z całego serca. - Ty też nosisz 80A?

- Niestety siostrzyczko, musimy się trzymać razem.

- To wy nosicie biustonosze? No to powinnyście się cieszyć. Myślicie, że schudłam tylko w tyłku? Nic z tych rzeczy, najpierw musiałam się pożegnać z biustem. Nie żebym przedtem była specjalnie obficie wyposażona. Ale teraz? Już się nawet zastanawiałam, czy nie powinnam kupić kostiumu z żelowymi wkładkami.

- A jest coś takiego? - spytałam zafascynowana możliwością pływania z biustem.

- No pewnie. Jedna moja przyjaciółka była w czymś takim na basenie. Pod dwóch nawrotach kraulem okazało się, że piersi płyną obok niej.

- A wiecie, czytałam niedawno coś bardzo upokarzającego w „Gali”. W jakimś telewizyjnym talk-show Angelina Jolie spytała prowadzącego, czy wie, co w Los Angeles uprawnia kobiety do parkowania w miejscach dla niepełnosprawnych.

- No?

- Miseczki w rozmiarze A.

Było już po drugiej, kiedy kelnerzy przestali się starać, żeby nie było po nich widać zmęczenia. Kiedy jeden z nich kilkakrotnie ziewnął, nie zasłaniając nawet ust, przyszedł czas, żeby się pożegnać. Komórka Soni wydawała z siebie kilkakrotnie burczące popierdywanie na znak, że właśnie przyszedł SMS. Za każdym razem serce zatrzymywało mi się na chwilę, ale był to tylko Deespejot, który w półgodzinnych odstępach wysyłał wiadomości, zupełnie nie zwracając uwagi na taki drobiazg, że na żadną nie otrzymał odpowiedzi.

- Szkoda, że zawsze musimy szaleć na punkcie tych, którzy nie chcą się zgłosić - westchnęła płacząco Sonia.

Pożegnałam się z nią radosnym:

- To naraziczek.

Wieczór następnego dnia bez cienia przesady można nazwać najbardziej nieudanym wieczorem mego życia. Mój urlop na Majorce osiągnął dno. Siedzę w pewnie co najmniej dziewięćdzie-

sięciopięciometrowej limuzynie w matowoniebieskiej sukience, która niezbyt dobrze leży, z rozmazanym tuszem do rzęs, z oczami czerwonymi jak u królika albinosa i pod względem emocjonalnym kompletnie rozbita. Dobrze, że chociaż w minibarze są butelki whisky. Właśnie wypijam drugą. Bez wody sodowej, za to ze słonymi łożami, które w krótkich odstępach czasu ciurkają do szklanki. Jestem niepocieszona. Podsumowując krótko całą sytuację: Sonia właśnie zamierza zdradzić mojego Bena!!!

A przecież dzień zaczął się dość obiecująco. Większą część czasu spędziłam z ciotką na basenie, rozmawiając o jakimś grubym Hermannie z Dusseldorfu, który właśnie się do niej zaleca.

- A ty go kochasz?

- Prawdę mówiąc, podoba mi się, i to nawet bardzo. To znacznie więcej, niż mogłam powiedzieć o moich dotychczasowych małżonkach.

- To co cię powstrzymuje? Czemu w końcu nie dasz mu szansy?

- Jest żonaty.

- Ojej, nawet nie wiedziałam, że jesteś aż tak moralna.

Całkiem miło mnie to zaskoczyło. Moja mordująca kolejnych mężczyzn ciotka ma zahamowania przed wdaniem się w romans z żonatym?

- Oczywiście, że nie jestem, skarbie. Czyżbyś próbowała mnie obrazić? Uwielbiam sypiać z żonatymi facetami. Oni nie stawiają żadnych żądań i całkowicie skupiają się na istocie sprawy, czyli na seksie. Nudzą mnie te wszystkie podchody w blasku świateł. To przecież zwykła strata czasu.

- To co jest takiego specjalnego w tym Hermannie?

- Z czymś takim rzadko miałam do czynienia. Jakoś zupełnie mi nie przeszkadza, że wieczorem z nim zasypiam, a rano się obok niego budzę. Jak ci zapewne wiadomo, w moich wszystkich czterech małżeństwach stawiałam warunek, że sypialnie będą osobne. Moja dewiza brzmiała zawsze: nie ma nic bardziej szkodliwego dla erotyzmu, niż leżeć obok faceta, który mlaszcze przez sen. Mój pierwszy chrapał jak cały transport wieprzy, to było okropne. Ale to i tak betka przy Hermannie. Ledwie zgaszę światło, a on już wydaje odgłosy jak stado oszalałych dzików. Teraz już sypia z takim okropnie szpecącym plastrem na nosie, co ma zapobiegać chrapaniu. I co? Dla mnie jest przez to jeszcze bardziej podniecający.

- Coś mi się zdaje, że naprawdę się zakochałaś.

- Pewnie masz rację, dziecko. Ale chociaż spotykamy się już od pół roku, biedaczek nie może się jakoś zdecydować na rozwód. Ma skrupuły ze względu na żonę.

- Jak to? Czy ona jest stara i chora?

- Nie. Właśnie skończyła dwadzieścia cztery lata i jest przepiękna. Hermann obawia się, że ona może tego nie przeżyć emocjonalnie, kiedy ją zostawi dla takiego szpetnego kaszalota jak ja. On zresztą też będzie na tym przyjęciu w sobotę. Mam nadzieję, że nie będzie ci przeszkadzało, że twoja leciwa ciotka będzie się zachowywała jak zakochana pensjonarka. On przyjeżdża do mnie na dwa tygodnie. Na ten czas wyprawia żonę na jakąś wycieczkę. Mówi, że pewnie problem sam się przez to rozwiąże.

- Ojej, brzmi zupełnie tak, jakby kazał ją cichcem zamordować!

- No właśnie! Powiedz sama, czyż to nie jest cudownie romantyczne? - Moja ciotka Gesa zachichotała pod swoim przeciw-

słonecznym kapeluszem wielkości pokrywy ulicznego wjazdu do kanału. - Wypijmy, moja mała Bello. Za miłość i za wszystko, co my, głupi ludzie, czasem za miłość uważamy!

U mówiłam się z Sonią na ósmą przed barem Abacco w Palma di Mallorca, gdzie miało się odbyć to party. Przestraszyłam się, jeszcze zanim tam weszłam. Po pierwsze dlatego, że przed wejściem tłum fotografów kłębił się po obu stronach czerwonego dywanu. Po drugie dlatego, że zobaczyłam Sonię. Patrząc na nią, zaczęłam się zastanawiać, czy nie wzięła mnie ze sobą przypadkiem po to, żeby tym bardziej błyszczeć. Byłam jej sierotką z Kambodży. Zamierzała odgrywać tę dobrą i wielkoduszną. A przecież tak naprawdę była na najlepszej drodze, by odebrać faceta niczego niepodjęwającej, nieposzlakowanej kobiecie o wielkim sercu. Szantrapa jedna!

Wściekła ruszyłam w jej stronę, ale Sonia zupełnie nie zauważyła mojego gniewnego nastroju i serdecznie ucałowała przestrzeń powietrzną po obu stronach moich policzków.

- No, Anabello, a teraz się zabawimy. Lancaster prezentuje dzisiejszego wieczoru nowy zapach. Perfumy mają nazwę Kashba i cuchną jak pierd wielbłąda, ale party będzie na pewno zabójcze. Aha, przy okazji, czy mogłabym wrzucić komórkę do twojej torebki? Nie chciałam brać swojej. Człowiek tak topornie wtedy wygląda.

Proszę, proszę: topornie? Z goryczą chowam jej komórkę do torebki. Ja czuję się nieswojo, nie mając przy sobie minimum

swojskich przedmiotów. Jednocześniej oczywiście zatriumfowałam w duchu. Oto weszłam w posiadanie najważniejszego dowodu w całej sprawie. Możliwie znudzona spoglądałam na czerwony dywan.

- Słuchaj, a wysłałaś już SMS-a do tego swojego super-Ben-niego?

Starałam się nadać głosowi takie brzmienie, jakbym pytała z czystej uprzejmości.

- No pewnie, właśnie przed chwilą. Chcesz przeczytać? I tak przecież przez cały wieczór będę cię wkurzać pytaniami, czy już przyszła odpowiedź.

Sonia wyjęła komórkę z mojej torebki i pokazała mi tekst wiadomości:

- „Ochłonałeś już po tym pocałunku? Zawiadamiam, że umiem też gotować! Wpadniesz do mnie w niedzielę wieczorem na kolację? Czekam na wiadomosc: SONIA!!!”.

- Ale cool! Spoko tekścik mu puściłaś.

- Sama nie wiem. Myślisz, że skapuje, że to całkiem serio?

- Myślę, że nie musisz się o to martwić. Tyle to bankowo skapuje nawet taki ktoś jak on.

- No też mi się tak zdaje. Dobra, a teraz już wejdźmy. Tylko mi obiecaj, że natychmiast mi powiesz, jak zapierdzi ci w torebce, dobra?

Sonia pociągnęła mnie za sobą w tłum. Na początek nadepnięłam na nogę jakiemuś starszemu panu, który spojrział na mnie z taką nienawiścią, że rozpoznałam go dopiero wówczas, gdy mnie minął: Michael Douglas! Jakkolwiek bliska omdlenia, zdołałam jednak rzucić fachowym spojrzeniem na jego żonę Catherine i wynikało z tego jedno: ta kobieta ma dupencję jak dobrze odżywio-

na klaczka i jest co najmniej pięć lat starsza, niż podaje w kolorowych magazynach. Z miejsca poprawiło mi to nastrój.

- Hej, Sonia, to był Michael Douglas z żoną!

- Ty widziałaś, jakie ona ma tłuste dupsko?!

Oczywiście gwałtownie pokręciłam przecząco głową. Po prostu nie znoszę, kiedy kobietę sprowadza się do części ciała, z którą ma jakiś problem. A już wybitnie mi nie odpowiada, kiedy robią to kobiety niemające problemów z żadną częścią swego ciała. Ja mogę sobie pozwolić na żarty z nadmiarowych pośladków. Tylko upośledzonym wolno stroić sobie żarty z upośledzonych.

Abacco było przystrojone gigantycznymi koszami owoców i tyśnięciami róż. Wspaniałe miejsce, żeby się zakochać albo być zakochanym. W powietrzu unosił się zapach grzechu i pożądania, Orientu i przypraw, którymi w hinduskiej restauracji dosmacza się dodatki z soczewicy. Pomyślałam o Benie, pomyślałam o Robinie - i chwilowo wybrałam koktajl cuba libre, który miał akurat na tacy mijający mnie właśnie kelner. Chciałam możliwie szybko wlać w siebie możliwie dużo alkoholu. Może dzięki temu poczuję się tu trochę mniej nie na miejscu.

Straciłam Sonię z oczu i następną godzinę spędziłam na degustowaniu drinków, wygrzebywaniu co dziesięć minut komórki Soni i gapieniu się z otwartymi ustami na facetów tak przystojnych, że aż przestawało to być przyjemne.

Jakaś starsza pani musiała widocznie zauważyć moje pełne podziwu spojrzenia.

- Wszyscy bez wyjątku są głupi jak stołowe nogi. Wiem, co mówię, bo prowadzę agencję modeli, przez którą ich tu sprowadzono. Tego tam, z włosami do ramion, dla żartu spytałam na

castingu, kto jest aktualnie kanclerzem naszego kraju. Przez pięć minut powtarzał, że ma to na końcu języka.

Pani poszła sobie dalej, a ja poczułam pewnego rodzaju ulgę. Lubię, kiedy ktoś w tak przyjemny sposób potwierdzi moje uprzedzenia. Chociaż przecież siebie też nie próbowałabym określić mianem jakoś specjalnie wyedukowanej. Generalnie moje wykształcenie odpowiadało mniej więcej mojej figurze: ani zbyt obfite, ani też specjalnie szczupłe.

Stopniowo osiągałam stan wystarczającego upojenia, żeby całą tę imprezę traktować z pewnym luzem. Tak, tak, powoli zaczynałam się nawet rozkręcać, bo odważyłam się rzucić jakiemuś przechodzącemu facetowi:

- Pan jest gejem? Jest pan po prostu zbyt przystojny, żeby być prawdziwy.

Facet posłał mi udręczony uśmiech. Jego przyjaciółka, tak chuda, że nawet jej nie zauważyłam, w ogóle się nie uśmiechnęła. Ale zabawna imprezka! Ciekawe, gdzie się podziewa Sonia? Po czterech drinkach czułam się wystarczająco pewna siebie, żeby się z nią rozmówić. Zaraz jej wszystko wygarnę. Tu i teraz. Wepchnę ją do któregoś z tych ogromnych koszy z owocami, każę jej zostawić w spokoju mojego faceta, zwrócę jej uwagę na moje wewnętrzne zalety i duży, ale jędrny tyłek i na koniec efektownym gestem wpuszczę jej komórkę do mojego cuba libre. Z mocnym postanowieniem wypięłam pierś i ruszyłam do ataku.

Sonia opierała się o jeden z filarów. Podeszłam do niej od tyłu i położyłam jej rękę na ramieniu, jakby to były śmiercionośne szpony.

- Słuchaj, Sonia, chciałam ci wreszcie...

Sonia odwróciła się w moją stronę i nagle zobaczyłam, że wyglądała jak dotknięta obłędem: rozgorączkowane oczy, płonące policzki, fryzura w nieładzie. Natychmiast rozpoznałam te objawy.

- Anabella! - krzyknęła, rzucając mi się w objęcia. - Jestem zakochaaaaaaaa!

Alkohol w mojej krwi z miejsca wyparował. Wytrzeźwiałam w sekundę.

- Co takiego? W kim?

- Widzisz tego faceta tam? - Jak mała dziewczynka poma-chała do jakiegoś gościa, który stał przy barze i oczywiście ani myślał odpowiedzieć tym samym. Przystojni faceci nie machają w odpowiedzi, to sprawa dowiedziona.

- Kto to taki?

- To Henning. Jest architektem i pochodzi z Berlina. Właśnie go poznałam i wiem na sto procent, że to mężczyzna mojego życia. Czy to nie fantastyczne? Rozumiesz, co mówię?

Popatrzyłam na Henninga z pobłażaniem. Co on ma takiego, czego nie miałby mój Benni? Wcale nie byłam zachwycona sposobem, w jaki ta lafirynda od kosmetyków zostawiła na lodzie mojego misiaczka.

- A co z twoim super-Bennem?

- Super kim? Daj spokój! Jakby go nigdy nie było! Henning jest wspaniały! Mówię ci, ten facet jest stworzony dla mnie! Znasz to uczucie?

Co miałam jej odpowiedzieć? Coś w rodzaju: „Tak, ja też byłam kiedyś szczęśliwa, zanim ty, anorektyczna zdiro, nie zaczęłaś lecieć na mojego faceta, żeby go potem przy pierwszej lepszej okazji puścić w trąbę z jakimś innym”?

Wolałam milczeć rozgoryczona i przyglądałam się Hennin-
gowi, który zmierzał w naszą stronę z dwoma kieliszkami w dło-
ni. Nawet nie wyglądał tak najgorzej, muszę przyznać. Leciutko
przyprószone siwizną skronie, kanciaste rysy. Ale, pfff, cóż ma
wygląd do osobowości? Henning podał nam kieliszki i skłonił się
leciutko.

- Dobry wieczór, nazywam się Henning Malik. Bardzo miło
mi panią poznać.

Sonia zachichotała wniebowzięta, jakby miała nierówno pod
sufitem.

- Dobry wieczór. Nazywam się Anabella Leonhard. Jeszcze
dwie minuty temu ta kobieta obok mnie była napalona na moje-
go faceta. Niech pan uważa, na co się pan decyduje. A swoje ma-
nieri może pan sobie wsadzić w dupę - pomyślałam, a na głos po-
wiedziałam: - Witam.

Jeszcze nigdy w życiu nie czułam się tak zbędna jak przez na-
stępne minuty. Sonia i Henning nawet przez moment nie próbo-
wali włączyć mnie do swojej rozmowy. Może zresztą nie byli w sta-
nie. Wyglądali na pochłoniętych bez reszty sobą. Najwyraźniej
w grę wchodziły zupełnie pierwotne instynkty. Ona nie mogła ode-
rwać oczu od jego ust, a on od jej piersi. I tak ma być. Dopiero
kiedy dobitnie stwierdziłam „No to ja już pójdę”, obydwoje łaska-
wie poświęcili mi przez sekundę absolutne minimum uwagi.

- Jaka szkoda - wymamrotał Henning obłudnie, a Sonia ob-
jęła mnie ramieniem i szepnęła: - My też za chwilę znikamy. Hen-
ning mieszka w hotelu gdzieś bardzo blisko. Chyba się nie gniewa-
sz, co? Jak chcesz, to któraś z limuzyn odwiezie cię do
Mardavalla i możesz przenocować w moim pokoju. Jestem pew-

na, że nie będę go na dzisiejszą noc potrzebowała. Rano spotkamy się wszystkie na śniadaniu i opowiem wam o tej najbardziej niewiarygodnej nocy, jaką zdarzyło mi się przeżyć. Zgoda?

Skinęłam głową oszołomiona.

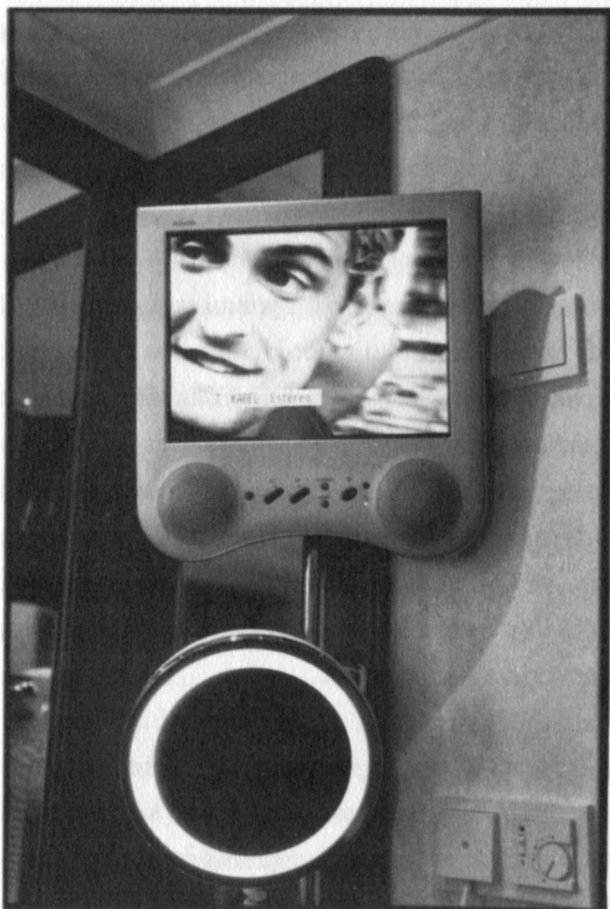
- Yhm, jasne.

Sonia wycisnęła mi pocałunek na ustach.

- Super, jesteś nieoceniona! Życz mi szczęścia.

Kiedy Sonia szła u boku super-Henninga w stronę wyjścia, nagle posypały się na nich z góry tysiące różnych płatków, a z głośników buchnęły dźwięki *Ody do radości*. Bez wątpienia właśnie zaczęła się prezentacja. I bez wątpienia Henning i Sonia jeszcze swoim wnukom będą opowiadać o tej chwili, gdy tak okazałe zaczęła się ich miłość. Zazdrościłam im. Nienawidziłam ich. Nienawidziłam siebie. Trzy minuty później siedziałam w jednej z limuzyn i rujnowałam sobie makijaż.

W hotelu zamówiłam - można niemal powiedzieć, że starym zwyczajem - butelkę szampana i położyłam komórkę Soni obok siebie na łóżku. Przez tego Henninga Sonia kompletnie o niej zapomniała. Muszę przyznać, że zupełnie nie wiem, co robić. Nigdy w życiu nie przeżyłam czegoś, co choćby w najmniejszym stopniu przypominałoby to, co się teraz dzieje. Jednocześnie jednak wiem doskonale, że każda kobieta na moim miejscu czułaby się tak samo jak ja, czyli jak cierpiące na nadwagę, pożałowania godne nic. Mój facet zakochał się w kobiecie, która przestała go kochać! A jeśli teraz przyśle jej SMS-a, że zgadza się na niedzielne spotkanie? Co za kompromitacja! Dla niego, a tym samym dla mnie. Nie chcę być z facetem, który chce być ze mną tylko dlatego, że ta, z którą



tak naprawdę chce być, nie chce z nim być. A już na pewno nie chcę być z facetem, którego żadna nie chce. Cholera, po kiego diabła w ogóle pchałam się na tę wyspę?

Szampana piję prosto z butelki. I tak sobie myślę, że to jednak żadna różnica, czy człowiek się czuje podle przy szampanie, czy przy najtańszym piwie. I że jak się ma uruchamiane przyciskiem zasłony, telewizor nad wanną, widok na morze i prawdziwą

edredonową kołdrę, to wcale nie znaczy, że problemy sercowe są łatwiejsze do zniesienia. Marzę tylko o tym, żeby być znowu w domu. Z moimi pluszakami i z moim Bennim. Ach, żeby tak wszystko to nigdy nie miało miejsca. Żeby tak nie trafiła na książkę Frischa i nie kupiła sobie wagi obliczającej udział procentowy tłuszczu w tkankach i nie skończyła trzydziestki. Wtedy wszystko może byłoby jak dawniej. Ale jakoś za późno sobie to uświadamiam.

Do tego wszystkiego zaczyna popierdywać komórka Soni. Na szczęście to tylko Deespejot, który przesyła swojej godnej uwielbienia koleżance życzenia dobrej nocy. No nie, to już przekracza wszelkie granice!

Z której strony
wyglądam bardziej
seksownie?

Chyba dość trafnie oddam istotę sprawy, jeśli powiem, że w tym momencie wyglądam jak zmęczony mops. Napuchnięty, śnięty, pomarszczony i w fatalnym humorze. W którymś momencie musiałam jednak zasnąć wtulona w butelkę po szampanie. Teraz stoję przy szwedzkim stole uginającym się od różnorodnych propozycji śniadaniowych i w ogóle nie jestem głodna. Coś takiego nigdy mi się jeszcze nie zdarzyło. Normalnie takie stoły zawsze prowokują mnie do tego, aby spróbować po trochu wszystkiego i to bynajmniej nie raz. Normalnie zawsze robię się nerwowa, kiedy widzę rzesze podstarzałych korpulentnych paniuś, jak równym krokiem zmierzają w stronę królewskich ostryg w sosie aioli. Nie mogę sobie wtedy znaleźć miejsca. Dzisiaj jednak wystarcza mi czarna kawa. Jestem naprawdę w nie najlepszym stanie.

- Anabellą! Tu jestem!

Z tarasu macha do mnie Cora.

- No i jak tam? Pewnie długo zabawiłyście? Fajnie było?
Gdzie Sonia? Jeszcze śpi?

- Nie mam pojęcia. Na nowo się zakochała.

- Co takiego? Opowiadaj!

Jestem akurat przy moim powrocie limuzyną do Mardavalla, kiedy zauważam, że Cora w zasadzie też wygląda na lekko wymęczoną. Włosy ma jeszcze bardziej niesforne niż normalnie, ale za to bardzo podejrzanie błyszczą jej oczy.

- No a jak tam było u twojego starego nauczyciela?

- Chyba u mojego dawnego nauczyciela. Nigdy nie mówiłam, że jest stary.

Cora uśmiecha się i mam wrażenie - a chyba mi się jednak nie przywidziało - że pod lekką opalenizną trochę się rumieni. O kurczę, czy to znaczy, że wczorajszej nocy byłam jedyną kobietą w tym Układzie Słonecznym, która zamiast spać z facetem, który nie jest jej własnym facetem, poszła do łóżka z butelką? Zaczynam się czuć tak, jakby mnie coś ominęło.

- Właśnie zaczynał pracę w zawodzie, kiedy byłam w maturalnej klasie. Mieliśmy krótki, ale płomienny romans. Przez wszystkie te lata nigdy całkiem nie straciliśmy ze sobą kontaktu. Dwa lata temu przeniósł się z żoną na Majorkę.

Poczułam ulgę.

- Aha, z żoną? I co, jakaś miła?

- Nie mam pojęcia, bo właśnie wyjechała na kilka dni do Niemiec.

- No i? Czy wy, znaczy, czy z nim...

- Wiesz, Anabello, na temat wierności i niewierności, poza małżeńskich fantazji i flirtów nauczyłam się jednego: najważniejsza jest dyskrecja. Mam wrażenie, że chłopcy już w szkole znają i stosują tę zasadę: o niczym nie mów i wszystkiego się wypieraj. My, kobiety, uczymy się tego dopiero znacznie, znacznie później albo wcale. Ja jednak jestem wyuczalna, dlatego też moje usta niczego nie wyjawia. Korzystam z przyjemności i milczę.

Patrzę na nią z podziwem. Co za dyscyplina! Dla mnie milczenie jest akurat odwrotnością przyjemności. Właśnie dlatego nie nadaję się do zdrad. Kolejnym partnerom tłumaczę to zawsze moimi

moralnymi, etycznymi i altruistycznymi przekonaniem. W rzeczywistości po prostu zbyt duże jest ryzyko wkopania się, jeśli nie jest się w stanie zapamiętać żadnego nazwiska ani żadnego dowcipu i systematycznie zapomina się przestawić zegarek z czasu letniego na zimowy i odwrotnie. Nigdy też nie mam pojęcia, czy w domu skończyły się już świece do podgrzewacza herbaty. Dlatego jak tylko mam okazję, na wszelki wypadek kupuję zapasowe opakowanie pięćdziesięciu sztuk. W domu zawsze stwierdzam wtedy, że kilkanaście takich opakowań zajmuje strasznie dużo miejsca w domowym schowku. Jeśli ktoś zaprzeczy teraz „Ale przecież tego nigdy za dużo”, z całym przekonaniem odpowiadam: Nieprawda.

Niewierność wymaga - poza idealną pamięcią - czterech innych cech, z których ani jedną nie dysponuję:

1. Dyskrecji

A to oznacza: przeżyć coś nadzwyczajnego i nikomu potem o tym nie odpowiedzieć. To dla mnie coś absolutnie niemożliwego. Po co się coś przeżywa? No chyba nie po to, żeby to potem zachować dla siebie? To przecież całkowicie sprzeczne z naturą. Jeśli idzie o seks, to dopiero werbalna analiza z najlepszą przyjaciółką nadaje mu właściwej jakości. Powiedzmy sobie szczerze, że zwłaszcza wszystkie pierwsze razy okazują się raczej marnymi przeżyciami. Po co by się człowiek w ogóle na to miał ciągle od nowa porwać, gdyby nie było nagrody w postaci radości humorystycznego ich odreagowania w przyjacielskim gronie?

2. Żelaznych nerwów przy wypieraniu się

Podstawowa zasada przy zdradzie: wszystkiego się konsekwentnie wypierać. No chyba że on dysponuje jednoznacznym i niepodważalnym materiałem filmowym. W innym wypadku ni-

gdy nie wolno się do niczego przyznać. I znów dla mnie to problem nie do rozwiązania. I tak generalnie mam poczucie, że narozrabiłam. Zawsze tak było. Wystarczy, że z daleka zobaczę policyjny mundur, a od razu robię taką minę, jaką mają zazwyczaj kobiety, które piętnaście minut wcześniej spowodowały karambol z udziałem kilkunastu samochodów wskutek gwałtownego hamowania na widok reklamy informującej o pięćdziesięcioprocentowej obniżce cen obuwia w butik Gucciego. Ja wyglądam na winną, nawet kiedy nic nie zawiniłam. Aż boję się pomyśleć, jak bym wyglądała, gdybym rzeczywiście miała coś do ukrycia!

3. Spokoju ducha

Bywają osoby, zwłaszcza mężczyźni, którzy zachowują się tak, jakby w ogóle nic się nie stało. To ci, których nastrój prawie nie zależy od czynników zewnętrznych. To ci, z którymi regularnie prowadzimy jałowe dialogi w rodzaju:

- Chciałabym, żebyś ty też chociaż raz się ucieszył.
- Przecież się cieszę.
- Ale nic po tobie nie widać. To znaczy, że nie podoba ci się ten zestaw do golenia?
- Podoba mi się, nawet bardzo.
- Jeśli chcesz, mogę wymienić.
- Ale po co? Przecież ci mówię, że bardzo mi się podoba.
- No to dlaczego się nie cieszysz?

Ben na przykład idealnie nadawałby się do tego, żeby zdradzić. Po nim nic bym nie zauważyła, zupełnie nic. Mógłby właśnie wrócić z własnego ślubu albo pół godziny wcześniej przeciąć pępowinę swojego pierwszego dziecka, a ja bym myślała, że właśnie ma za sobą jakiś wyjątkowo nudny dzień w biurze.

Ja to jestem inna. Radość, smutek, wściekłość, strach, szczęście - wszystkie te uczucia udokumentowane są odpowiednim zachowaniem. Nawet moje włosy odzwierciedlają stan ducha. Kiedy wszystko u mnie gra, sprawiają wrażenie cieniutkich i słabych. Kiedy coś u mnie nie w porządku, do tego wszystkiego tracą jeszcze blask. Po prostu nie ma sensu, żebym próbowała cokolwiek udawać.

Wystarczy że wejdę do domu po jakimś spotkaniu, a Ben od razu widzi, czy jedzenie było dobre, czy nie. Czasami - to wręcz niesamowite - potrafi z mojego nastroju wywnioskować trafnie, co oglądałam wcześniej na wideo.

- Ach, Bello, coś się stało, czy tylko znowu oglądałaś *Stalowe magnolie*.

Albo: - No, kochanie, coś taka zasmucona? Wiesz przecież dobrze, że Spiderman musiał wybrać wbrew uczuciom. Inaczej nie byłoby drugiej części.

A czasami - kiedy się nudzę i jestem z tego powodu w złym humorze, więc działam Benniemu na nerwy, bo on sobie chce w spokoju poczytać, a ja co trzy minuty domagam się, żeby zwracał na mnie uwagę, krzykami w rodzaju: - Benniiiiii, popatrz, ręka mi odpadła! - on mówi do mnie: - Słuchaj, daj mi spokój ze swoim złym humorem, co? Idź sobie lepiej obejrzyj *Shreka*.

No to sobie oglądałam i zaraz jest mi lepiej. Ach, Boże, mój Benni to mnie naprawdę dobrze zna. Może nawet za dobrze.

4. Pragnienia niebezpieczeństwa i tego, co zakazane

To coś, czego mi kompletnie brakuje. Nie muszę robić nic sprzecznego z prawem, żeby poczuć, że żyję. Jeśli popełniam jakiś przestępstwo, to wyłącznie przez nieuwagę. Tak jak ostatnio,

kiedy dopiero w domu się zorientowałam, że ciągle jeszcze mam na nosie okulary przeciwsłoneczne, które przymierzałam w salonie optycznym. Oczywiście odniosłam je z powrotem, może po części dlatego, że zostawiłam w tym zakładzie nie tylko poprzednie okulary, ale także torebkę.

Niebezpieczeństwo uważam przede wszystkim za coś niebezpiecznego, a nie stymulującego. Może i jestem staromodna, ale do dzisiaj wolę się kochać we własnym łóżku niż w ubikacji rosyjskiego tupolewa, który z powodu niespodziewanego braku paliwa musiał awaryjnie lądować na oblodzonym lotnisku w Nowosybirsku. Także świadomość, że ktoś może mnie przyłapać w trakcie seksu, kompletnie mnie nie rajcuje. Któregoś razu nieostrożnie zgodziłam się to zrobić w łóżku z lustrem zamocowanym na suficie. Od tego czasu aż za dobrze zdaję sobie sprawę, że kobiece ciało nie-
zbyt korzystnie wygląda w pewnych pozycjach. W zasadzie nawet się dziwię, że po tym traumatycznym przeżyciu w ogóle jeszcze uprawiam seks. Niemniej jednak widowni zdecydowanie nie potrzebuję.

Ktoś rzuca mi się od tyłu na szyję i wrywa mnie z moich frompopodobnych rozważań. To Sonia.

- Dziewczyny, mówię wam, obłęd!

Ma na sobie wczorajszą sukienkę wieczorową, jakoś dziwnie wymięta, jest nieumalowana i ma zupełnie wniebowzięty wyraz twarzy. Gapimy się na nią z Corą, a ja stwierdzam z satysfakcją, że Sonia nie należy do tych kobiet, które nawet bez makijażu wyglądają, jakby dopiero co wyszły od wizażystki. Lekko tłusta cera mieszana, zdiagnozowałam ją na podstawie moich bogatych

doświadczeń, prawdopodobnie ze skłonnością do zaskórników oraz świecących miejsc na czole, nosie i podbródki. Oczywiście cieszy mnie każda skaza jej urody. A co to, jestem jakaś święta czy co?

Cora się niecierpliwi.

- No gadaj wreszcie! Jaka była ta noc, co to za facet i kiedy masz się z nim znowu zobaczyć?

- Dopiero po powrocie. Jest tutaj na urlopie z krewnymi, w kilka osób. Noc była super, niewiarygodna. Nie chcę być niedyskretna, ale gdyby Henning miał grać w *Asteriksie*, to pewnie nazywałby się Phallix.

Cora parsknęła śmiechem. Ja natomiast tylko uśmiechnęłam się z zaciśniętymi ustami. Mój Ben też jest całkiem nieźle wyposażony, ale wydało mi się dość małostkowe wskazywanie na to w tym akurat momencie.

- Chyba wpadłam po uszy. On raczej też. Czegóż takiego jeszcze nigdy nie przeżyłam. Wiecie, co ten wariat zrobił? Napisał mi na plecach mazakiem swoje wyznanie miłości. Żebym o nim na pewno teraz nie zapomniała, kiedy tak długo nie będziemy się widzieli. Czy to nie słodziuuutkie?

Cora uniosła filiżankę.

- No to niech super-Benni spoczywa w spokoju. Jednocześnie witamy w życiu Soni Henninga Wielkiego.

Sonia uśmiechnęła się mile połechtana.

- Ach, zaraz, Anabello, masz przypadkiem ze sobą moją komórke?

Oczywiście byłam przygotowana na to pytanie. Wcale nie chciałam oddać jej telefonu bez walki. Ben jeszcze się nie zgłosił, ale spo-

dziewiałam się, że w ciągu dnia może jej przysłać SMS-a. Muszę być pierwszą i jedyłą, która go odczyta. Zrobiłam zgnębioną minę.

- Słuchaj, strasznie mi przykro, ale wczoraj, jak wracałam z imprezy, musiała mi się wysunąć z torebki. Namierzyłam już tego kierowcę, który mnie przywoził. Dzisiaj po południu dostarczy komórkę do domu mojej ciotki. Mogę ci ją oddać, jak będziemy razem na jachcie. Może tak być?

- Oczywiście. Henning raczej nie ma szans do mnie dzwonić, ponieważ płynie na żagle z rodziną. Z SMS-ów od Deespejota mogę spokojnie zrezygnować, a super-Benni raczej będzie musiał spędzić niedzielne popołudnie ze swoją przyjaciółką. Pewnie przed telewizorem przy kolejnym odcinku serialu *Tatort*. Bidulek!

Sonia wybucha śmiechem, a mnie niewiele brakuje, żeby się na nią rzucić i zacząć wrywać jej włosy garściami.

Ale czy to nie hańba rzucać się na jakąś kobietę tylko dlatego, że już nie chce mi wyrwać mojego faceta? Ze przestała mieć na niego ochotę? Ze, chociaż robi to w niewiedzy, naśmiewa się z mojego małego, nijakiego życia, które tak koniecznie chcę odzyskać? Nie, nie, muszę się wziąć w garść i zachować twarz. Przetrwam to wszystko z godnością. Potrzebuję tylko odrobiny spokoju, żeby jakoś opanować burzę uczuć. Poza tym przydałoby mi się trochę poczucia własnej wartości. Relaks czy masaż ego? Trzeba wiedzieć, co jest tak naprawdę ważne. Tak więc godzinę później zdecydowana na wszystko wchodzę na pokład Lady Harmony. O rany, muszę być naprawdę zrozpaczona, bo jestem gotowa na wszystko!

Może jednak trzeba było zrobić tę kapuścianą dietę. Tak właśnie myślę, patrząc ponad swoim lekko wypiętrzonym brzuchem

na morze. Niestety nie jest jeszcze na tyle tłuusty, żeby zasłonić mi widok na moje bulwiaste kolana. Kiedy właściwie ustalono, że wyraźnie zarysowane mięśnie brzucha to coś ładnego? Dlaczego nikt mnie przedtem o to nie zapytał? Dawniej kobiety miały okrągłe miękkie brzuchy będące ucieleśnieniem zmysłowości i płodności. Dzisiaj mamy mieć na brzuchu wytrenowany kaloryferek z widocznymi splotami ścięgien i mięśni, co przypomina mi obrzydliwe rysunki w książce od biologii albo orzechy włoskie w kondomie. Czy naprawdę ktokolwiek uważa to za ładne? Obawiam się, że tak. Moje mięśnie w każdym razie są bezpiecznie otulone i schowane i raczej tak już zostanie. Między innymi dlatego, że Robin właśnie poszedł dla mnie po lody z bitą śmietaną. Kiedy się oddalił, ja zaczęłam analizować rozliczne rozczarowania.

1. Ta plaża jest wprawdzie piękna, ale w żadnym razie nie od-
ludna. Do fizycznego zbliżenia na pewno tutaj nie dojdzie.
2. Robin właśnie spotkał przypadkiem swoją znajomą Maren
i jej miejscowego przyjaciela Juana.
3. Maren musiała się położyć akurat przy mnie.
- 3a. Pewnie nawet nie jest pełnoletnia i waży tyle co nic.
4. Robin wcale nie jest właścicielem jachtu.

Jak się już zdążyłam dowiedzieć, Robin miał tylko przeprowa-
dzić Lady Harmony z Marbelli do Puerto Andratx. Prawdziwym
właścicielem jest jakiś jubiler z Nadrenii. Kiedy Maren zadała py-
tanie: „To kiedy właściwie stary ma zamiar sam korzystać z jach-
tu?“, miałam nadzieję, że ma na myśli ojca Robina. Kiedy o to spy-
tałam, Maren przestraszona zasłoniła usta.

- O kurde, to ty jej powiedziałaś, że to twój jacht?

Robin był wściekły, a jednocześnie zakłopotany.

- Wcale nie! Nawet mnie o to nie pytała.

Istotnie, to prawda, że nigdy konkretnie nie zapytałam. Ale chyba można założyć, że mężczyźni z zasady pływają jachtami, które są ich własnością?

Robin skubnął mnie pieszczotliwie w ucho.

- Jesteś rozczarowana?

Co tu odpowiedzieć? Człowiekowi się zdaje, że złapał kapitana, a tu się okazuje, że to zwykły majtek. Pewnie, że jestem rozczarowana jak diabli!

- Nie, oczywiście, że nie - mówię.

Z ulgą daję mi lekkiego klapsa w pupę, a ja rzucam:

- No wiesz! Teraz będzie mi się trzęsło przez trzy godziny!

Po prostu nie umiem się na Robina gniewać. I doskonale wiem dlaczego. Bo za mało dla mnie znaczy. Dlaczego miałabym psuć sobie spędzane z nim godziny złością na niego? Ja go tylko lubię, nie jest wart tego, żeby się na niego złościć. Ale to naprawdę piękny chłopak. Te długie nogi. I takie waziutkie bioderka. Ben jest raczej szeroki w biodrach, tak że nawet często żałuję, że to nie on będzie rodził nasze dzieci. Ciągłe jeszcze się nie odezwał - znaczy na telefon Soni. Ciekawe, czy nadal zмага się z sumieniem, bo ma ochotę się zgodzić? Albo może nie wie, jak jej odmówić?

Ben jest człowiekiem, który nie lubi ranić uczuć innych. Chyba że chodzi o moje.

- Pani po raz pierwszy na Majorce?

Wow - myślę sobie. - Ona umie mówić. Zupełnie zapomniałam o Maren. Co jej przyszło do głowy, żeby zwracać się do mnie

per pani. Co to ja jestem, nierozprawiczona nauczycielka od robót ręcznych czy jak?

Skupiam spojrzenie na jakimś nieokreślonym punkcie w odali, żeby dać jej do zrozumienia, że nie jestem zainteresowana konwersacją z dzieckiem, które nie może grać w mojej kategorii wiekowej ani wagowej. Aż za dobrze pamiętam, co ja w jej wieku myślałam o kobietach w moim wieku. Ze zdumieniem i zainteresowaniem przyglądałam się wówczas tym biednym stworzeniom. Staruszki po trzydziestce, które na plaży owijały biodra ręcznikiem, zrzucały go dopiero, wchodząc do morza, i niezależnie od tego, jak pierońsko zimna była woda, jak mogły najszybciej zanurzały się co najmniej do pasa. Na szczęście łaskawi kreatorzy mody wymyśli dzisiaj w tym celu niezwykle twarzowe stroje zwane pareo lub „osłony na cellulit dla kobiet, które mimo swego wieku uważają, że nadal muszą chodzić na plażę, a nie stać ich na porządną operację”.

Jakżeż ja się wtedy - młoda, nic niewiedząca istota - brzydziłam facetów, którym owłosienie na piersiach zaczynało lekko siwieć, przez co wyglądali, jakby jeszcze za życia pokrywali się pleśnią. Jakże dziwny wydawał mi się widok ludzi, których stać było wprawdzie na drogie samochody, ale którzy tymi drogimi samochodami jeździli głównie do kosmetyczek, studiów fitnessu albo na weekendy detoksykacyjne do ośrodków spa. Jakże przerażające było patrzenie w czasie wakacji nad Bałtykiem na facetów o tyłkach obwisłych jak policzki Marlona Brando w *Ojcu chrzestnym*. Nie przywykłam do takich widoków, bo moi rodzice na szczęście nie byli tacy obłądnie nowocześni, żeby bez przerwy latać goło po mieszkaniu i zmuszać mnie, żebym mówiła do nich po imieniu.

To były czasy, kiedy jeszcze sypiałam z chłopakami, którzy uroczyście i z przejęciem świętowali każdy włos, jaki odważył się wyrosnąć im na klatce. Czasy, kiedy uprawiałam sporty dla przyjemności, a nie żeby schudnąć. Kiedy kremy kupowałam w supermarkecie, kiedy moje pięty nie wyglądały jak przybladłe pieczone jabłka i kiedy nawet nie słyszałam o konturówkach do ust. Kiedy miałam nadzieję, że jednak uda mi się przeżyć orgazm pochwy, i uważałam, że piersi na pewno mi jeszcze urosną.

To były piękne czasy, ale dość odległe. Mówiąc szczerze, bardzo odległe.

- A gdzie pani tutaj mieszka? - Maren nie dawała za wygraną. Zawsze mnie zdumiewa, jak bardzo osoby, które właściwie powinny się cieszyć, że nikt ich nie dostrzega, dopominają się o to, żeby jednak zwrócić na nie uwagę. Maren żuje gumę z takim zacięciem, że mam niemalże swobodny wgląd w otchłań jej gardła.

- U ciotki.

- A ona gdzie mieszka?

- Cała Llamp.

- A to zabawne. Moja siostra też tam mieszka.

Wolę nie odpowiadać nawet zwykłym „Yhm” wyrażającym całkowity brak zainteresowania. Takie osoby jak Maren nie omieszkają wówczas nieproszone opowiedzieć jakiejś nudnej jak flaki z olejem rodzinnej historii. Moje milczenie jednak działa na Maren jak usilna zachęta do jeszcze zawziętszej paplaniny.

- Moja siostra to najlepszy paparazzi na całej wyspie. Ma też zajebistą ksywkę: Laura Luchs, czyli ryś, że niby ma takie oczy, co widzą w ciemności. Na pewno pani już o niej słyszała, prawda?

- Przykro mi.

- Pstryka tu tych wszystkich VIP-ów dla „Bilda” i „Bunte”. Ostatnio przez trzy dni czyhała w stroju maskującym na terenie posiadłości Michaela Douglasa.

- Ludzie różnie spędzają wolny czas - rzucam pobłaźliwie. Ale wygląda na to, że kompletnie bez mojego udziału Maren zapalała do mnie gwałtowną sympatią.

- No supersprawa, no nie? Pani zgadnie, kogo pstryknęła w czasie tej akcji.

- Czyżby Michaela Douglasa?

- No właśnie, ale nie samego. A teraz niech pani zgadnie, kto tam był w basenie razem z nim!

I znów uznałam milczenie za najwłaściwszą odpowiedź.

- Jego żona!

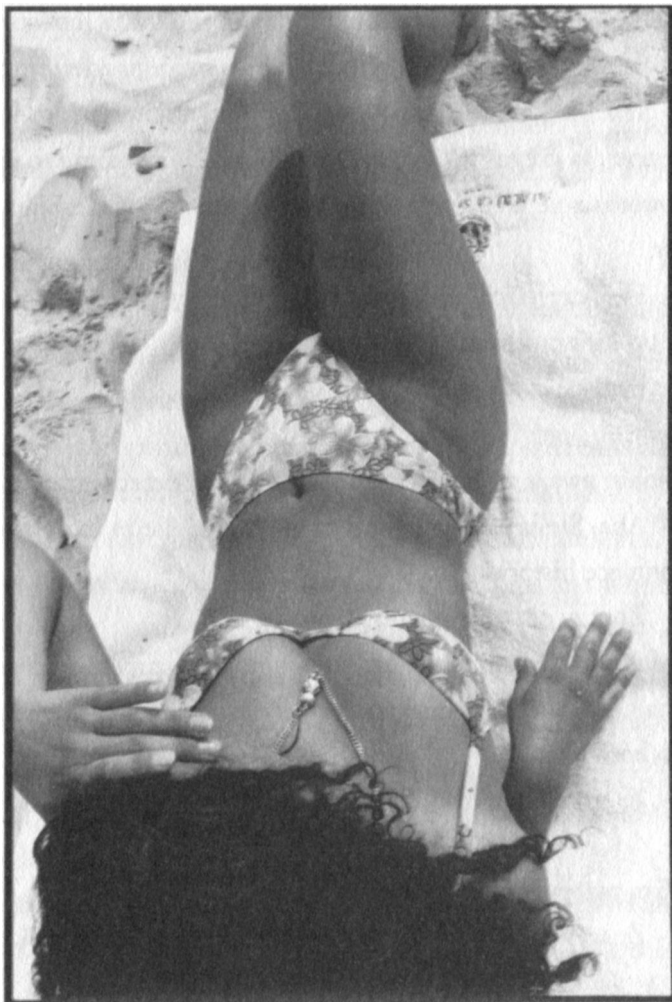
- No niesamowite! To duża rzadkość. Co za skandal!

Dla Maren jest to zaproszenie do wygłoszenia męczącego wykładu na temat technik maskowania oraz umiejętności podkradania się. Podobno nieraz już asystowała siostrze w stroju maskującym, między innymi dlatego, że niesłychanie do twarzy jej w naturalnych kolorach. Całkiem niedawno śledziły podobno po całej wyspie Dietera Bohlena z dawnego zespołu Modern Talking, bo im się wydawało, że kobieta na siedzeniu obok niego to jakaś nowa flama. Ja nawet bym na to nie wpadła. Moim zdaniem Dieter do tego stopnia pozostaje wierny jednemu typowi kobiet, że rozróżnić je można chyba tylko, robiąc testy DNA.

To oczywiście wcale nie znaczy, że nie interesują mnie ploteczki. Zawsze jestem okropnie przejęta, kiedy mi się wydaje, że widzę u siebie w Hamburgu jakiegoś VIP-a. Mogłabym na przykład przysiąc, że ostatnio minęłam na ulicy tego słynnego prezentera

z takiego programu, który leci na RTL, gdzie pokazują różne dziwne rzeczy. Poznałam go przez ostatnią gripę.

Leżałam bite trzy dni w łóżku i od rana do wieczora gapiłam się w telewizor. Jego program spodobał mi się najbardziej. Najczęściej pokazywali tam kobiety, które się strasznie wstydziły czegoś,



co miało związek z ich ciałem. Miały na przykład jakieś straszliwie obwisłe piersi, które wyglądały jak omlety, przy których coś się kucharzowi omsknęło, kiedy przewracał je na drugą stronę, albo monstrualne balkoniki z sadła na biodrach czy niespotykane pomarszczone szyje czy powiedzmy dwa jadowicie zielone znamiona na plecach, które bez przerwy śpiewają na dwa głosy *A, a, a, kotki dwa*.

Te kobiety wstydzą się tak okropnie, że nie widzą innego wyjścia, jak tylko ochoczo zerwać odzienie ze swojego zdeformowanego ciała i pokazywać straszności czteromilionowej widowni telewizyjnej. Ja czegoś takiego nie rozumiem. No bo komu to może odpowiadać, że następnego dnia rano, kupując świeże bułeczki, słyszy:

- Hej, czy to nie pani wczoraj na RTL-u wysysali sześć kilo sadła z ud i wstrzykiwali w piersi?

Ja bym się czuła głupio.

Robin uważa za konieczne ostrzec Maren przede mną.

- Aha, Stella wcale nie nazywa się Stella. Ale za to opowiada pasjonujące historie.

- Znaczy co, jakie historie?

Maren patrzy na mnie, nic nie rozumiejąc, zupełnie jak moja babcia Gabi, kiedy się zorientowała, że sztuczna szczeka wpadła jej do kominka.

- To był mój pomysł. To taka zabawa, którą od dawna bardzo lubię.

Tym razem ja nie posiadam się ze zdumienia.

- Znaczy co, jaka zabawa, którą od dawna lubisz? Czyli że to takie twoje hobby? To ile już miałeś takich Stelli?

Nie będę ukrywać, że trochę mnie to ubodło. Jakoś tak mi się bowiem wydawało, że emanująca ze mnie niesamowita oryginalność sprawiła, że Robin wpadł na ten wyjątkowy pomysł. A tu się okazuje, że on to robi nie pierwszy raz. Pewnie za każdym razem, kiedy poznaje jakąś babkę, która wygląda tak, jakby wiodła beznadziejnie nudny żywot.

Ale Robin w ogóle nie wygląda na przyłapanego na gorącym uczynku. Śmieje się tylko i znowu skubie mnie w ucho.

- Jesteś jedyną Stellą w moim życiu. I powiem ci, że jeszcze żadna nie zadała sobie tyle trudu, żeby te historie, które wymyśla, wyglądały tak bardzo prawdziwie.

- To pani nie nazywa się Stella?

Maren wydaje się z wolna pojmować, w czym rzecz, co niezbyt korzystnie odbija się na wyrazie jej twarzy.

- Nie, nie nazywa się Stella, nie mieszka w rezydencji w Cala Llamp i nie mam pojęcia, co naprawdę robiła przez ostatnie dni. Mnie powiedziała, że wygrała jedną noc w Mardavallu i była na imprezie promocyjnej nowych perfum w Palma di Mallorca.

- Ale to znaczy, że ty nawet nie wiesz, kim ona naprawdę jest?

Wygląda na to, że Maren - zupełnie jak ja - kompletnie nie rozumie, czemu ta zabawa ma być taka fascynująca. Przynajmniej jedna przyjemna cecha.

- To prawda, ale to, kim chciałaby być, mówi o niej dokładnie tyle samo co to, kim naprawdę jest.

Potrzebuję kilku sekund, żeby się zorientować, że to zdanie znakomicie brzmi, jakkolwiek merytorycznie pozostawia trochę do życzenia. Ciekawe, czego ten młodzieniec się rzekomo dowiedział

z moich marzeń, skoro nie zna nawet mojego prawdziwego imienia?

- No więc co takiego twoim zdaniem mówią o mnie te moje historie? Co te ostatnie dni zdradziły ci na mój temat?

Robin zastanawia się, spoglądając w morze. Nagle zaczyna mi się to wydawać niezwykle pochlebne, że się tak intensywnie zastanawia. Prawie robi mi się go żal, że zadaje sobie tyle trudu, żeby zinterpretować moje tęsknoty. To bardzo osobliwe uczucie wstydzić się, że się nie skłamało.

- Te opowieści, które sobie wymyślasz, nie są wcale tak całkiem absurdalne. Teoretycznie wszystko mogłoby się dziać dokładnie tak, jak mówisz. To przemawia za tym, że w zasadzie jesteś z siebie zadowolona. Nawet gdybyś miała taką możliwość, nie zdecydowałabyś się postawić wszystkiego w swoim życiu na głowie. Jeśli bym cię zapytał, czy pojedziesz ze mną jutro na miesiąc do Algarve, to obawiam się, że byś odmówiła. Całkiem nieźle ci się wiedzie, nie ma w tobie specjalnego cierpienia. Chcesz coś niecoś przeżyć, ale nie tak do końca. Wymyślasz sobie bogatą ciotkę, nie mówisz, że ty jesteś bogata. Wygrywasz noc w luksusowym hotelu, chociaż mogłabyś twierdzić, że jesteś jego właścicielką. Podobno chcesz się zastanowić, czy nadal chcesz być ze swoim aktualnym facetem, a przecież spokojnie mogłabyś twierdzić, że jesteś rozrywaną przez facetów singielką czy powiedzmy kochanką aktora Jurgena Prochnowa. Nie, nie, twoje życie musi być całkiem OK. Mam rację?

Och, sama nie wiem. Czy on ma rację? Cóż, może i tak? Może moje życie było w miarę OK, zanim tu przyjechałam? Tyle tylko, że sobie tego nie uświadamiałam i mam wielką ochotę zrzucić

częściowo winę za obecną sytuację na pana Frischa. Kiedy się pisze takie niepokojące rzeczy, to trzeba potem dopilnować, żeby nie dostały się w niepowołane ręce.

„Jesteście parą, w każdej chwili wolną, ale parą. Niewiele tu można zrobić”.

Jak człowiek nagle coś takiego przeczyta, to chyba jasne, że natychmiast przestaje być zadowolony z aktualnego związku. Nie, nie, to trochę źle powiedziane. Raczej chodzi o to, że nagle zadowolone zaczyna się uważać za wadę, za oznakę oklapnięcia. I z miejsca zaczyna ci się wydawać, że w twojej sypialni snuje się woń rozkładu, tylko dlatego, że nie dochodzi tam do statystycznych dwóch przecinek trzy dziesiąte stosunku tygodniowo. Wydaje ci się, że wasza miłość pokryła się pleśnią, bo już nie zrywasz z niego koszul, tylko porządnie rozpinasz guziki. Masz wrażenie, że to niedobrze, że do siebie przywykliście, a to dlatego, że cierpi na tym namiętność, nieustanne pożądanie i nieprzytomny seks w restauracyjnej toalecie. Którego, jeśli sobie dobrze przypominasz, tak naprawdę nigdy nie miałaś. Tylko potrafiłaś sobie wyobrazić, że możesz go mieć - z facetem, którego teraz kochasz.

Słowa Frischa dopadły mnie w kompletnie nieodpowiedniej chwili. I wydaje mi się, że na tego rodzaju niebezpiecznych książkach powinny być takie same ostrzeżenia jak na paczkach papierosów: „Ministerstwo Planowanych na Dłużej Związków ostrzega: Po przeczytaniu tej książki wasz związek wyda się nudny. Zaleca się odczekanie co najmniej trzech pełnych dni, zanim zaczniecie wyciągać jakiegokolwiek ostateczne wnioski. Odradzamy

zwłaszcza spontaniczne zdrady oraz nieprzemyślane improwizowane urlopy".

W torebce pierdzi komórka Soni. Patrzę na wyświetlacz. To nie numer Bena. Maren przeciąga swoje ciało.

- Czemu pani nie odbiera?

- Bo to komórka kobiety, która dwa dni temu pocałowała mojego faceta. A teraz czekam, czy on przyśle jej SMS-a. Jeśli się okaże, że gotów jest umówić się z nią na niedzielę, będę miała naprawdę poważny problem, ponieważ zostanę bez faceta. Pomimo tego, że ona wcale nie chce się już z nim spotkać, bo właśnie wczoraj odnalazła wielką miłość.

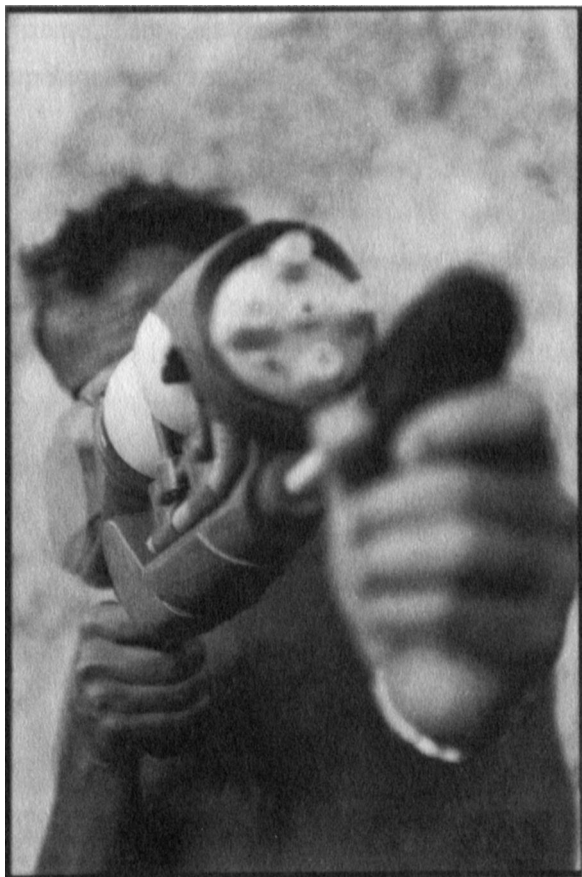
- Niech pani przestanie, to już zupełna ściema.

Maren jest mną znudzona i na szczęście milczy przez kilka minut, tak że mogę sobie ze wzruszeniem poobserwować małego chłopczyka uzbrojonego w plastikowy karabin na wodę. Kiedyś nazywało się to karabinem na wodę, a dzisiaj to już super soaker XP310. Znam ten model. Ben kupił sobie coś takiego jakieś dwa miesiące temu, żeby przeganiać gołębie z balkonu naprzeciwno. Bo one zaczynają gruchać mniej więcej o piątej rano. Na początek obrzucaliśmy je kawałkami marchewki, ale okazało się to niezbyt efektywne. Mieliśmy wręcz poczucie, że gołębia mafia dała cynk paru swoim podejrzanym kompanom, że w hamburskiej dzielnicy Eimsbittel jest taki balkon, gdzie za friko dają świeżą marchewkę.

Ale takim właśnie super soakerem Benedykt Cramer-Wayne wreszcie bohatercko rozprawił się z gołębiami. To był naprawdę powalający widok, kiedy mój Benni zakradł się o świtanie na bal-

kon w bokserkach, okularach i z pomarańczowo-zielono-żółtym plastikowym karabinem na wodę w garści i trzema, czterema strumieniami zatopił przeciwnika. Gołębie natychmiast poddały swoją kwaterę główną i przenieśli się na balkon nad nami, gdzie nie zagrażała im już woda i marchewki, ale skąd były nadal doskonale słyszalne.

- *Caramba, buenas tardes hasta luego un agua con gas por favor, ole.*



Tak mniej więcej brzmi to w moich uszach, kiedy odzywa się milczący dotąd w godny pochwały sposób Hiszpan o imieniu Juan. Nadzwyczaj bujne owłosienie klatki piersiowej to jedyne, co zwróciło na razie moją uwagę. Pojedyncze kępki rozsiane po torsie niby krecie kopce na łące. Z niektórych kępek wyrastają dodatkowo pojedyncze włoski o takiej długości, którą normalnie kojarzy się wyłącznie z Ribanną, wielką miłością niejakiego Winnetou. Patrzę pytająco na Maren, ponieważ nie mam pojęcia, co powiedział tubylec.

- Horst chyba by chciał, żebyśmy stąd spadali.

- Jak to Horst? Wydawało mi się, że twój chłopak ma na imię Juan?

- No bo ma. Ale ponieważ tutaj co drugi to Juan, wolę nazywać go Horst.

- To znaczy, że rozumiesz, co on mówi?

- Piąte przez dziesiąte, ale spoko. Jesteśmy już ze sobą dwa lata i doskonale się dogadujemy. Wydaje mi się, że strasznie się przesadza z tą rolą komunikacji werbalnej. Problemy, o których nie da się porozmawiać, po prostu przestają istnieć. No dobra, musimy lecieć. Miłego dnia.

Kiedy Horst znowu zaczyna wydawać z siebie jakieś dźwięki, mówię uprzejmie:

- Adios, Juan.

Juan posyła mi promienny uśmiech, zupełnie jakbym przyznała mu nagrodę za najpiękniejsze owłosienie klatki piersiowej w całej Hiszpanii.

Ta osobliwa para wprawia mnie w zadumę. Komunikacja werbalna to istotnie podstawowy czynnik ryzyka w każdym związku.

Prawdopodobnie obydwie płcie znacznie bardziej pokojowo współistniałyby ze sobą, gdyby pary w ogóle nie rozmawiały. Bardzo atrakcyjny pomysł, chociaż z drugiej strony należę do osób, które nie potrafią się nie odzywać dłużej niż przez dwie, trzy minuty.

To mi przypomina pewien obrzydliwie złośliwy dowcip, na jaki zdobył się kiedyś jeden z moich współlokatorów, niejaki Guido. Miałam wtedy dwadzieścia jeden lat, siedziałam z kumpelami we wspólnej kuchni i zastanawiałyśmy się, że koniecznie musimy zrobić jakąś demonstrację. Zbliżał się Międzynarodowy Dzień Kobiet i to nam pasowało. Mona, już wtedy moja najlepsza przyjaciółka, spytała:

- Jak myślicie, w jaki sposób mogłybyśmy najskuteczniej zwrócić na siebie uwagę?

Niepytany przez nikogo o zdanie Guido wypalił:

- Może marszem milczenia?



Najchętniej zabrałabym się teraz do malowania mebli w ogródku. Albo do szczotkowania sierści mojemu pieskowi. Albo zapaliłabym w kominku. Wszystko to są czynności medytacyjne, które przywracają równowagę duszy i obniżają tętno do normalnej częstości. Ale nie mam ogródka, nie mam psa ani kominka. A nawet gdybym miała, na nic by mi się to nie przydało, ponieważ aktualnie jestem na jachcie. Nie mogę sobie tutaj nawet pomalować paznokci dla uspokojenia nerwów. Mogę tylko nasłuchiwać pospiesznego bicia serca i nadstawiać uszu, czy aby nie dzwoni komórka, którą mam pod głową, zawiniętą w ręcznik.

Podczas kiedy Robin wyprowadza Lady Harmony z zatoczki, zastanawiam się, czy lepiej położyć się na plecach, czy na brzuchu. Z której strony wyglądam bardziej seksownie? Jak w wypadku wielu zasadniczych kwestii życiowych, tak i na tę nie ma jednoznacznej odpowiedzi. Jeśli położę się na brzuchu, to będzie on wprawdzie schowany, co nigdy nie zaszkodzi, ale wtedy odsłonięte będą tylne powierzchnie moich ud oraz pomarszczone pięty - widok, który akurat słabo sprzyja budowaniu naładowanej seksualnie atmosfery. Jeśli przekręcę się na plecy, ukryję w ten sposób moje obfite, ale jednak - jak sądzę - przyjemne pośladki, natomiast wystawię na widok mój biust, który niezależnie od wielkości mimo wszystko zalicza się do drugorzędnych cech płciowych o pierwszorzędnym znaczeniu. Byłoby super, gdybym miała biust i pośladki po jednej stronie ciała, a pięty, brzuch, dołki podkolanowe oraz uda po drugiej. Co stawia mnie przed pytaniem: po której z tych stron chciałabym mieć twarz? Po tej erotycznej? Czy to znaczy, że moja twarz jest sexy?

- Nakremować ci plecy?

Tym samym Robin udzielił odpowiedzi na moje pytanie.

Dla mnie to coś bardzo intymnego, jeśli kremuje się komuś plecy. Nigdy w życiu nie poprosiłabym o to nikogo obcego. Jest to bowiem taka subtelna mieszanka działania praktycznego i pieszczoty. A także erotyczny gest, ale to tylko na samym początku, kiedy dwoje ludzi się jeszcze dobrze nie zna. Tak jak Robin i ja. Kiedy Ben smaruje mi plecy kremem, robi to z troski o moje dobro. Nie potrzebuje przecież pretekstu, by mnie dotknąć. Choć właściwie szkoda, ale nie da się tego zmienić, kiedy się jest dłużej ze sobą. Ludzie się już wtedy dotykają, kiedy akurat przyjdzie im na to ochota. Nikt nie pyta: „Nakremować ci plecy?“, co oznacza tak naprawdę: „Czy mogę już zacząć cię dotykać?“.

Na początku każdy kontakt fizyczny to sensacja. Dlatego nie wolno zdawać się tutaj na przypadek. Z tego na przykład powodu każda kobieta marznie na pierwszej randce. Nie dlatego, że jest jej zimno, ale dlatego, że chce mu dać okazję do nałożenia jej na ramiona płaszcza i niby przypadkowego dotknięcia. Dlatego też każda kobieta dużo wtedy pali. Oczywiście dzieje się tak również dlatego, że jest zdenerwowana, ale przede wszystkim dlatego, że uwielbia ten moment, kiedy kładzie dłoń na jego dłoni, gdy on podaje jej ogień. To wzruszające obserwować te wszystkie rytuały. Kiedy w restauracji siedzi niedaleko mnie świeżo zakochana para, przypomina mi się, jak to było. Jak to ja również marzałam - i to nawet nie musiałam specjalnie udawać, bo kiedy po raz pierwszy szłam na randkę z Benedyktem Cramerem, był przecież luty.

Już siedząc obok niego w samochodzie, miałam poczucie, że spokojnie możemy sobie darować to wszystko, co ludzie robią,

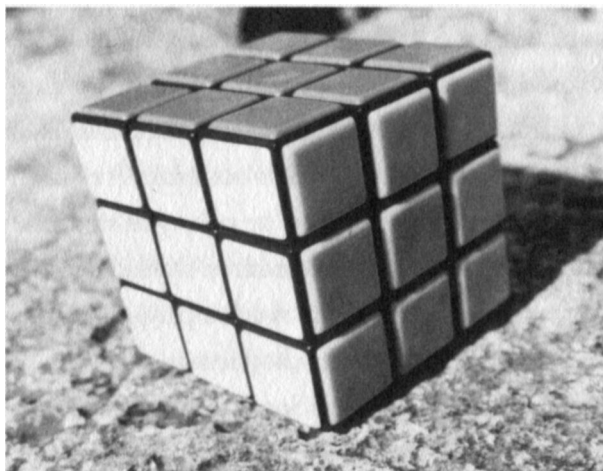
kiedy chcą wysondować, czy do siebie pasują. Te wszystkie gierki, jakie uprawiają, po części z prawdziwej niepewności, po części z niepewności udawanej. Ja byłam pewna. Nie musiałam poznać Benedykta Cramera bliżej, żeby wiedzieć, że go kocham.

We włoskiej restauracji nad rzeką ciągle musiałam się hamować, żeby nie gładzić go bez przerwy po policzku albo nie brać jego twarzy w dłoń. Trudno mi było zrezygnować z tych gestów i dotknąć zastrzeżonych dla par, które są już ze sobą oswojone. Ale wiedziałam, że zasady gry nakazują powolne zbliżanie się do siebie.

Rozmawialiśmy, śmialiśmy się i o mały włos położyłabym mu głowę na ramieniu, kiedy czekaliśmy, aż kelner przyniesie rachunek. Zostaliśmy parą jeszcze tej samej nocy. Nie dlatego, że uprawialiśmy seks na dywanie w moim salonie. Uprawialiśmy wprawdzie, ale parą zostaliśmy w momencie, kiedy w drodze powrotnej z restauracji Ben objął mnie ramieniem. Wszystko od razu było takie jak trzeba. Pasowaliśmy do siebie jak...

Swego czasu była taka magiczna kostka, którą trzeba było tak długo obracać, aż każdy bok miał tylko jeden kolor. Całymi godzinami kręciłam i kręciłam i tylko jeden jedyny raz mi się udało. Do dziś pamiętam dokładnie ten cichy, ale soczysty szmer przy obracaniu elementów kostki. Kiedy Benedykt Cramer objął mnie ramieniem, czułam się dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy każdy z sześciu boków mojej kostki miał jeden z sześciu jednolitych kolorów. To była magia.

Robin zadaje sobie wiele trudu, żeby rozprowadzać krem w możliwie erotyczny sposób. Chyba naprawdę powinnam się cał-



kowicie skupić na tu i teraz. Na przykład na tym, dlaczego komórka Soni od dobrej godziny nie wydała żadnego pierdnięcia.

Robin zauważył moje ukradkowe spoglądanie na telefon.

- Jesteśmy za daleko od brzegu, żebyś miała zasięg. Miłe, co? Nareszcie żadnych telefonów i żadnych SMS-ów. Już się obawiałem, że nigdy nie zostaniemy sami.

Robin kładzie się bardzo blisko mnie. Właściwie to prawie leży na mnie.

Mnie jednak ani w głowie odprężenie, nie mówiąc już o podnieceniu seksualnym. Za wszelką cenę muszę złapać zasięg! Obojętne, jakim sposobem. Inaczej sprawy z Robinem zajdą za daleko. Już zaczął się męczyć przy zapięciu góry mojego kostiumu.

- Wygląda na to, że bez kodu cyfrowego nie mam szans tego rozpiąć.

Oczywiście byłoby całkiem w porządku, gdybym się z Robinem przespała. Jakkolwiek by na to spojrzeć. Mój facet obściskiwał się z inną i prawdopodobnie zechce się z nią spotkać w niedzielę,

a wtedy z pewnością doszłoby między nimi do ostateczności. To znaczy, gdyby ona jeszcze chciała się z nim spotkać. Tak więc na pewno by mnie zdradził, gdyby tylko mógł. Teraz nadarzała się okazja, żeby zdobyć fory, których on już nie zdoła nadrobić. Przy czym istnieje bardzo duże prawdopodobieństwo, że odbyty tu stosunek płciowy miałby charakter małostkowy i rozpaczliwy. Dokładniej rzecz biorąc, miałby charakter tego, co w rozmowach z przyjaciółkami zwykłam nazywać „rozpaczliwcem” czy też „bzykiem na doła”.

Ben może i obściskiwał się z Sonią, ale nie jest gotowy na więcej i nie chce spotkać się z nią w niedzielę. To by było nawet fajnie. Mogłabym namiętnie i bez kompleksów przejść z Robinem do czynu, a potem twierdzić, że czułam się niejako opuszczona przez Bena. Nie musiałabym więc nawet mieć wyrzutów sumienia. Albo co najwyżej tylko na własny użytek, bo przecież poza mną nikt by nie wiedział, że przechwyciłam wiadomość od Bena. Tak by mi najbardziej pasowało.

Absolutnie jednak nie do zaakceptowania jest sytuacja, że na Lady Harmony dochodzi do aktu płciowego, przy którym nie wiedziałabym nawet, jak mam się czuć: zrozpaczona czy usprawiedliwiona? Wygrałam czy przegrałam? Jestem kobietą upokorzoną, która w ramionach młodego kochanka szuka krótkotrwałego zapomnienia? Czy raczej jak najbardziej pożądaną kobietą, która w ramionach młodego kochanka szuka odmiany, aby w niedzielny wieczór nabrać pewności, że jednak nie ma na świecie nic lepszego niż w towarzystwie tego, którego naprawdę kocha, zajadać spaghetti arrabiata z kradzionym parmezanem, a potem siedzieć z nim na kanapie i oglądając kolejny odcinek serialu *Tatort*, głaszać go po karku, aż zacznie mruzczeć?

W każdym razie musiałam szybko na coś się zdecydować, zanim opadną ze mnie skape fatałaszkki. Nawet jeśli miałyby to oznaczać powiedzenie Robinowi całej prawdy. Czyli powiedzenie mu, że wszystko, co mówiłam dotąd, jest prawdą.

- Robin, wiesz co...
- Poczekaj, poczekaj, już prawie mi się udało.
- Nie, nie, muszę z tobą o czymś porozmawiać.
- Nie martw się, zadbałem o prezerwatywy.
- Chodzi o coś innego.

- No a o co? - Robin nadal majstruje przy zapięciu od bikini i należy się obawiać, że w każdej chwili może rozwikłać jego tajemnicę.

Siadam i zdecydowanym gestem przesuwam dłonią po mojej nowej fryzurze. Wciąż jestem troszkę urażona, choć prawdę mówiąc, niezbyt zaskoczona, że Robin jak do tej pory ani słowem nie wspomniał o moim nowym uczesaniu, nowych stopach czy rozpieszczonej kawiorową maseczką skórze. A na przykład niestety od razu zauważył niezliczone bąble od ukąszenia komarów pokrywające niemal wszystkie obciągnięte skórą części mojego ciała. Jest to zresztą, jak sądzę, jeden z powodów, dla których Ben tak lubi wyjeżdżać ze mną na urlopy: tam gdzie ja się pojawiaję, w promieniu dziesięciu kilometrów wszyscy inni mogą przestać obawiać się komarów. Próbowалам już wszystkiego: spryskiwałaм się obficie różnymi wysoce trującymi chemikaliami, tak że w zasadzie powinno się mnie utylizować jak śmiertelnie skażone odpadki. Kupiłam sobie moskitierę w sklepie survivalowym - co miało ten skutek, że pewnej ciemnej nocy niemal ze skutkiem śmiertelnym się w nią zaplątałam. Ben musiał mnie potem uwalniać i dopiero

po kilku kieliszkach tokaju - byliśmy wtedy nad Balatonem na Węgrzech - byłam psychicznie w stanie położyć się z powrotem do łóżka. Następnego dnia wyglądałam jak taka słodka bułeczka z kruszonką w wydaniu najbardziej lubianym przez dzieci: mała bułki, dużo kruszonki.

- Robin, wiesz, to chyba jednak nie jest najlepszy moment...

Spoglądałam zmieszana na wyraźnie widoczne wybrzuszenie w jego slipkach. Że też te nowomodne kąpielówki muszą być zawsze takie obcisłe. Dawniej faceci nosili szorty. W środku mogło się dziać nie wiadomo co, a na zewnątrz nic nie było widać. Patrząc na tę jego erekcję, czuję się tak, jakbym patrzyła na celujący we mnie w groźnym geście palec. Znalazłam się w niezbyt przyjemnej sytuacji i tak sobie myślę, że nazwa tego jachtu, Lady Harmony, pewnie nigdy wcześniej nie była mniej odpowiednia niż właśnie teraz.

- Chodzi po prostu o to, że wiesz, no, ja za wszelką cenę muszę mieć zasięg.

Robin patrzy na mnie kompletnie zbaraniały.

- Wiesz co? Bardzo lubię te twoje historyjki, ale nie sądzisz, że trochę przegiełaś? Jeśli nie masz ochoty się ze mną przespać, to możesz mi to powiedzieć w inny sposób.

No pięknie, teraz się jeszcze do tego wszystkiego obraził. Zawsze powtarzam, że z facetami, którzy mają erekcję, nie ma żartów. Oni zaraz wszystko biorą do siebie.

- Nie, to wcale nie o to chodzi. Po prostu ja przez cały czas mówiłam ci prawdę. I ta komórka naprawdę należy do kobiety, która całowała się z moim facetem i która już go nie chce. A teraz akurat czekam na SMS-a.

- Przez cały czas mówiłaś mi prawdę? Dlaczego? - Robin patrzy na mnie ze złością i podziwem. Dla dopełnienia obrazu wspomnę tylko, że już żaden palec nie celuje we mnie w groźnym geście.

- Chciałam, żebyś mnie poznał naprawdę. A poza tym nie za dobrze mi wychodzą kłamstwa, rozumiesz. No więc po prostu udawałam, jakby to, co prawdziwe, było wymyślone. W ogóle to moje życie nie jest aż tak strasznie nudne, żebym sobie koniecznie musiała wymyślać nowe.

Cisza, która potem zapadła, zdecydowanie nie była tego rodzaju, którą człowiek się napawa i może zinterpretować jako milczące porozumienie.

- Czyli naprawdę mieszkasz u ciotki w Cala Llamp? I wygrałaś ten nocleg w Mardavallu i tam poznałaś kobietę, która zakochała się w twoim facecie, co do którego nie do końca jesteś pewna, czy jeszcze chcesz z nim być?

- Tak, to znaczy nie. W tej chwili znowu już jestem pewna, że chcę z nim być. Jeśli oczywiście on mnie jeszcze chce. A tego mogę się dowiedzieć tylko i wyłącznie wtedy, kiedy zrobisz coś, że bym miała zasięgnąć.

- To jaka w takim razie jest w tym wszystkim moja rola, jeśli wolno wiedzieć?

Ojoj, teraz trzeba koniecznie wypaść wrażliwie i wiarygodnie.

- Najważniejsza. Co najmniej przez dwa pełne dni byłam w tobie zakochana. I gdyby nie to, że jestem... no wiesz, to bez zastanowienia popłynęłabym z tobą do Algarve. Mówię szczerze.

A ponieważ rzeczywiście jest to szczerza prawda, mam nadzieję, że również wyglądam tak, jakby w ogóle nie było w tym cienia

kłamstwa. Niestety ze mną nigdy nic nie wiadomo. Modłę się, żeby tylko Robin się naprawdę nie rozgniewał. Nie mam pojęcia, do czego zdolny jest młody mężczyzna, kiedy ktoś urazi jego godność. Oczami wyobraźni już widzę ten nagłówek w „Mallorca-Magazin”:

„BRATANICA GESY MATUSCHKE POĆWIARTOWANA NA POKŁADZIE LADY HARMONY I WRZUCONA NA POŻARCIE RYBOM. ZOSTAŁY TYLKO STOPY”.

Robin wygląda na tak zakłopotanego, że z miejsca budzi we mnie odruchy macierzyńskie. W ostatniej chwili udaje mi się powstrzymać przed uszczyptnięciem go wzorem włoskiej mamy w policzek i powiedzeniem: „Nie przejmuj się, chłopcze, jest wiele innych matek, które mają piękne córki”.

- No dobra, to chyba musimy to wszystko jakoś przywoicie zakończyć, prawda? Na początek podpłynę gdzieś, gdzie będziesz miała zasięg. Dzisiaj na tym przedślubnym party poznam przecież tę tajemniczą kobietę, która obściskiwała twojego faceta. A jutro masz mnie zabrać na swoje przyjęcie. Absolutnie nie chciałbym przegapić tego, co się będzie działo między tobą a tamtą kobietą, która już nie chce twojego faceta. Skoro wyszedłem na nieudacznika, to przynajmniej chciałbym zobaczyć wszystko do końca. A jeśli będziesz miała ochotę, to jutro możemy sobie zrobić rejs pożegnalny na Lady Harmony, zanim odstawię cię na twoje wielkie pożegnalne party.

- Bardzo mi się to podoba. Wielkie dzięki. I wcale nie jesteś nieudacznikiem, bo to mnie przypadła w udziale ta rola.

Całuję go w usta. Bez języczka oczywiście. To już nie ten moment.

Właściwie szkoda.

Dobra wiadomość brzmi: Znalazła się moja walizka. Stoi przy moim łóżku i emanuje z niej coś nieprawdopodobnie uspokajającego. Otwieram ją i powoli wyjmuję jedną rzecz po drugiej. Każde majtki witam jak dawną koleżankę ze szkoły, której nie widziałam od balu maturalnego. Letnią sukienkę wieczorową wieszam z czułością na wieszaku. Niech się trochę przewietrzy, zanim będę musiała spakować ją z powrotem. Kiedy Robin będzie mnie zabierał na pożegnalny rejs Lady Harmony, chcę już mieć ze sobą rzeczy na wieczorną imprezę.

To bardzo miłe uczucie dotykać własnych ubrań, patrzeć na znajome rzeczy. Kładę na nocnym stoliku *Powiedzmy, Gantebain...* Frischa. Odnoszę wrażenie, jakbym była zupełnie inną osobą, kiedy wkładałam książkę do walizki. Zdecydowaną za wszelką cenę coś przeżyć. A teraz przeżyłam już więcej, niżbym sobie życzyła. Zostawiłam za sobą swojskość, zwyczajność. Czy to był błąd? Warto czasem pojechać do niektórych miejsc tylko po to, by się przekonać, że wcale nie są takie piękne, jak sobie wyobrażaliśmy. Dzisiaj będę świętować pożegnanie. Z czym? Spoglądałam przez okno na morze. Bardzo będzie mi tego brakowało: spoglądania przez okno i myślenia, że wszystko jest jeszcze możliwe.

Wzdłuż linii horyzontu pędzi po morzu waverunner. Tak mi się przynajmniej wydaje. Wczoraj podczas ucieczki zgubiłam szkła kontaktowe. I to w dodatku te w kolorze Royal Blue. Nic nie szkodzi. Na nikim już nie muszę robić wrażenia. Czas na szkła bezbarwne. Na tarasie pod moim oknem siedzą Gesa, Cora i Sonia.

Od czasu do czasu dobiega do mnie jakieś zdanie, daje się też słyszeć szloch.

- Dziewczęta, zrobiliście dokładnie to, co trzeba!

To Gesa. I ma rację: zrobiliśmy dokładnie to, co trzeba. Wielką dramatyczną scenę we właściwym momencie.

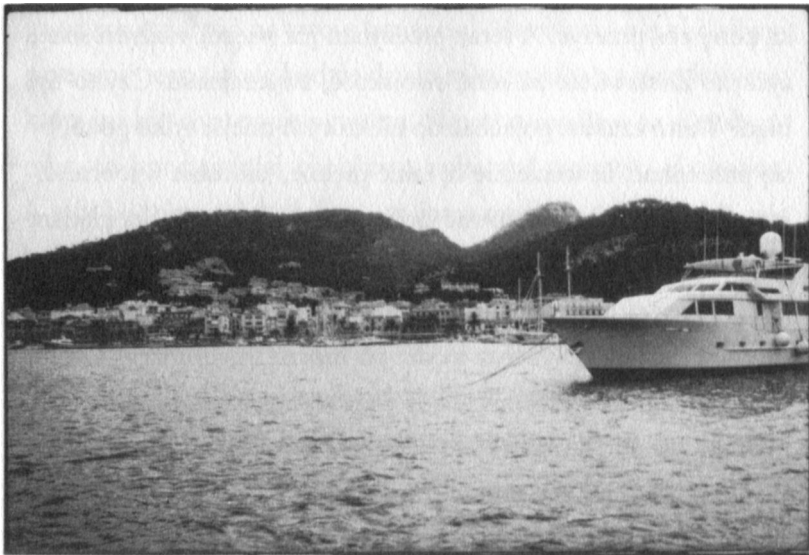
Było to straszne.

Było to tragiczne.

Było to niezapomniane.

Było to wspaniałe!!!

Robin odebrał nas tuż przed ósmą w porcie Andratx. Czułam się niemal jak dumna właścicielka, oprowadzając Sonię i Corę po Lady Harmony. Jacht był przystrojony lampionami, na pokładzie rozstawiono stoły z jedzeniem, do obsługi gości wynajęto trzech kelnerów. Oczywiście nie omieszkałam zwrócić Corze i Soni uwagi na muskulaturę ud Robina. Chociaż tak ofiarnie z niego rezy-



gnowałam, chciałam przynajmniej poszpanować tym, co mogłabym mieć.

Sonia zareagowała moim zdaniem małostkowo.

- Słodziutki, ale nie sądzisz, że trochę za młody?

- Za młody na co? - spytałam cierpko. - A poza tym jest bardzo dojrzały duchowo.

Modliłam się w duchu, żeby żadna z nich nie miała okazji zde-maskować tego kłamstwa.

- Czułabym się nieswojo, idąc z takim do łóżka - powiedziała Cora. - Miałabym poczucie, że jestem pomarszczoną śliwką, i cały czas tylko bym uważała, żeby skutecznie ukryć przed nim przynajmniej te najtragiczniejsze rejonny ciała.

Skinęłam głową ze zrozumieniem. Już kilka lat temu obiecałam sobie, że seks z równolatkami i młodszymi tylko nocą i po ciemku. Benni jest ode mnie sześć lat starszy i każdą nową oznakę starzenia się u niego witam z wielką pompą. Jemu się wydaje, że się z niego naśmiewam, kiedy z czułością liczę kolejne fałdki pod jego pośladkami. A tymczasem z każdą jego zmarszczką kocham go coraz bardziej: im starzej on wygląda, tym młodsze sprawiam przy nim wrażenie.

Sonia spytała Robina o pana młodego.

- To jeden z synów właściciela jachtu z pierwszego czy trzeciego małżeństwa. Zgarniamy teraz całe towarzystwo z Portals Nous i będziemy z nimi pływać tak długo, aż się wszyscy nawalą. Cała filozofia.

Pół godziny później wszystkie trzy, czyli Sonia, Cora i ja, zeszyliśmy pod pokład, porównaliśmy swoje szminki, wymieniliśmy doświadczenia na temat tuszu do rzęs, czatów i męskich pośladków

i zaczęłyśmy nasłuchiwać, co tam się nad nami dzieje. Zamierzałyśmy wmieścić się między gości dopiero później. Nie byłyśmy przecież zaproszone i wołałyśmy, żeby weselne towarzystwo trochę się ubzdryngoliło, zanim wynurzymy się z podziemi.

Sonia nałożyła sobie srebrzysty cień do powiek.

- Też bym chciała wyjść za mąż. No bo wyjść za mąż to jak znaleźć miejsce parkingowe pod samym domem. Jak już się je dorwało, nie warto od razu odjeżdżać. Co o tym sądzisz, Cora? Ty tu jesteś fachowiec.

- Może to i głupio zabrzmie, ale małżeństwo ma w sobie coś uspokajającego. Oczywiście każda z nas wie, że co drugie małżeństwo się rozpada, ale człowiek zawsze sobie myśli, że jego to nie dotyczy. Poza tym, szczerze mówiąc, zawsze uważałam, że być rozwiedzioną jest o wiele lepiej niż niezamężną. Sorry, że tak mówię, ale moim zdaniem każda kobieta do czterdziestki powinna co najmniej raz wyjść za mąż.

My z Benem nigdy jeszcze nie rozmawialiśmy o małżeństwie. Hm, nie, to nie do końca tak. Rozmawialiśmy o tym dokładnie jeden raz. Była to rozmowa, którą do dzisiaj bezskutecznie staram się wyprzeć z pamięci.

- No, Anabelle, a twój ukochany przymierzał się już, żeby zaciągnąć cię do ołtarza?

- Nieee, skąd. Wiecie co, spróbuję się zakraść na górę i spytać, czy możemy się już pokazać.

Ten temat mi nie leży. Gadanie ze świeżo poślubioną i świeżo zakochaną o zaletach zamażpójścia wydało mi się jednak zbyt bolesne jak dla mnie, prawdopodobnie świeżo porzuconej. To zupełnie tak, jakby w towarzystwie żywej Cindy Crawford cwi-

czyć fitness do jej kasety wideo. Aż taką masochistką to ja nie jestem.

Wytknęłam głowę na pokład. Stało tam ze trzydzieści osób i plądrowało stoły z jedzeniem.

- No i jak? Gotowe tam na dole?

Zauważył mnie Robin.

- Możecie już wyjść na górę.

- No to mi chociaż powiedz, którzy to przyszli państwo młodzi.

- Ta w różowym to panna młoda. Pan młody stoi obok niej po lewej.

- OK, rozumiem. Zejdę na chwilę na dół i zorientuję się, czy w ogóle wyjdziemy na górę.

- O co znowu chodzi?

- Wyjaśnię ci później.

Nabrałam głęboko powietrza. Zaraz rozpęta się piekło.

- Ale czy jesteś na sto procent pewna? - Cora spytała mnie o to po raz czwarty.

- Bardzo mi przykro, ale nie mam wątpliwości.

- Nie, przecież to niemożliwe!

Tusz do rzęs już całkowicie spłynął Soni po policzkach. Naprawdę było mi jej żal - poważnie! I byłam maksymalnie wkurzona. W końcu to nie tylko godność Soni została tutaj zbrukana, o nie, wdeptano w błoto godność wszystkich kobiet!

- Przestań się mazać!

Nie chciałam, żeby to tak ostro zabrzmiało. Chodziło mi tylko o to, żeby Sonia poczuła gniew, zamiast użalać się nad sobą.

- Zastanówmy się, co możemy teraz zrobić.
- Co możemy zrobić?! Ja na pewno będę siedziała tu na dole, dopóki to zakichane przyjęcie się nie skończy, a potem się wynoszę!

Tym razem wtrąciła się Cora.

- Zwariowałaś? Nie ma mowy. Nie będziesz się tutaj ukrywała. Natychmiast wszystkie idziemy na górę!

- I co dalej?

Po kilku koktajlach cuba libre nasz plan był gotowy. Cora miała zadbać o pojazd, którym uciekniemy. Ja znałam rozkład pokładu i miałam towarzyszyć Soni. Kiedy sprawdziłyśmy zegarki, poczułam się jak na filmie *Aniołki Charliego*. To, że Cora nie miała zegarka, było bez znaczenia - czasem liczy się sam gest.

- Cora, pójdziesz pierwsza i przygotujesz ponton. My pojawiemy się później, po wykonaniu misji.

Starałam się utrafić mniej więcej w ton głosu mojej nauczycielki z podstawówki, kiedy zadawała nam lekcje: spokojny, rzeczowy i nieznoszący sprzeciwu.

Kilka minut później popychałam Sonię schodami w górę.

- Dasz radę. Masz być wściekła. Masz wszelkie powody. Na górze odegrasz scenę, której żadna z zebranych tam osób nie zapomni do końca życia. Obiecaj mi to, rozumiesz?

Sonia skinęła głową, odetchnęła głęboko i wyszła na pięknie rozświetlony pokład, który rozpościerał się przed nią niby scena. Wyglądała urzekająco, kiedy tak długim krokiem szła w jego stronę. W takiej scenie słuszny wzrost w połączeniu ze znaczną niedowagą i długimi rozwianymi włosami wychodzi tylko na dobre.

Ja trzymałam się z tyłu. Cora zdążyła przygotować ponton. Miałam nadzieję, że uda jej się w odpowiednim momencie uru-

chomić silnik. Byłoby idiotycznie, gdybyśmy zamiast zaplanowanego przez nas spektakularnego finału skończyły, oddalając się w żółwym tempie na pagajach.

Serce mało nie wyskoczyło mi z piersi. Miałam nadzieję, że Sonia dobrze odegra swoją rolę. Stanęła właśnie dokładnie naprzeciw niego i tak głośno, że zamilkły wszystkie rozmowy, powiedziała:

- Witaj, skarbie.

Henning gapił się na nią zbaraniały. Widać było po nim, że przez najbliższe chwile nie zdoła wydobyć z siebie głosu. Panna młoda stała obok niego i też wyglądała na lekko zdziwioną.

- Nie mogłam sobie odmówić przyjemności złożenia ci życzeń z okazji ślubu. Wczoraj w nocy jakoś mi to wyleciało z głowy. Pewnie byłam zbyt zajęta udawaniem orgazmu.

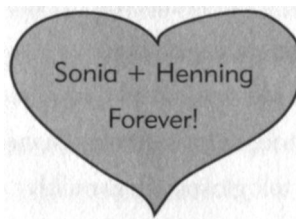
Sonia chlusnęła Henningowi koktajlem cuba libre w twarz, cisnęła mu kieliszek pod nogi, niezwykle wprawnym ruchem ściągnęła sukienkę przez głowę i rzekła do panny młodej:

- Myślę, że pismo powinno być pani znajome. Bardzo mi przykro z tego powodu, ale może jednak powinna się pani jeszcze zastanowić.

Sonia odwróciła się i ruszyła majestatycznie w stronę pontonu ubrana tylko w buty na wysokich obcasach i stringi. Wszyscy



gapili się na jej plecy. A na nich w obwódce w kształcie dużego serca widniały słowa:



Ciotka Gesa poklepała pociągającą nosem Sonię po rękę.

- Wspaniale to pani zrobiła, naprawdę wspaniale. Jeszcze po wielu latach będzie to pani z dumą wspominać.

- Tak pani myśli? Ale przecież zrujnowałam czyjeś małżeństwo, zanim jeszcze zostało zawarte. Takich rzeczy się chyba nie robi, prawda?

- Ależ, drogie dziecko, a któż powiedział, że tych dwoje mimo wszystko jednak się dzisiaj nie pobrało? Lepiej niech pani nie ma niepotrzebnych wyrzutów sumienia. Ja tam na miejscu panny młodej nie byłabym taka drobiazgową.

Poczułam się jednak w obowiązku zabrać w tym momencie głos.

- Zaraz, zaraz, a na czym miałyby niby polegać ta drobiazgowość? Przecież on ją zdradzał dwie noce przed ślubem!

- To jak najbardziej zrozumiwały moment na zdradę. On jest w panice, ponieważ za dwa dni będzie żonaty. Boi się, czy podjął słuszną decyzję. To całkiem normalne. A poza tym ma świadomość, że nie złamie jeszcze przysięgi małżeńskiej, kiedy prześpi się z inną. Tak więc jest to zwyczajnie ostatnia okazja. A jeśli w dodatku napotyka na takie ułatwienia - cóż, ja tam rozumiem tego młodzieńca. A jego narzeczona, jeśli tylko jest dostatecznie rozsądna, z pewnością też tak do tego podejdzie.

Patrzyłyśmy na Gesę z wyrzutem. Ona jednak wzruszyła tylko obojętnie swoimi klekocącymi ramionami.

- No nie, pani Soniu, naprawdę, niech pani nie zaczyna znowu z tym płaczem. Takie rzeczy się zdarzają. Po prostu z pani skorzystał. Tak jakby z ostatniej stacji benzynowej przed autostradą.

Musiałam się opanować, żeby nie parsknąć śmiechem. Sonia natomiast nie wyglądała na zbyt podbudowaną porównaniem do stacji benzynowej. To, że Henning ją wykorzystał, było dla niej obraźliwe, ale już perspektywa, że być może nawet nie udało jej się tamtą sceną nie dopuścić do jego małżeństwa, załatwiło ją na amen.

- A ja myślałam, że ten dupek jest we mnie zakochany!

- Wykiwał panią. Mam nadzieję, że miała pani przynajmniej dobry seks. Komuś jeszcze serka?

Pokojówka zameldowała przybycie gościa. Był to Robin.

- Witam wszystkich. Anabello, tak właściwie to wszystko twoja wina.

Aż do tej chwili nie zdawałam sobie sprawy, że nawet jachtem można utknąć w korku. Nie ma możliwości ruszyć się ani do przodu, ani do tyłu, a motorówki policji przybrzeżnej krążą wokół nas jak muchy wokół krowiego placka. Nie mamy najmniejszych szans dotrzeć do domu Gesy punktualnie o ósmej, kiedy ma się zacząć moja pożegnalna impreza. Jeśli oczywiście w ogóle tam dotrzemy, bo w każdej chwili możemy wylecieć w powietrze.

I to mimo iż moje zapotrzebowanie na komplikacje i dramaty zostało zaspokojone na najbliższe kilka lat. Mogłabym już siedzieć sobie w małej, krytej strzechą chatce, przycinać róże, a wieczorami

przy kominku opowiadać moim nienarodzonym jeszcze w tej chwili dzieciom o swojej przeszłości, która od wczoraj jest nie byle jaka.

Robin niezwykle przekonująco uświadomił nam, że Sonia zupełnie niepotrzebnie rozebrała się do naga przy obcych. A wszystko z powodu moich permanentnych kłopotów z rozróżnieniem strony prawej od lewej. Kiedy ktoś mówi „z prawej”, muszę się długo zastanawiać, a i tak mam tylko pięćdziesięcioprocentowa trafialność. W tym wypadku tak się głupio złożyło, że akurat nie trafiłam.

Henning stał po lewej stronie panny młodej, pan młody po prawej. Henning był świadkiem! Kiedy odpłynęłyśmy, niektórzy goście nawet klaskali, bo byli przekonani, że byliśmy wynajętymi specjalnie na ten wieczór aktorkami. Ktoś nawet zawołał: „Nareszcie coś innego niż ciągle te głupie tańce brzucha”. To z kolei uraziło pannę młodą, która jako niespodziankę zaplanowała na później występy takiej tancerki.

Sonia wrzasnęła, że chce natychmiast umrzeć, bo jeszcze nigdy w życiu tak się nie zbłąźniła. Dopiero po jakimś czasie stopniowo zaczęło do niej docierać, że ten zawstydzający incydent ma też pozytywne strony.

- Zaraz, to znaczy, że Henning nie jest żonaty? Czyli że on być może naprawdę mnie kocha?

Robin pokiwał głową.

- Henning czeka u siebie w hotelu na wiadomość od ciebie. Moim zdaniem byłoby bardziej cool, gdybyś wybawiła go osobiście.

Sonia z miejsca zamówiła taksówkę, a co najważniejsze, z tego ogólnego przejęcia i szczęścia całkiem zapomniała się na mnie pogniewać oraz wziąć ode mnie swoją komórkę.

Dopiero teraz udało mi się spędzić z Robinem harmonijne godziny na Lady Harmony. Opalanie się, pływanie, gadanie. W którymś momencie spytałam kokieteryjnie, czy z nas w ogóle mogłaby być dobra para.

- Pewnie jednak nie - zakończyłam, licząc na jego sprzeciw.

- No, pewnie masz rację - odpowiedział Robin.

Obraziłam się i wyjęłam sobie coś do czytania. Przerzuciłam zaznaczone miejsca. Od dawna znałam je na pamięć:

„... tęsknota za pożądaniem; pakujecie walizki”.

A jeśli zrobi się coś takiego naprawdę? Spakuje walizki i podda tęsknocie? Czy to daje większe szczęście? Namietność zamiast miłości. I wciąż od nowa pojawiają się nowe pożądania. A wtedy człowiek jest już na zawsze w drodze. Tymczasem należy zostać tam, gdzie człowiek czuje, że jest na miejscu.

Wysokim łukiem cisnęłam książkę do morza. „Mam nadzieję, że pan umie pływać, panie Frisch”, pomyślałam sobie i postanowiłam, że jak tylko wrócę do domu, natychmiast pozbędę się mojej wagi informującej o procentowej zawartości tłuszczu oraz kremu przeciwzmarszczkowego. I jedno, i drugie tylko namieszało w moim życiu.

- Uwielbiam samotność na wodzie. Moim zdaniem morze to najczystsza forma natury, jaka w ogóle istnieje.

Udawałam, że zgadzam się z pogodnymi monologami Robina i że też napawam się pierwotną naturą. W rzeczywistości nie jestem specjalną miłośniczką przyrody. Oczywiście i ja parę razy w życiu głosowałam na Zielonych, protestuję przeciwko niszczeniu lasów i występuję w obronie wymierających gatunków. Ale nie bardzo lubię, żeby jakiś wymierający gatunek, na przykład mający



wiele owłosionych nóżek, łąził mi po szyi albo żeby zdrowy las wydawał odgłosy zbyt kojarzące się z *The Blair Witch Project*.

Natura w swoim naturalnym stanie raczej mnie przeraża. Wolę ją oglądać w albumach albo

z okien autobusów wycieczkowych. Na przykład pływając w morzu, cały czas boję się rekinów i głębinowych ośmiornic, nawet jeśli jestem na plaży nad Bałtykiem. Wolę chlor i dziecięce siuski w basenie. Tam przynajmniej człowiek nie musi się obawiać spotkania z jakimiś śmiertelnie niebezpiecznymi stworzeniami, dla których biologia nie ma jeszcze nazwy. OK, na basenie widok grubych nóg nie jest najprzyjemniejszy. Człowiek ma wrażenie, jakby patrzył na słoik ogórków. Ale ogórki przynajmniej nic człowiekowi nie zrobią.



Doceniam naturę w nieco przetworzonej formie. Potrawy też wolę takie, po których nie widać, że jeszcze niedawno były żywe. Dlatego uwielbiam mięso pieczone w panierce oraz tosty z nutellą. Kiedyś w jakimś gospodarstwie agroturystycznym na Węgrzech zaserwowali mi przygotowany w miejscowy sposób rosół z prawdziwej kury. W zasadzie nie skarzę się na brak apetytu, ale jednak

odechciało mi się wszystkiego, kiedy z otchłani mętnej zupy wyłowiłam kompletną kurzą nogę.

Samotności też specjalnie nie cenię. Dziwi mnie, co ludzie takiego wspaniałego widzą w przebywaniu tam, gdzie nie ma nikogo. W końcu chyba nie bez powodu takie miejsca są opustoszałe. Moim zdaniem jak jakiś region tego świata jest wart zwiedzenia, to na pewno przedsiębiorstwa turystyczne już go zagospodarowały. Tak jak na przykład w Camp de Mar na Majorce, gdzie mieszka Claudia Schiffer. Kiedyś nawet oglądałam przez lornetkę jej rezydencję.

Przy całej wrodzonej skromności zawsze jakoś potrafiłam sobie wyobrazić, że ja też mogłabym być sławna. Wiadomo, karierę supermodelki mogłabym brać serio pod uwagę tylko pod warunkiem, że już w wieku dwunastu lat przestałabym się odżywiać. Niemniej jednak z łatwością umiałam sobie wyobrazić, jak rozdaję autografy, jak ludzie ze wzruszeniem poznają mnie na ulicy i jak w eleganckich restauracjach zawsze znajduje się dla mnie najlepszy stolik, nawet bez wcześniejszej rezerwacji. Obawiam się, że tę szansę już przegapiłam. Jedyne, co mi ewentualnie pozostaje, to zostać sławną poprzez znajomość z kimś sławnym. Wiadomo, jest to sława drugiej klasy, ale i tak by mnie to zadowoliło. W końcu George Clooney też musi się kiedyś ożenić.

Pod żadnym pozorem natomiast nie wysłabym za Haralda Schmidta. Może zabrzmi to trochę za ostro, ale postawię sprawę jasno: Może sobie darować prośenie mnie o rękę! Bo on strasznie wielką wagę przywiązuje do swojego prywatnego życia. A wtedy jak tu zwrócić na siebie uwagę u jego boku jako jego żona? Jak tu wypożyczyć biżuterię Choparda na uroczyste bankiety? Jak pozyskać

panów Dolce i Gabbanę do urządzenia domu? Jak dostać propozycję z wytwórni płytowej, nie zaśpiewawszy ani jednego dźwięku?

Harald Schmidt prawie w ogóle nie chodzi na bankiety i podaje paparazzich do sądu. Kto wie, może nawet nie pozwoliłby swojej partnerce, żeby stylowo rozebrała się dla „Playboya”? Zupełnie nie mogę pojąć, jak współczesna kobieta może się jeszcze dzisiaj godzić na takie patriarchalne zagrywki? To samo zresztą dotyczy żony Joschki Fischera. Biedne stworzenie marzące w jego cieniu.

Wzorowymi kandydatami natomiast są Dieter Bohlen i aktor Heiner Lauterbach, którzy bez przerwy dbają, żeby ich partnerki życiowe miały albo dzieci, albo własne programy w telewizji.

Prawie dopłynęliśmy Lady Harmony z powrotem do Andratx, kiedy nagle pojawił się nad nami śmigłowiec i przez megafon poproszono nas o zastopowanie silnika.

Robin przemytnikiem narkotyków? A może to poszukiwany międzynarodowym listem gończym oszust matrymonialny? Ze swoim szczęściem musiałam być przygotowana na wszystko.

Robin otrzymał wskazówki przez radio.

- Co się dzieje?

- Gdzieś tu podobno dryfuje jakaś mina morska z drugiej wojny światowej. Niedługo mają się pojawić saperzy z marynarki wojennej. Do tego momentu wejście do portu jest zamknięte.

Jakież to dojmująco nieprzyjemne uczucie siedzieć na jachcie, który w każdej sekundzie może wylecieć na minie. Cieszyłam się, że mam jeszcze ważne rzeczy do zrobienia, bo dzięki temu miałam czym odwrócić swoją uwagę.



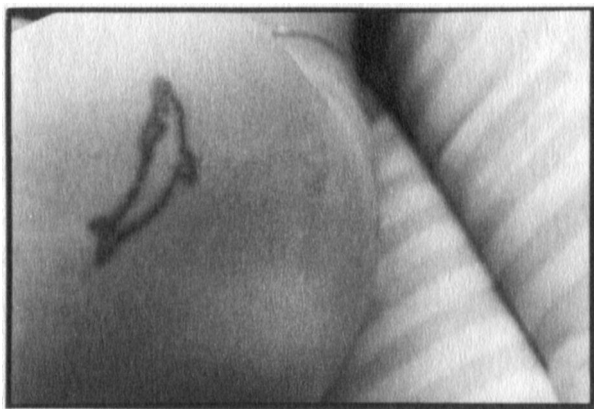
Kobieta znajdująca się w niebezpieczeństwie przede wszystkim musi być dobrze ubrana. Wyjęłam moją wieczorową sukienkę na dzisiejszą imprezę: czarna, do kolan i lekko wcięta w tali. Do tego będę miała czerwone sandały na wysokich obcasach, żeby wyeksponować moje świeżo wypedikiurowane stopy. To dla mnie całkiem niezwykle uczucie, że nie muszę się wstydzić moich palców u stóp. Przy czym muszę dodać, że spalone na brąz przypominają z lekka paróweczki koktajlowe.

Dlaczego?

Dlaczego zawsze ja?

To już naprawdę wystarczająco uciążliwe, że zmuszona jestem przebierać się na rozkołysanym jachcie znajdującym się w bezpośredniej bliskości niebezpiecznej miny morskiej. A tu jeszcze to!

Przyglądam się sobie w lustrze i płakać mi się chce. Wyglądam jak słoń w wieczorowym stroju chomika. Moja suknia, moja



cudownej piękności suknia, którą nabyłam na letniej wyprzedaży w zeszłym roku, już na mnie nie pasuje. Widocznie wyparłam ze świadomości fakt, że po raz ostatni miałam ją na sobie zeszłej jesieni, kiedy to jeszcze paliłam trzydzieści papierosów dziennie i gardziłam kobietami, których uda ocierają się o siebie przy chodzeniu. Tuż po świętach moja talia zniknęła tak nagle, że nie miałam nawet okazji się z nią pożegnać. Pewnego ranka wstałam z łóżka i talii już nie było. A ja wyglądałam jak słup ogłoszeniowy.

Poza tym wyparłam też ze świadomości fakt, że mój tatuaż - malutki delfinek na prawym pośladku - przez ostatnie pół roku rozszedł się trochę razem ze mną, rozrastając się do rozmiarów płetwala błękitnego.

Zresztą delfinek nie był majstersztykiem. Zakochani - nie pamiętam już nawet, kim on był - i dość mocno zamroczeni alkoholem wtoczyliśmy się do jakiegoś studia tatuażu przy hamburskiej Reeperbahn. Na dowód naszej miłości, która zaczęła się ledwie pół godziny wcześniej, każde z nas chciało sobie wytatuować na pośladku delfinka o zachodzie słońca. Po pierwszych ukłuciach

byłam już dostatecznie *trzeźwa*, żeby zauważyć, że mój tatuażysta jest najprawdopodobniej uczniem, który w dodatku nie zdążył przyuczyć się do zawodu. Kiedy po raz siódmy usłyszałam, jak mówi „ups!”, poprosiłam go, żeby jednak zrezygnował z zachodu słońca.

Tego kolesia, w którym byłam wtedy tak szaleńczo zakochana, dzisiaj poznałabym pewnie tylko wówczas, gdyby był bez spodni.

Nigdy wcześniej tak bardzo nie żałowałam rzucenia palenia jak właśnie dziś. Jak ja się pokażę na mojej pożegnalnej imprezie? W szortach w kwiatki i w górze od kostiumu? Czy jest jakaś szansa, że znajdę w którejś z rozlicznych szaf pod pokładem coś, co nadawałoby się dla mnie do włożenia?

- Robin, mam mały problem.

- Bez obawy, nurkowie już są. Zaraz pewnie będzie po wszystkim.

- Nie o to chodzi. Nie mam co na siebie włożyć.

Robin patrzy na mnie, jakbym powiedziała coś niezwykłego.

- Nie udało mi się jeszcze poznać kobiety, która chociaż raz nie wypowiedziałaby tego zdania. Ale też nie udało mi się jeszcze poznać kobiety, która by wypowiedziała to zdanie w takiej sytuacji. Możesz sobie coś wybrać z którejś szafy. Tyle że czwarta żona właściciela miała lat dwadzieścia i była trochę, hm... drobniej-sza od ciebie. Ale chyba muszą tu jeszcze być rzeczy po jego trzeciej żonie. Te powinny być na ciebie dobre.

Odkryłam tajemnicę bogatych kobiet. One wcale nie są takie szczupłe. One tylko mogą sobie pozwolić na sukienki, które są tak dobrze skrojone, że spokojnie gubią dwa, trzy kilogramy.

Oglądałam się w lustrze i widzę kobietę o idealnej wadze. Trochę to trwało, zanim wybrałam coś odpowiedniego. To nie do wiary: trafiałam na spódniczki mniejsze od chusteczek do nosa. Widziałam spodnie, w które spokojnie mogłabym włożyć rękę i robiłyby za ubranko dla pacynki. Kim była ta młoda żona właściciela jachtu? Embrionem?

Jego garnitury z kolei były wielkości rodzinnego śpiwora. Nie raz się już zastanawiałam, jak to możliwe, że tacy starzy, grubi faceci nie wstydzą się chodzić do łóżka z młodymi, chudymi kobietami. Czy oni się nie boją, że coś im uszkodzią?

Sukienka jest zupełnie jak uszyta dla mnie. Nareszcie coś, co pasuje do mojej hamburskiej torby na zakupy! Nareszcie ja w sukience od Gucciego! Mój biust wygląda, jakby był duży, moje uda, jakby były wąskie, a moje pośladki, jakby były jędrne. Halka w kolorze szampańskim połączona z biustonoszem push-up i wzmocnieniem talii zmienia mnie w perfekcyjnie zaokrągloną kobietę. Tej sukienki nie zdejmę do końca swoich dni!

W tym miejscu drobna rada: tylko modelująca figurę bielizna naprawdę modeluje figurę. Próbowałam już wszystkiego: żelów ujędrniających, których w końcu zaczęłam używać do układania włosów, masujących szczotek, zimnych biczów wodnych, regularnego masażu szczypaniem - wszystko na darmo. Sprawiałam sobie nawet urządzenie do likwidowania cellulitu. Straszliwa maszyna, która łapczywie przysysała się do moich ud, tak że wrzeszczałam z bólu, a po zabiegu miałam nie tylko cellulit, ale jeszcze parę brzydkich siniaków.

- Popatrz! Właśnie wyjmują ją z wody!

Kiedy zobaczyłam się w lustrze, kompletnie zapomniałam o pływającej minie. Dostojnym krokiem, jakim chodzimy my, kobiety, które mogą sobie pozwolić na obszytą czarnymi cekinami suknię od Gucciego, udałam się w stronę rufy. Właśnie podnoszą groźny przedmiot z wody. Ktoś może jeszcze pamiętać nagłówki w bulwarówkach z tego okresu: „Najgłupszy Niemiec: jeden z urlopowiczów wziął wypełnioną wodą prezerwatywę za morską minę!”.

- Czemu po prostu nie zadzwonisz do tego swojego faceta?
- Razem z Robinem jadę z portu jachtowego do domu ciotki Ge-sy. - No co jest? Zadzwon do niego i powiedz, że popełniłaś błąd. I powiedz mu też, że jutro wracasz i już nie możesz się doczekać wspólnego wieczoru.

- A jeśli on się zdecydował na Sonię?

- Bardziej nieszczęśliwa niż teraz być nie możesz. A kiedyś i tak będziesz musiała spojrzeć prawdzie w oczy.

Każę taksówkarzowi zatrzymać się przy Don Giovannim, bo muszę wyskoczyć do kibelka. Nie chciałam, żeby wyszło tak, że zjawiam się jako ostatnia na swoim pożegnalnym party i pierwsze, co robię, to idę do toalety. Zrobiło się ciemno i mnóstwo domów na wzgórzach jest oświetlonych. Wygląda to tak, jakby ktoś porzyciągał po okolicy niekończące się girlandy świateł. Widać pary spacerujące wzdłuż portu, po niektórych można poznać, że przyjechały z nadzieją odnalezienia na tym urlopie dawnej miłości. I że im się to nie udało. Inni z kolei trzymają się za ręce i wyglądają na szczęśliwych, ponieważ przywieźli miłość ze sobą.

W Don Giovannim wszystkie stoliki na powietrzu są zajęte. Kobiety mają suknie bez rękawów, żeby pokazać, jak bardzo się

opaliły i czego to się nie da osiągnąć, wykonując specjalne ćwiczenia hantelkami. Jakiś młody człowiek, może dwudziestoparoletni, ujmuje w dłonie twarz swojej przyjaciółki. Zupełnie jakby zamierzał się oświadczyć. Dostał najlepszy stolik, środek pierwszego rzędu. Może planował ten wieczór od wielu tygodni? Nie wygląda specjalnie atrakcyjnie. Pulchny, jak powiedziałyby ciotka Gesa. Z mocno cofniętym podbródkiem i czerwoną opalenizną.

Ona też nie jest specjalnie ładna, pucołowata z perkatym nośkiem wyglądającym jak gniazdko w ścianie. On jednak patrzy na nią tak, jakby była Miss World, i życzę mu, żeby odpowiedziała „tak”. „Każda potwora znajdzie swego amatora”, żartowałam sobie dawno temu, kiedy byłam jeszcze młoda i szczęśliwa.

Moim zdaniem ludzie, którzy się kochają, są zawsze piękni. Obojętne, czy będą grubi i pomarszczeni. Kiedy patrzy się na drugą osobę sercem, to zupełnie nie ma znaczenia, jak ona wygląda. Myślę, że w takim sensie ja z Benem też stanowiłam ładną parę. Ale teraz? Czy ja w ogóle jestem jeszcze częścią jakiejś pary? Chyba zwariuję. Jak ja w ogóle przetrzymam tę imprezę? Wybieram jego numer.

- Tu poczta głosowa Benedykta Cramera. Proszę zostawić wiadomość, a postaram się oddzwonić tak szybko, jak to tylko możliwe. Dziękuję.

Zaczynam mówić. Bez chwili zastanowienia. Jeśli już ma mnie zostawić, to niech przynajmniej wie, że ja nie chciałam go zostawić. Miałam zamiar tylko udawać, że tak. Głupia gęś.

- No nareszcie jesteście! Szanowni państwo, drodzy przyjaciele, oto moja zachwycająca bratanica Anabella!

Czuję się na schodach tarasu jak w jakimś show. Gdybym miała blond loki, mogłabym robić za Thomasa Gottschalka, który przy dźwiękach hymnu Eurowizji wchodzi do hali widowiskowej w Wilhelmshaven. Setki pochodni i świec rozświetlają ogród, a podwodne reflektory sprawiają, że basen wygląda jak błękitny diament. Rozchodzi się woń grillowanych krewetek i czosnku, kelnerzy w białych smokingach roznoszą wino i szampana. Coś takiego znam tylko z filmów, w których główny bohater jest arystokratą i wbrew woli rodziny zakochuje się w dziewczynie organizującej catering na jego wesele z córką nieprzyzwoicie bogatego przemysłowca. Szkoda, że nie jestem szczęśliwa. Bo teraz byłabym szczęśliwsza niż kiedykolwiek.

Widzę Robina zatopionego w rozmowie z jakimś starszym osobnikiem, który jest strasznie gruby i ma na sobie garnitur tak przerażająco brzydki, że od razu przypomina mi się mój terapeuta.

Na swoje usprawiedliwienie dodam tylko, że niezbyt długo chodziłam na terapię. Dokładnie rzecz biorąc, była to terapia par i trwała jedną sesję, czyli czterdzieści pięć minut.

Byłam świeżo po oddaniu przekładu angielskiej książki *Wszyscy jesteśmy neurotykami*, w której autor niezwykle sugestywnie wyjaśnił, dlaczego w tak zestresowanym społeczeństwie jak nasze dla każdego powinno być rzeczą oczywistą posiadanie swojego terapeuty. W książce było napisane, że szczególnie potrzebują terapii „osoby przeświadczone, że nie potrzebują żadnej terapii. Stoją one dosłownie na skraju przepaści. Jest rzeczą ważną, aby rodzina podjęła w takiej sytuacji dyskretne kroki mające na celu łagodne nakłonienie chorego do leczenia”.

Oczywiście natychmiast mnie to zaalarmowało. Od dawna przecież przypuszczałam, że Ben tylko dlatego ma tak mało problemów, że je wypiera. Od samego początku wydawało mi się podejrzane, kiedy twierdził, że moje problemy to jedyne problemy, jakie ma. Podjęłam zatem dyskretne kroki i na mikołajki podarowałam mu własnej roboty talon na trzy kwadransy terapii par. Nawet nie udawał, że się cieszy. Wreszcie udało mi się go namówić na wizytę tylko pod pretekstem, że sama rozważam poddanie się terapii i jest dla mnie istotne, żeby on też poznał mojego terapeutę.

- A po co ci właściwie ta terapia, Bello?
- No wiesz, tak ogólnie.
- Aha. A wiesz, może rzeczywiście ci się przyda.

Nietrudno się domyślić, że o mało wtedy nie wybuchłam. W ostatniej chwili się powstrzymałam, ponieważ wiedziałam, że mam do czynienia z człowiekiem chorym, który stoi na skraju przepaści.

Te czterdzieści pięć minut to była jedna wielka katastrofa. Już w poczekalni Ben zaczął marudzić, czemu nie ma żadnych porządnych czasopism, tylko jakaś „Psychologia Dzisiaj” i albumy ze zdjęciami Hamburga z powietrza.

Kiedy dr Roman Beier przyjął nas w swoim gabinecie, Benedykt Cramer w zasadzie nie odezwał się ani słowem. Muszę przyznać, że ja też byłam troszkę zdziwiona. Dr Beier, polecony, było nie było, przez moją dość poważną znajomą, był ubrany w marynarkę w wielkie zielone romby na musztardowym tle. Nie miałam pojęcia, że coś takiego można gdzieś legalnie kupić. Koszuła i spodnie były koloru biota, a stopy pan doktor miał obute w zdro-

wotne sandały ukazujące bosc, porośnięte kępami czarnych włosów palce.

Nie można powiedzieć, że on nie przykładał wagi do ubrania, nie, nie, to zestawienie musiało być wynikiem drobiazgowych starań. Doktor sprawiał wrażenie całkiem zadowolonego ze swojego wyglądu, co objawiało się między innymi tym, że na ścianie powiesił sobie wielkie lustro, w którym mógł się przeglądać. W gruncie rzeczy dr Beier prowadził terapię samego siebie. Kiedy jednak opuszczaliśmy gabinet, nie odniosłam wrażenia, by którekolwiek z nas trojga posunęło się bodaj krok do przodu. Już po dziesięciu minutach doktor zdiagnozował u Bena niebezpieczną awersję do rozmów o problemach. Ale czy którakolwiek z nas może powiedzieć, że nie ma faceta wykazującego niebezpieczną awersję do rozmów o problemach?

Mnie doktor uznał za egomankę i osobowość autoreferencyjną. Ach tak? Nie po to bulę siedemdziesiąt pięć euro, żeby mi ktoś mówił coś, o czym sama wiem od dawna. I czego wcale nie uważam zresztą za specjalnie złe. Lubię swoją egomanię.

Razem z Benem byliśmy zgodni, że nigdy więcej nie pójdziemy na żadną terapię, i muszę powiedzieć, że jakoś tak jeszcze silniej nas to ze sobą związało.

- Droga Anabelle, oto mężczyzna, który stał nie po prawej stronie panny młodej, tylko po lewej.

Przedemną stroi rozpromieniona Sonia trzymająca pod rękę Henninga. Henning odnosi się do mnie z lekką rezerwą, ale trudno mieć mu za złe ten sceptycyzm. W końcu pośrednio to ja jestem odpowiedzialna za to, iż wszyscy jego kumple są teraz przekonani,

że pierwszej nocy Sonia tylko udawała orgazm. W każdym razie nie widzę w tym momencie wielkich szans naprawienia tego faux pas. Nawiasem mówiąc, mogę się spokojnie założyć o stówę, że Sonia rzeczywiście udawała ten pierwszy orgazm. To raczej niezbyt odpowiedni moment, żeby ją o to pytać, ale z mojej prywatnej statystyki wynika jednoznacznie, że przy pierwszym kontakcie seksualnym osiemdziesiąt pięć procent damskich orgazmów jest udawanych. W końcu żadna z nas nie chce, żeby noc ciągnęła się bez końca, a poza tym partner ma zachować po nas dobre wspomnienia.

- Henning, wspaniale, że pan nas odwiedził. Strasznie przepraszam za to wszystko, co się stało, i naprawdę nie mam pojęcia, jak mogłabym naprawić tę moją idiotyczną pomyłkę.

- A ja mam pewien pomysł. Przejdźmy na ty. I zostań świadkiem na moim ślubie, jeślibym niedługo miał się żenić.

- To pan zamierza, znaczy, zamierzasz...?

- Dzisiaj po południu Henning mi się oświadczył. Czy to nie cudowne? I w zasadzie wszystko dzięki tobie.

Henning zaczyna mi wszystko po kolei wyjaśniać, cierpliwie i bardzo powoli, jakbym była kompletną debilką.

- Ten numer, który wykonała Sonia, całkowicie mnie powalił. Czuję na twarzy cuba libre, wszyscy pokładali się ze śmiechu, a ja uświadomiłem sobie nagle, że całe życie marzyłem o takiej właśnie kobiecie. Kobiecie, która ma odwagę i nie da sobie w kaszę dmuchać. Kobiecie, która okazuje swoje uczucia i ma swoją godność. I w dodatku ma najpiękniejsze plecy, jakie kiedykolwiek widziałem.

Uśmiechnęłam się dzielnie. Tego mi jeszcze brakowało: ja świadkiem na ślubie Soni! Czym sobie zasłużyłam na tę hańbę!

Założę się, że gdzieś tam w niebiańskim wydziale przydzielania dziwaczkich ciosów losu siedzi sobie trzech facetów, którzy turlają się teraz ze śmiechu i walą się rękami po udach. Jestem śmiertelnie nieszczęśliwa. Jak nie będę ostrożniejsza, to już wkrótce zostanę jedyną znaną mi kobietą bez męża. Straszna sprawa. No dobra, niby Mona też jest na razie singielką. Ale na odstrasżającym przykładzie Soni wyraźnie widać, jak szybko coś takiego może się zmienić.

Sonia i Henning całują się. Oświetleni blaskiem pochodni i świec wyglądają jak wzięci prosto z filmowej adaptacji książki Rosamundy Pilcher. Albo jakby kręcili reklamę prawdziwie lekkich w smaku czekoladek Raffaello.

Mam przez moment taką koszmarną wizję: wracam do Hamburga i nie mam nic do opowiedzenia poza tym, że w siedem dni zrujnowałam swój związek i musiałam patrzeć, jak moja najgorsza rywalka opuszcza wyspę jako panna młoda, a moja stara jak świat ciotka Gesa odnajduje miłość swego życia. Oczywiście nie żebym jej żałowała tego szczęścia - znaczy się ciotce.

Co do Soni, to oczywiście wcale się nie cieszę. I mówiąc szczerze cały czas mam jeszcze skrytą nadzieję, że Henning okaże się biseksualnym, poligamicznym kretynek o fiutku wielkości korniszona. Niemniej wszystko wskazuje na to, że wyjadę z Majorki przegrana na całej linii. Gdybym była politykiem, musiałabym teraz ustąpić ze swojego życia: niedotrzymanie obietnicy wyborczej!

Biorę się jednak w garść. Jestem teraz gościem honorowym, muszę się więc okazać godna mojej funkcji oraz fryzury.

Ktoś kładzie mi z tyłu dłoń na ramieniu. Odwracam się i w tym momencie jestem załatwiona na amen. Najlepsze dla mnie wyjście

to położyć się do łóżka i nie wstawać, zanim nie będę miała męża, domu z dwójką dzieci, labradorem i garderobą wielką jak stodoła. Oto przede mną stoi ciotka Gesa, trzymając za rękę tego grubego gościa w niewiarygodnej marynarce, która przypomniała mi o moim terapeutycie.

- Hermann, to moja bratanica Anabella. Anabello, to jest właśnie ten chrapiący grubas, który podbił moje serce!

Grubas wybuchając dobrotliwym dudniącym śmiechem i serdecznie przyciska mnie do piersi.

- Dziecko, strasznie się cieszę, że w końcu cię poznałem. Sukienka wspaniała. Mam takie wrażenie, jakby jedna z moich żon miała kiedyś podobną.

- Nic dziwnego, że przy tylu małżeństwach wszystko ci się zaczyna zajęczkować. No ale jednak fakt, że miałeś kiedyś żonę w rozmiarze powyżej 34, zdecydowanie przemawia na twoją korzyść.

- Boże wielki, kochanie, i ty to mówisz? Przecież sama jesteś taka chuda, jakbyś już od dawna nie żyła.

Hermann tak miłośniczo bierze Gesę w ramiona, że aż się zastanawiam, czy ona ma jakieś szanse wyjść z tej formy pieszczot bez pęknięcia żeber. Ona jednak wyłania się z jego objęć cała i zdrowa, cmoka mnie w policzek i nakazuje mi dobrze się bawić. Spoglądam za nimi. Stara młoda para zakochanych. Jakie to piękne, że obydwójce mają ten sam typ poczucia humoru, chociaż jest on dosyć osobliwy. Grunt to umieć się razem śmiać, a z czego - to w zasadzie nieistotne. A kiedy po chwili zaczynają się do tego wszystkiego obściskować jak nastolatki, odwracam głowę zawstydzona. Na tym cholernym świecie są chyba wyłącznie same zakochane pary.

Przypominam sobie, że Mona miała mi przysłać jakiegoś SMS-a. Z jej opinią na temat rutyny i przygody, długiej miłości i krótkiej pokusy.



Na mojej komórcie kopertka sygnalizująca nową wiadomość. Płaczę i śmieję się na przemian. Mona ma rację. Jeszcze jak ma rację. Oczywiście sama to wszystko wiedziałam od samego początku. Tylko że każda kobieta musi czasem wyprzeć to, co wie. Bo inaczej jak mogłaby powiedzieć o sobie z dumą: „Nie mogę się zdecydować, którego z nich wybrać”.

To było kłamstwo. A wszyscy mi uwierzyli. Osaczyli mnie. Raz jeszcze czytam SMS-a od Mony: „Nowa miotła dobrze miecie, ale za to stara zna wszystkie zakamarki”.

Wciskam „Skasuj wiadomość” i próbuję nie wyglądać tak fatalnie, jak się teraz czuję.

Robin wyciąga w moją stronę kieliszek z szampanem.

- Chyba ci nie najlepiej, co?

Kiwam głową i walczę ze sobą, żeby się nie rozpłakać. Doskonale umiem udawać, że wszystko u mnie w porządku, ale wystarczy, żeby ktoś chociaż troszkę podrażył, a już pękają wszystkie tamy. Zaczynam pochlipywać.

- Wszyscy naokoło są tacy szczęśliwi. To niesprawiedliwe!

Sama wiem, jak głupio to brzmi. Ale są takie chwile w życiu nieszczęśliwej kobiety, kiedy jest jej kompletnie i absolutnie wszystko jedno. Zresztą tyle już przeszłam z Robinem, że spokojnie mogę sobie pozwolić na coś głupiego. W końcu byliśmy już zakochani, całowaliśmy się, zostaliśmy przyjaciółmi i przeżyliśmy zagrożenie prezerwatywą. Takie doświadczenia łączą.

- Nie bądź głupiotka. - Robin gładzi mnie po głowie. - Wspaniała z ciebie dziewczyna. Ten twój facet musi być kompletnym idiotą, żeby cię zostawić dla Soni. - Ociera mi łzę z policzka.

- I wiesz co? Zanim to wszystko tutaj się skończy, chciałbym ci powiedzieć, że chyba byłaby z nas dobra para.

Robin pochyła się, żeby mnie leciutko pocałować, a mnie do końca życia będzie przykro, że dokładnie w tym właśnie momencie pada ofiarą przemocy.

Za kogo ty mnie
w ogóle uważasz?

Kompletnie nie pojmuję, co się stało. Czekaając na pocałunek Robina, zamknęłam oczy. Kiedy je otworzyłam, ujrzałam pięść przelatującą obok mojej twarzy i łądującą na jego szczęce. To, co rozgrywa się przed moimi oczami, jest tak niezrozumiałe, że mogę tylko patrzeć - w nadziei, że mój mózg podejmie w którymś momencie pracę i dostarczy mi odpowiednich wniosków.

Widzę dwóch mężczyzn tarzających się po ziemi u moich stóp i próbujących zadawać sobie ciosy, tak jak to widywali na westerbach. Najwyraźniej żaden z nich nie ma specjalnej wprawy w walce wręcz. Sprawa wygląda raczej dziwacznie niż groźnie.

Zbiegają się goście i są zachwyceni.

- Też bym chciała, żeby dwóch facetów się o mnie pobiło.

Marzenie!

To Cora. A potem słyszę głos Soni:

- Słuchaj, Anabella, czy to możliwe, żeby chodziło o ciebie?

W tym momencie słyszę głośny plusk, bo walczący wpadają do basenu. Nareszcie pojmuję, co się tu dzieje - i wskakuję za nimi.

Nigdy bym nie pomyślała, że obszyta cekinami suknia od Gucciego tak mało potrafi wytrzymać. Uważam, że za te pieniądze powinno się mieć możliwość spontanicznej kąpieli w basenie i biernego uczestnictwa w bójce bez obawy, że suknia praktycznie się rozpuści.

Niestety, już po pierwszych sekundach spędzonych w wodzie czuję, że zaczyna się proces rozkładu. Na razie jednak nie mam

czasu się tym przejmować. Skaczę na Benniego, łapiąc go od tyłu za ramiona, dzięki czemu Robin ma możliwość ucieczki.

- Ben, no co ty? Odbiło ci, czy jak?

Stoimy naprzeciwko siebie. Woda sięga Benniemu do piersi, mnie do szyi. Domyślam się, że nie wyglądam za szczególnie.

- Obściskujesz się tu z jakimś facetem i jeszcze robisz mi wyrzuty?

Ben jest najwyraźniej wzburzony. To mi pochlebia! Ale może jest tylko urażony, że go zdradzam, zanim oficjalnie się ze mną rozstał. Męska logika bywa w takich sytuacjach pokrętna i kompletnie nie da się jej z niczym porównać. No może poza kobiecą logiką w takich sytuacjach.

- Przecież to ty zacząłeś. Kto w zeszłym tygodniu obściskował się z Sonią? A jutro jesteście umówieni. Wiem o wszystkim. Nie próbuj mnie okłamywać!

Żeby dać wyraz swojej wściekłości, chwytam się groźnie rękami pod boki, ale niestety pod wodą tego nie widać.

- Z kim?! Co ty za bzdury opowiadasz? Ona mnie tylko pocałowała na pożegnanie, nic więcej. To chyba nie moja wina? A tak w ogóle to skąd o tym wiesz?

Milczę, starając się emanować ostentacyjną wyniosłością i godnością mimo niezbyt dogodnego poziomu wody. Od czasu do czasu falka zalewa mi usta. Wokół mnie pojawiają się na powierzchni pierwsze cekiny.

- A spotkanie odmówiłem, do jasnej cholery! Myślałaś, że mnie interesuje taka chuda jak nie wiem co, wypindrzona lalunia, która jest za głupia, żeby sama włączyć komputer? Za kogo ty mnie w ogóle uważasz?

Słyszę zdenerwowany głos Soni z brzegu basenu:

- To jeszcze nie powód, żeby mnie obrażać, Benedyckie Cramer! A tak w ogóle, to jestem prawie mężatką!

Henningowi ledwie udaje się ją powstrzymać, bo trzęsąc się z wściekłości, już chciała rzucić się do nas do wody. Ciotka Gesa skacze wokół basenu i pstryka zdjęcia. A Benni wygląda tak, jakby potrzebował jeszcze paru lat, żeby zrozumieć całą tę sytuację.

- Odmówiłeś spotkanie? To akurat nie może być prawda, bo ja przez cały czas sprawdzałam jej komórkę! Nie było od ciebie żadnego SMS-a!

- Bo nagrałem się na automatyczną sekretarkę w biurze. Ty sprawdzałaś jej komórkę? O co w tym wszystkim właściwie chodzi?

No właśnie, o co w tym wszystkim właściwie chodzi? Czy mam zacząć od Maksa Frischa i mojej wagi podającej procentowy udział tkanki tłuszczowej? Jak wszystko opowiedzieć w paru zdaniach?

- Jak ty się tu w ogóle znalazłeś?

- Jak to jak? Przyleciałem samolotem.

- Ty? Samolotem? Dlaczego...

- Bo chciałem cię zabrać do domu.

- Chciałeś... mnie...

- Nie mam pojęcia, dlaczego w ogóle odeszłaś, ale bez ciebie mi się nie podoba, tyle już wiem na pewno. I jeszcze jedno. Samolot, którym przyleciałem, o mało się nie rozbił, więc jak jeszcze raz będziesz miała zamiar mnie zostawić, to zrób mi przyjemność i nie opuszczaj kontynentu.

Zaczynamy się całować, wszyscy naokoło biją brawo, a ja słyszę, jak ciocia Gesa woła wniebowzięta:

- Ta dziewczyna to po prostu cała ja!

Wokół nas pływają cekiny. I dużo małych rozmoczonych torebeczek. Torebeczek z parmezanem. Jedna po drugiej wynurzają się z kieszeni marynarki Benniego i pływają po powierzchni. Jestem taka wzruszona. Ben chyba wyczyścił z parmezanu Miracoli cały supermarket.

A potem mój Benni - wręcz chciałoby się powiedzieć super-Benni - zadaje mi pytanie pytań.

Pytanie, które każda kobieta chciałaby chociaż raz w życiu usłyszeć.

I od razu wiem, że moja odpowiedź będzie brzmiała „TAK!” i że od tej pory będę go już kochać do końca swoich dni.

Benedykt Cramer patrzy mi bowiem głęboko w oczy i pyta:

- Czy mi się wydaje, czy ty zeszczipłałaś?